

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	3	W kręgu
WISŁAWA SZYMBORSKA	5	Wzajemność
CZESŁAW MIŁOSZ	6	Życzenia dla „Kwartalnika Artystycznego”

GŁOSY I GŁOSY NA TRZYDZIESTOLECIE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

7

Ewa Bathelier, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Ireneusz Kania, Marek Kędzierski, Bogusław Kierc, Ryszard Krynicki, Piotr Matywiecki, Anna Nasiłowska, Anna Piwkowska, Krystyna Rodowska, Krzysztof Siwczyk, Piotr Sobolczyk, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek, Andrzej Szuba, Andrzej Zawada

WILLIAM SHAKESPEARE	25	Tymon z Aten w nowym przekładzie Antoniego Libery
ICCHOK BASZEWIS SINGER	39	Żal w przekładzie Mariusza Lubyka
	47	Spotkanie w przekładzie Mariusza Lubyka
PHILIPPE JACCOTTET	53	Prozy i wiersze ostatnie w przekładzie Jana Marii Kłoczowskiego
JACEK DEHNEL	57	<i>Una macchia</i>
	58	Misteria • Ryt przejścia
KRZYSZTOF SIWCZYK	59	Donikąd nikomu • Stopnie
	60	Dwie krople
	61	Karaka
	62	Bomba słoneczna
PIOTR SOBOLCZYK	63	Z Toledo do Karmelu, fragment powieści pikaresko-gotyckiej hiszpańskiej
TOMASZ RÓŻYCKI	73	Szeregowy „Seneką” • Nieczytelne
	74	Granice świata
JACEK GUTOROW	75	Autoportret • Obcowanie
	76	Mężczyzna prosi o powtórzenie tańca
		William Turner: Gwiazda wieczorna
	77	Świadomość • Przesieka

MAREK KĘDZIERSKI	79	W rytmie Szia-sztin
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	93	Górowo Iławeckie
	94	Kościół w Mołtajnach
LESZEK ŻYLIŃSKI	95	Do stóp mazurskiego Jezusa w Sorkwicach
	96	Do czarnego kozła w Trękusie
MIROSŁAW DZIEŃ	105	Oswajanie przestrzeni i losu. Twórczość Kazimierza Brakonieckiego między geopoetyką a metafizyką
	106	Zawał, owoce *** (<i>Otarłem się o Ciebie...</i>) • Oko w oko *** (<i>Aniołowie krzętały się przy...</i>)
KS. JANUSZ ADAM KOBIERSKI	107	Jeśli tak • Na marginesie
	108	Telegram • W świecie słów
IRENEUSZ KANIA	109	Dziwne-Lągi
ROBERT PAPIESKI	126	Dzień i noc
	127	Siostry
JERZY JANICZKO	128	Wzór metafizyczny
	129	*** (<i>Spala mnie czerwcowe słońce...</i>)
	130	*** (<i>Nie wyjdę z tej chwili...</i>)
	131	*** (<i>Obmywa nas ciepło światła...</i>)

VARIA

KAZIMIERZ BRAKONIECKI	132	Widnoksiąg (10)
STEFAN CHWIN	137	Dziennik 2023
KRZYSZTOF MYSKOWSKI	149	Komora (5)
LESZEK SZARUGA	157	Świat, w którym żyłem (8)
PIOTR SZEWC	164	Z powodu i bez powodu (69)
ARTUR SZŁOSAREK	166	Notatki do zapomnianych podróży (14)

RECENZJE

LESZEK SZARUGA	175	Wywiązać się z wiersza
ANDRZEJ ZAWADA	180	Poezja jest partyturą
KATARZYNA BIEŃKOWSKA	184	Pomiędzy
TOMASZ MIZERKIEWICZ	186	Poezja w obrotach podrażnionej wyobraźni
PIOTR SOBOLCZYK	190	<i>Tiekuczka przetykana précieuses blessures</i>
ALEKSANDER FIUT	198	Wyprawa na planetę Lem

NOTY O AUTORACH	204
-----------------	-----

NOWE KSIĄŻKI	212
--------------	-----

W kręgu

Biegniemy w zawodach, z przodu najlepsi, prowadzą i dają siłę. Wierność i trwanie w niej to walka. Patrzymy i naśladujemy, w niepewności, trudzie i pasji. W pokonywaniu słabości i w ogniu starć. Ich obecność jest natchnieniem i zachętą do rozwoju.

Po nas będą następni, to historia, pojedyncze ogniwa i wspólne działanie. Skupienie na sobie i pracy innych. Gwiazda, która świeci.

Wśród prób, dokonań i blasków, spełnień i niespełnień. Z respektem dla obserwatorów, którzy biorą udział. Bez rozdzielania życia i literatury, to całość układająca się we wzór. Składanie ofiar i uczta.

Porażki, ale takie, że mówi się, źle przegrałeś, przegraj jeszcze raz, przegraj lepiej i zaczyna się od początku, nowy rozdział. W świetle, ciemności i znowu w świetle, bez lęku.

Prosząc o łaskę, w dążeniu do przodu i w chwilach zbierania sił. W stracie i zysku, w zagubieniu, ocalaniu i jeszcze większej wolności. Widząc, wiedząc, nie wiedząc i starając się temu sprostać.

Wezwani i wyzwani, na swoją miarę i skalę. Wspomagani, bez dłuższych znużeń i zniechęceń, starając się odrzucać zło i chłonać dobro, jakimi szczelinami nie przenika.

Czekając, czuwając i pragnąc, sycąc się i służąc, w łączności z nimi. Wypełniając misję z nadzieją, że najlepsze dopiero będzie. Z pamięcią o tym, co było, umacniany i przekonany, że tak będzie do końca.

Podtrzymując ogień dla następnych. W trwałym i pewnym związku, choć diabeł szarpie i kąsa.

Nie raz oddalając się, żeby zrobić to, co jest do zrobienia, ale nie opuszczając tych, którzy są w kręgu.

Krzysztof Myszkowski



KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

WISŁAWA SZYMBORSKA

Wzajemność

Są katalogi katalogów.
Są wiersze o wierszach.
Są sztuki o aktorach grane przez aktorów.
Listy z powodu listów.
Słowa służące objaśnianiu słów.
Mózgi zajęte studiowaniem mózgu.
Są smutki zaraźliwe podobnie jak śmiech.
Papiery pochodzące z przemiału papierów.
Zobaczone spojrzenia.
Przypadki odmieniane przez przypadki.
Rzeki duże z poważnym udziałem niedużych.
Lasy po same brzegi porośnięte lasem.
Maszyny przeznaczone do wyrobu maszyn.
Sny, które nagle budzą nas ze snu.
Dobre zdrowie konieczne w powrocie do zdrowia.
Schody na tyle w dół, na ile w górę.
Okulary do szukania okularów.
Wdech i wydech oddechu.
I niechby bodaj od czasu do czasu
nienawiść nienawiści.
Bo koniec końców
niewiedza niewiedzy
i ręce zatrudnione umywaniem rąk.

Z niedokończonego tomu „Wystarczy”,
opublikowanego po śmierci Poetki
przez Wydawnictwo a5 w 2012 roku.

CZESŁAW MIŁOSZ

Życzenia dla „Kwartalnika Artystycznego”

W ciągu pięciu lat „Kwartalnik Artystyczny” wybił się na jedno z pierwszych miejsc wśród periodyków zajmujących się kulturą. Zawdzięczamy mu cenne inicjatywy, na przykład ankietę *Po co piszę?* i ankietę o najlepszych polskich wierszach dwudziestego wieku. Jego zaletą jest żywość i pomysłowość. Życzę mu następnych lat pięciu, a później pięćdziesięciu.

„Kwartalnik Artystyczny” 1998, nr 3 (19)

Zdawałoby się, że zmiana ustroju w Polsce w 1989 roku powinna stanowić jakieś zasadnicze cięcie na rynku ukazujących się czasopism. Tak jednak się nie stało i mamy do czynienia z sytuacjami hybrydalnymi. Z jednej strony nadal ukazują się periodyki dotowane przez państwo jeszcze za czasów PRL-u, egzystujące często jedynie siłą inercji, z drugiej strony powstały nowe kwartalniki i miesięczniki, z trudem utrzymujące się na powierzchni dzięki wysiłkom ich redaktorów. Do takich pism należy prowadzony przez Krzysztofa Myszkowskiego „Kwartalnik Artystyczny”, który narodził się dziesięć lat temu i pięknie się rozwija.

Ponieważ przyglądałem się cudotwórczym działaniom Jerzego Giedroycia, mam słabość do pism trwających wbrew prawdopodobieństwu. Chciałbym, żeby „Kwartalnik Artystyczny” nadal urągał prawu zanikania pism elitarnych i łącznie z paroma innymi periodykami tego typu zwycięsko opierał się naciskom kultury masowej.

To zjawisko wysepek na morzu powszedniości obserwowałem w Ameryce, gdzie bywałem współpracownikiem pism o nieraz niewiele mówiących tytułach, ale za to reprezentujących wszystko, co najlepsze w amerykańskiej poezji i prozie. Ten fakt przekonał mnie, że nie jesteśmy nieodwołalnie skazani na magazyny o kolorowych okładkach.

Wznoszę toast na zdrowie „Kwartalnika Artystycznego” i dalsze dziesięciolecie jego bogatej egzystencji.

„Kwartalnik Artystyczny” 2003, nr 4 (40)

G Ł O S Y I G Ł O S Y NA TRZYDZIESTOLECIE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Ewa Bathelier

Życzenia wielu jeszcze wspaniałych lat składam pismu, z którym współpracuję z ogromną przyjemnością i entuzjazmem.

Kazimierz Brakoniecki

Z okazji pięknego i zasłużonego jubileuszu „Kwartalnika Artystycznego. Kujawy i Pomorze” chciałbym zauważyć rzecz szczególnie cenną dla mnie, jako byłego redaktora periodyku „Borussia. Kultura, historia, literatura”, który już dawno przestał wychodzić w Olsztynie, a mianowicie umocowanie czasopisma w samorządowym województwie „niecentralnym” oraz w dwóch miastach, Toruniu i Bydgoszczy (nie wnikając w szczegóły). „Artystyczny” natomiast rozumiem jako w pełni odpowiedzialny za „czystą” sztukę słowa, które odnosi się świadomie do opisywanego świata. Sam podejmuję wiele „nieczystych” idei (aktualnych tematów) w poezji i esejach, a moja odpowiedzialność artystyczna (po-etyka) zmierza w stronę oczyszczającej wizji odpowiedzialnego interpretowania życia. I tak lokalność przymierza się z uniwersalnością, a „brudna” treść objawia się „czystą” formą.

Cieszę się, że w pewnym, chociaż niewielkim, stopniu współtworzę charakter „Kwartalnika Artystycznego”, któremu, w osobie Redaktora Krzysztofa Myszkowskiego, życzę dalszych obfitych w idee i dokonania literackie wydawniczych spełnień.

Stefan Chwin

„Kwartalnikowi Artystycznemu” na Jego Trzydziestolecie życzę, by niczym Arka Przymierza, płynąca przez wzburzone fale naszego czasu, nadal chronił to, co najcenniejsze w polskiej kulturze: pamięć o twórcach dawnych i ich dziełach oraz talent i intelektualną uczciwość autorów nowych, którzy dopiero zaczynają wносить swój wkład do narodowego dorobku, a także by swoją trafną polityką przekładową wprowadzał do polskiego piśmiennictwa to, co najlepsze z literatury obcych, tak jak to czynił i czyni nadal od chwili swego powstania do dziś pod uważnym i kompetentnym kierownictwem Redaktora Naczelnego.

„Kwartalnik Artystyczny” zajmuje istotne, wyraziste miejsce wśród poważnych inicjatyw literackich, których jest tak niewiele w naszym kraju, jako ośrodek twórczości i żywej myśli, poszukującej nowych dróg w ścisłym powiązaniu z wartościami narodowej tradycji i w dialogu z kulturą innych narodów.

Spokojnej, systematycznej, owocnej pracy, Redakcjo, przez następne Trzydzieści Lat.

Mirosław Dziień

„Kwartalnik Artystyczny” obchodzi trzydziestolecie istnienia. To piękny jubileusz. Dla mnie osobiście magazyn ten znaczy wiele, gdyż idzie razem ze mną przez lata, jako jeden z istotnych wyznaczników mojej drogi twórczej obok „Toposu”, a wcześniej „Kresów” i „Zeszytów Literackich”. Pierwszy swój tekst na łamach „Kwartalnika” opublikowałem w 1995 roku. Trudnym do przecenienia osiągnięciem periodyku literackiego, niestrudzenie prowadzonego od kilkadziesiąt lat przez Krzysztofa Myszkowskiego, jest udana próba zachowania dziedzictwa kulturowego. Od zawsze „Kwartalnik” starał się łączyć to, co najlepsze we współczesnej kulturze polskiej i światowej ze śmiałym otwarciem się na nowoczesność, rozumianą jako ciągłość, a nie zerwanie. To tutaj publikowało grono znakomitych, uznanych Autorów, a także wielu debiutantów. Przecież na łamach „Kwartalnika” pojawił się pierwodruk poematu Czesława Miłosza *Ksiądz Seweryn*; ale przecież także wiele miejsca poświęcono twórczości Zbigniewa

Herberta, Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, łącznie z pierwodrukami ich ineditów, i wielu innym pisarzom polskim oraz światowym. Nie można zapomnieć o wielkiej czułości wobec dziedzictwa Samuela Becketta, chyba ukochanego artysty „Kwartalnika”. Dziękuję także za znakomitą oprawę graficzną. Każdy numer wydawanego w Bydgoszczy, a teraz w Toruniu periodyku, to dzieło sztuki wydawniczej z najwyższej półki.

Na zakończenie niech mi będzie wolno powiedzieć jeszcze jedną rzecz: uważam, że ogromną zasługą pisma w ciągu trzydziestu lat jego istnienia jest z konsekwencją realizowana dbałość o zachowanie korzeni cywilizacji i kultury europejskiej, mimo panoszącego się ducha postmodernizmu i postprawdy. Literatura, jak też cała kultura – odwołująca się do judeochrześcijańskiego Objawienia Boga Jedyneego oraz kultywująca helleńskie i hellenistyczne wartości Prawdy, Dobra i Piękna – to w dzisiejszej dobie godny pochwały i najwyższego uznania precedens! I za to jestem wdzięczny Redakcji. W końcu wszyscy jesteśmy Żydami i wszyscy jesteśmy Grekami – a jeśli o tym zapominamy, to marny czeka nas los. Z serca dziękuję za trzydzieści lat „Kwartalnika Artystycznego”. Niech następne będą, co najmniej tak samo owocne jak te dotychczasowe.

Aleksander Fiut

Ileż to już lat! Nie lubię składać życzeń jubileuszowych. Konwencja zmusza bowiem do wypowiedzania przewidywalnych pochwał, skrupulatnego katalogowania zasług oraz skrycie magicznego zaklęcia czasu. Pozwolę sobie zatem na odrobinę prywaty.

Pamiętam doskonale, jak podczas spotkania z Czesławem Miłoszem w Pałacu Peugeotów w Krakowie Krzysztof Myszkowski podszedł do mnie i zaproponował mi współpracę z wówczas nieznanym mi bydgoskim pismem. To był początek naszej przyjaźni z Redaktorem oraz początek moich publikacji na łamach „Kwartalnika Artystycznego”. Mój pierwszy tekst ukazał się w 1994 roku, a od tego czasu ogłosiłem na tych łamach kilkadziesiąt szkiców, recenzji i wywiadów. Większość z tych szkiców przedrukowałem w swoich książkach.

Zatem trzydziestolecie „Kwartalnika Artystycznego” to w pewnym stopniu także mój jubileusz, ważny dla mnie fragment mojej pisaniny oraz mojego życia.

Dziękuję Ci, Krzysztofie, serdecznie nie tylko za to, ale i za niezmiennie utrzymywanie wysokiego poziomu „Kwartalnika” mimo rozlicznych problemów finansowych oraz politycznych perturbacji. Oby tak dalej!

Jacek Gutorow

„Kwartalnik Artystyczny” czytam mniej więcej od początku. Mniej więcej, bo jakoś nie pamiętam pierwszego numeru. Być może miałem go w rękach, może czytałem, już nie pomnę. Regularnym czytelnikiem zostałem w połowie lat dziewięćdziesiątych. Nie tylko zresztą czytelnikiem, ale i oglądaczem, uważam bowiem, że mocną stroną „Kwartalnika” były i są fotografie; prawdę mówiąc zdarza mi się wracać do konkretnych numerów dla pojedynczych zdjęć, tych, które szczególnie mocno pozostały w pamięci. Czy mogę zatem uważać się za wtajemniczonego? Cóż, na pewno za admiratora i kibica.

I oto dowiedziałem się od Pana Krzysztofa Myszkowskiego, że prowadzone przez niego pismo skończyło trzydzieści lat. Trzydzieści lat? O rany.

Laurek pisać nie potrafię. Jestem zresztą pewien, że o fenomenie „Kwartalnika” napiszą inni. Chciałbym jednak wspomnieć, tytułem jubileuszowej dygresji, o ważnym dla mnie – arcyważnym – wątku beckettowskim. Stali czytelnicy pisma wiedzą, że Beckett był i pozostaje częstym gościem na łamach pisma. Przekłady, omówienia, szkice, rozmowy, fotografie... Byłoby z tego całkiem spore, nader interesujące *dossier*. Redaktorowi naczelnemu udało się namówić do stałej współpracy dwóch znaczących, chyba najważniejszych polskich badaczy twórczości irlandzkiego pisarza – myślę oczywiście o Marku Kędzierskim i Antonim Liberze. Zaryzykuję twierdzenie, że Kwartalnikowe Beckettiana wyznaczają rytm moich czytelnicznych spotkań z bydgosko-toruńskim periodykiem. To znaczy: od nich zaczynam lekturę numeru, im poświęcam najwięcej czasu (którego niestety jest coraz mniej), na nich najczęściej kończę. Każde takie spotkanie wydaje mi się istotne. Pamiętam, jakim wydarzeniem była dla mnie dołączona do jednego z numerów książeczka ze scenariuszem filmu dokumentalnego *Rue Samuel Beckett: Barbara Bray* (pod redakcją Marka Kędzierskiego i Piotra Dżumaty). Publikację tę – a sądzę, że powinien ją znać każdy, kogo interesuje twórczość autora *Szczęśliwych dni* – czytałem, przeglądałem, kartkowałem wielokrotnie. To oczywiście tylko przykład, choć dla mnie wyjątkowy.

Dlaczego Beckett? Teksty publikowane do tej pory na łamach „Kwartalnika” (z pewnością będzie ich więcej) nie pozostawiają wątpliwości, że jest to autor aktualny i bodaj decydujący dla naszego rozumienia nowoczesności. Myślę, że redaktor naczelny doskonale to wyczuł: mamy do czynienia z dziełem wyjątkowym, nie w pełni jeszcze przyswojonym, stawiającym pytania, na które warto próbować odpowiedzieć, każdy (każda) we własnym imieniu. Twórczość Becketta nie jest ani łatwa, ani przystępna, zgoda. Ale też właśnie dlatego warto do niej powracać. „Kwartalnik” powraca i chwala mu za to.

Całej redakcji życzę wszystkiego najlepszego. I proszę o więcej.

Ireneusz Kania

Pan

Krzysztof Myszkowski

Kapitan Żeglugi Największej (bo po *Mare Litterarum*)

Drogi Panie Krzysztofie!

...to już trzydzieści lat! Trzydzieści lat pływania po tym Morzu, prawie zawsze mglistym, pełnym raf i wirów, piratów i rozbójników udających tylko przyzwyczajonych żeglarzy... nadto bełtanym przez – bardzo często przeciwne – wichry... (zresztą nie wiadomo, co gorsze – uporczywa flauta czy porządny szkwał).

Gdybyż tak Pańska nawa dostawała, przynajmniej od czasu do czasu, wiatr w rufę... albo rozkoszny baksztąg lub choćby halbwind... Ale nie; w istocie musi Pan przeważnie halsować i chodzić ostrym bajdewindem. Albo wręcz sztormować, refując co i rusz kolejne żagle. A tak chciałoby się postawić wreszcie wszystkie, nawet topsle!

Oby się Panu udało! Na razie jest trudno.

Ale Pan daje radę. Żnakomicie. Chylę czoło i życzę trzydziestu... no, choćby tylko dwudziestu lat następnych. Tak trzymać, Panie Kapitanie!

Bo przecież: *navigare necesse est, vivere non est necesse*.

Ireneusz Kania

skromny pasażer (poniekąd na gapę) Pańskiej dzielnej karaweli.

Marek Kędzierski

Trzydziestka na karku, „Kwartalnikowi” kwartalnikowe gratulacje! A moje ja (piszące) od trzydziestu lat ma poczucie, że ma lat trzydzieści – choć zacząłem współpracować, mając czterdziestkę. Kolejne numery redakcja przysłała mi na trzy adresy. Otwieram je, pomny imperatywów, których wypracowanie zajęło mi lat jakieś dwadzieścia. Trzy najważniejsze? *Primo*, czytać innych, zagłębiać się w teksty moich *socii malorum*, ów wielogłos, mówiący jednak niemal jednym głosem, jeśli porównać do jarmarku wokół. *Secundo*, wsłuchiwać się w ich głosy tak zwanymi oczyma duszy, ale czytając na głos, bo to rozświetla, zwłaszcza poezję, choć nie tylko. Czuć, jakim rytmem oddychają. *Tertio*, nie czytać siebie – każde spojrzenie na wydrukowane już teksty jest krokiem wstecz, nie-czytanie siebie oszczędza zażenowania, zawsze bowiem coś się nie udało, a w oczy kłuje najmniejszy błąd, nie mówiąc o większych.

Czytać innych to jednak trochę jak czytać siebie. Nawet jeśli sporo nas różni, więcej nas łączy, wszyscy jesteśmy, z jednym wyjątkiem, „słabszą stroną” – przedstawicielami „mniejszości intelektualnych”, by użyć znamiennej określenia jednego z nas, które usłyszałem w czasie rocznicowego spotkania na Kujawach i Pomorzu. Pismom literackim i artystycznym grozi terminacja, od kilku dekad, to znaczy, że gdy powstawał pierwszy numer „Kwartalnika”, ten proces był już w toku. Trzydzieści lat spychania na margines jakoś nas nie zlikwidowało, „Kwartalnik” pręży mięśnie, nawet jeśli niezauważalnie, bez ostentacji, nie ma mowy o ostrzeniu kłów. Wchodzi w tę trzydziestą rocznicę z podniesionym czołem. Nie ugniemy się, tak długo jak Naczelny za nas nadstawia karku, pozostaje nieugięty.

Widmo końca nie pojawiło się jedynie w związku ze światowymi trendami. Zaczęliśmy w epoce papieru, teraz nastały czasy wirtualne. Kulturę tak zwaną wysoką spycha na margines, z nielicznymi wyjątkami wybranych przez górę, dewaluacja kultury przez komercję, ale nie tylko. Jesteśmy świadkami powrotu upartyjniania kultury przez polityków. Przedostatniość zafundowaliśmy sobie na co dzień, teraz można zgadywać, jak to się skończy, co będzie – czy ten lub inny minister lub decydent położy wniosek o dotację po prawej, czy po lewej stronie swojego biurka.

No i do tych obaw zbiorowych dochodzi jeszcze lekkie poczucie winy na płaszczyźnie osobistej – ciężkie wyrzuty sumienia wobec Redaktora i Redakcji za to,

że wysyłam wszystko w ostatnim momencie – lub po nim. Wyrozumiały, dzięki mu za to! Dozgonnie mu wdzięcznym! Choć niekiedy podejrzewam, że On nieco dramatyzuje i ustawia terminy nieco wcześniej niż konieczne, przewidując, że pewnie się spóźnię, więc jeśli ostateczna data jest w piątek, on mi podaje środę, w środę rzecz jasna nie dam rady, ale na piątek się wyrobię.

Niedotrzymane terminy, nałogowe przesuwanie z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, kiedy, z wyjątkiem jednego lub drugiego wielkiego spóźnialskiego, wszystko już zapięte na ostatni guzik, włącznie z okładką, nadesłaną przez niezastąpioną i twórczą artystkę Ewę Bathelier, *nota bene* wprowadzoną do zespołu przez piszącego te słowa.

Owo zwlekanie i przesuwanie terminów łączy się w pewnym sensie z miarą wolności, jaką mnie obdarzono, zwłaszcza w tak zwanych blokach tematycznych. Mierz siły na zamiary! Jak chcę, tak mogę – to jest wolność! Euforii trudno pogodzić się z kagańcem dat. Wolność wolnością, ale kiedy wszystko, teksty oryginalne, przekłady, obrazy, rysunki, prawa, zgody, zastrzeżenia, ma być zgrane, wytwarza się spory stres. Do tego jeszcze niepewność, co wyjdzie z drukarni, a drukarni przeżyłem już wiele.

Tak zwana cyfryzacja to spory atut, bo z przesyłaniem pocztą różnie bywało. Wśród moich wspomnień jedno wybrane: Strasburg w roku 1996, wersja końcowa jak zwykle po terminie, z nią pod pachą karkołomna jazda rowerem, sześć kilometrów w deszczu. Nie dość, że strajk poczty francuskiej oraz komunikacji miejskiej, to jeszcze blokada mostu granicznego. Rowerem po chodniku na moście przyjaźni do Kehl po niemieckiej stronie, wtedy wciąż jeszcze kontrole graniczne, wymiana uprzejmości i dalej, szybko na pocztę, a pocztę zamykają. Teraz łatwiej. W tych niełatwych czasach Redaktorowi, Redakcji, Wszystkim Świętym Piszącym łatwości powszechnej życzę.

Bogusław Kierc

„Kwartalnikowi Artystycznemu”, jego Poruszycielowi i Współuczynielom życzę nieustannej przejrzystości widzenia jasno w zachwyceniu i stale wiernej precyzji w równoważeniu racji serca i umysłu, jaką (z podziwu i szacunku godną stałością) zachowują.

Ryszard Krynicki

Byłem, jestem i będę z „Kwartalnikiem Artystycznym”.

Piotr Matywiecki

Piękne doświadczenie – publikować przez lata w tym samym czasopiśmie wiersze i eseje! Patrzyć i przemyślać jak one wplatają się w gęstą sieć innych utworów, jak moja świadomość jest przez to „inne” podtrzymywana i mieć nadzieję, że sama to „inne” podtrzymuje. Taki dar zawdzięczam (zawdzięczamy) „Kwartalnikowi Artystycznemu”.

Trzeba było odwagi, żeby w kpiących z artyzmu czasach nazwać kwartalnik artystycznym...

Trzydzieści lat czasopisma! Sztuka samego czasu, który zapisując się na stronach, może przyjrzeć się swoim przemianom. A ponieważ pisze się tutaj to, co dla autorów najistotniejsze, czas staje się osobisty, nie przestając być publicznym. To jedyny artyzm, który nie jest artystowski.

We wspólnocie takiego dyskretnego, niehałaśliwego tworzenia czasu uczestniczą także autorzy z innych światów – spoza tu i teraz. „Kwartalnik” harmonizuje ich głosy z głosami dzisiejszymi, ale zdarza się, że czyni z nich okrutne dla nas, zawstydzające tło najwyższych wymagań – artystycznych i etycznych. To nie jest czasopismo łatwe – jest wymagające.

Anna Nasiłowska

Przeglądając ostatni numer „Kwartalnika Artystycznego”, myślałam: czym w dzisiejszej Polsce jest to pismo? W kraju rozpalonym namiętnościami politycznymi, pogrążonym w konflikcie wewnętrznym, w momencie, gdy pod wszystkim czai się lęk, obudzony wojną tuż-tuż, u naszych sąsiadów... A tu niespieszna rozmowa o tłumaczeniu wierszy, Beckett, nowe wiersze o problemach egzystencjalnych. Wysmakowana szata graficzna, miły w dotyku papier i dziennikowe

zapiski, które nie gonią rzeczywistości, lecz pokazują obraz w lustrze wewnętrznych przeżyć.

„Kwartalnik Artystyczny” ma swój rytm i ton. Jest indywidualistyczny, od lat stanowi jedno z niewielu miejsc tego typu w Polsce. Brak klucza pokoleniowego, nie ma ani jednego programu, ani grupy artystycznej, która zwykle strzeże swoich kanonów. Jedyne kanon – to artystyczność.

Takie pisma są potrzebne, nawet jeśli – i mówię o sobie, ale chyba nie tylko – gorączkowy rytm codziennych zadań i celów niewiele pozostawia czasu. „Kwartalnik Artystyczny” co kwartał przypomina: znajdź go! I za to dziękuję.

Anna Piwkowska

Z pewnością nie tylko ja mam wrażenie, że żyjemy w co najmniej kilku nieprzenikających się światach. I nie tylko ja odczuwam tęsknotę, aby jak najczęściej przebywać w świecie, w którym – nieprzerwanie od trzydziestu lat – bierze się do ręki świeży egzemplarz „Kwartalnika Artystycznego”, pachnący farbą, o wysmakowanej okładce, gdzie sztuka jest najważniejsza, gdzie wśród szelestu kartek spotyka się Przyjaciół, gdzie rytm poezji i prozy wciąż jest żywy, a esejistyczne rozważania potrzebne. Dlatego życzę światu, w którym istnieje „Kwartalnik Artystyczny”, wszystkiego najlepszego!

Krystyna Rodowska

„Kwartalnik Artystyczny” towarzyszy mi, jako czytelniczce i autorce, od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych. Proponowałam wówczas pismu głównie prezentacje najnowszych wierszy i przekładów poetyckich, nieregularnie (to był czas, kiedy absorbowały mnie wyjazdy na międzynarodowe festiwale poezji, przeciągające się niekiedy w dłuższe pobyty). Z biegiem lat związek z pismem, którego artystyczną rangę szybko doceniłam, zaczął się zacieśniać. Obserwowałam przemiany zachodzące w „Kwartalniku” w ciągu trzydziestu lat jego obecności w życiu literackim kraju, równoznaczne z umacnianiem się w wybranej formule, wciąż rozbudowywanej. Spaja ją osobowość i pasja Redaktora, obecnego w każdym numerze jako prezyter zawartości numeru, ale także, albo przede

wszystkim, jako oryginalny pisarz i krytyk, ujawniający w sposobie pisania i *explicit* swoje wybory filozoficzne, estetyczne i etyczne.

Otwartą a zarazem wyrazistą formułę pisma kształtuje grono współpracujących z nim autorów, których ścisły trzon uprawia swoje rozpoznawalne poletka. Tak dziś przedstawia się w przybliżeniu krajobraz pisma...

Wśród autorów obecnych w „Kwartalniku” byli nasi najwięksi: Miłosz, Różewicz, Herbert, Szymborska, Błoński, Julia Hartwig (do niemal ostatnich chwil życia przesyłająca, już zza oceanu, swoje wiersze czy urywkowe zapiski), niezwykły poeta Janusz Szuber... Byli, ubyli, ale tylko fizycznie. Można rzec, że wciąż przybywają, a ich dorobek przyrasta; od czego jest obchodzenie rocznic, przypomnienie utworów, na które dystans rzuca nowe światło, publikowanie korespondencji, wygrzebywanie z szuflad ostatnich znalezisk, wspomnień czy nowych odczytań...

Wśród obecnie współpracujących są autorzy najczęściej średniego pokolenia albo starsi. Wybitni i zakotwiczeni w „Kwartalniku”, jak Piotr Szewc, Stefan Chwin, Leszek Szaruga, Bogusław Kierc, Andrzej Szuba, Artur Szlosarek, plus filary tak niezawodne, jak Antoni Libera – tłumacz (na nowo) dramatopisarzy i poetów z języków wielu – i zaskakujący wszechstronnością wiedzy, także z dziedziny historii sztuki, Marek Kędzierski, który zaimponował mi kolejny raz, w numerze 115, swoim rozbudowanym, pogłębionym historycznym researchem i bardzo osobistym przedstawieniem reprezentacyjnych zakątków, budowli i ulic Paryża, po którym – po uważnym zapoznaniu się z jego interpretacją „Paris Art.” – trudno już wałęsać się „naiwnie”. Z Markiem, z którym rozprawialiśmy przez dwa numery „Kwartalnika” między innymi o przekładalności i nieprzekładalności poezji, będziemy dalej rozmawiać, teraz o tłumaczeniu (na nowo) francuskich wierszy Becketta, co będzie dla mnie następnym wyzwaniem...

Z każdym numerem czekam na nowe teksty wyżej wymienionych. I innych, tych, którzy dopiero się na te łamy wprowadzają... „Kwartalnik” bowiem łączy dojrzałość z wychyloną w przyszłość gotowością premiery własnego głosu. Wierność określonym wartościom może iść w parze z apetytem na odkrywanie nieznanego i na wchodzenie z nim w dialog. Czasem także w polemikę.

Podoba mi się taka wierność; niech ona wciąż dochodzi do głosu w „Kwartalniku”! Niech trzydziestoletni, bynajmniej nie letni i wciąż intrygujący „Kwartalnik” ujawnia jak najczęściej swój potencjał duchowej młodości! Wbrew biologicznemu wiekowi takich współpracowników, jak pisząca te słowa.

I to jest jedno z moich ważnych życzeń na następne trzydziestolecie.

Krzysztof Siwczyk

Przeżyłem w życiu parę przeprowadzek. Co ciekawe, większość z nich związana była z istotnymi zmianami w przestrzeni społeczno-politycznej. Wewnątrz czasów PRL-u przeprowadzałem się raz. Z gierkowskiego blokowiska ulokowanego na obrzeżach mojego rodzinnego miasta do centrum. To była wielka podróż mojego życia. Lata osiemdziesiąte osiągały maksymalny pułap apatii, był bodajże rok 1988. W powietrzu czuć było swąd politycznego rozkładu komuny, a jednocześnie zewsząd wiało przecuciami czegoś nowego, jakiegoś otwierającego się czasu zmiany. Paradygmatyczność tej zmiany była tyleż oczekiwana, co po prostu naturalna. Sprzyjający układ sił geopolitycznych raz jeden przysłużył się Polsce. Oto wstępowałem w dorosłość w towarzystwie wlepek z Garym Cooperem, które roznosiłem gdzie bądź. Rok 1989 przyniósł mi nowy rower, świadectwo z paskiem i polityczny przełom. Powoli dojrzywałem do życia w nowych warunkach, które znałem skądinąd. Należałem do tej uprzywilejowanej grupy społecznej, która liznęła trochę świata zachodniego. Mój ojciec i jego inżynierskie wykształcenie pozwoliły mi podziwiać róże pustyni na długo zanim masowa turystyka zrobiła z nich nic nieznaczącą pamiątkę wakacyjną. Zastanawiałem się, jak będzie wyglądał kapitalizm po polsku. Nie zawiodłem się. Po prostu naród rozpoczął handel pietruszkowy, na rozkładanych łózkach polowych, na placach i „balcerkach” wylądowały bebechy rzeczywistości. Całe egzystencjalne zaplecze poszło pod młotek. Od zegarków dziadków, przez baterie i dekatyzowane dżinsy – wszystko poszło w pieniądź. Ale początek lat dziewięćdziesiątych przyniósł coś jeszcze: koniunkturę na małe ojczyzny. Decentralizacji państwa towarzyszyła decentralizacja kultury. I na tym odcinku faktycznie działało się dużo więcej niż na giełdzie, gdzie akcje szły ostro do góry i robiło się trochę nudno. Oto w Polsce zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu pisma literackie.

Czytałem je zachłannie. Były oknami na świat wielkiej literatury, niekoniecznie stygmatyzowanej wielkimi nazwiskami twórców. Wielka literatura potrafiła powstawać pod piórami jeszcze nieopierzonymi. Odkrywałem dla siebie nowe nazwiska. Dziś całkiem spora ich część to nazwiska klasyczne, które swoją jakością i wagę wykuły właśnie w ostatnich bez mała czterdziestu latach polskiej wolności. Jednocześnie bardzo lubiłem czytać pisma, które swój profil oparły na podtrzymywaniu ciągłości polskiej tradycji literackiej. Takim tytułem były oczywiście

„Zeszyty Literackie”. Trudno jest mi po dziś dzień uwierzyć, że już nie istnieją. To zaiste przerażające, że padały pod pręgierzem obojętności polskiej władzy, która we wcieleniu pisowskim odpowiada za całkowite zaoranie tego akurat periodyku. Dlatego tak bardzo cieszy mnie, że „Kwartalnik Artystyczny” wciąż trwa. Był i jest pismem o podobnym profilu. Pamiętam jego pierwsze numery. Po ich lekturze nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś zagoszczę na jego łamach. Progi wydawały mi się zdecydowanie za wysokie. Jakim zaskoczeniem był dla mnie pewien numer, bodajże z roku 1995, w którym odnalazłem swoje wiersze i przychylną recenzję własnej, debiutanckiej książki. Właściwie od tego momentu stałem się wiernym czytelnikiem chyba najpiękniej wydawanego pisma literackiego w Polsce. Stał się dla mnie „Kwartalnik Artystyczny” nade wszystko oknem na Samuela Becketta. Wycinałem przez lata fragmenty *Nienazywanego* w przekładach Marka Kędzierskiego, tak żeby ułożyły się w niemożliwą całość. Coś podobnego robiłem z przekładami z Charlesa Bukowskiego, które przez te wszystkie lata – w różnych pismach – ogłaszał Andrzej Szuba. Dzięki temu mam chyba coś w rodzaju wierszy wybranych Bukowskiego, w jednym egzemplarzu. Poza całkowicie indywidualnymi fascynacjami i sympatiami literackimi, „Kwartalnik Artystyczny” przez te trzy dychy swojego istnienia dawał mi coś jeszcze: wiarę w literaturę jako taką. W jej ważność jako narzędzia komunikacji między ludźmi Krzysztof Myszkowski chyba nigdy nie wątpił. I ten jego brak wątplenia udzielił się również i mi. Z radością obserwowałem też pewien naturalny proces rozszczelnienia łamów dla zjawisk i nazwisk metrykalnie młodszych niż flagowi autorzy, z którymi dziś jestem po imieniu, za co również może być odpowiedzialny „Kwartalnik Artystyczny” – platforma rozmowy między ludźmi często – różniącymi się radykalnie w światoodczuciach i strategiach ekspresji tych różnic. Widzę w tym wartość nie do przecenienia. A jednocześnie podziwiam etos pewnych postaw, również redakcyjnych. Krzysztof Myszkowski bierze świat i literaturę całkiem serio. To się czuje w każdym numerze pisma, przy jednoczesnym braku ideologicznej ortodoksji, a o to z kolei jest dziś bardzo trudno.

Śmiem twierdzić, że pisma literackie w najbliższej przyszłości dokonają żywota. Swego czasu pisałem o tym procesie na łamach „Gazety Wyborczej”. Najpewniej stanie się tak z wielu powodów, z których akurat kwestie paradygmatycznej zmiany cywilizacyjnej, jaką przyniosła późna nowoczesność i wirtualizacja życia, nie są najważniejsze. Odnoszę wrażenie, że na szali jest coś

znacznie gorszego. Mianowicie chodzi o „śmierć człowieka czytającego”. Myślę, że w tą śmierć Krzysztof Myszkowski nie chce wierzyć. Każdym następnym numerem pisma uparcie tego dowodzi. Chciałbym kiedyś nauczyć się od niego akurat tej niewiary.

Ostatnią przeprowadzkę zaliczyłem dekadę temu. Zabrałem ze sobą wszystkie numery „Kwartalnika Artystycznego”. Zamieszkałem blisko lasu, na uboczu, z dala od centrum. Zdecentralizowałem się już zupełnie prywatnie. W międzyczasie moja ojczyzna znowu wskoczyła na tory, które jakoś dziwnie przypominają mi o czasach, w których dorastałem. Jest apatycznie i nerwowo, trwa wojna, a akcje ostro lecą w dół. Frukta już były. Wkrótce możemy mieć tylko pietruszkę.

Piotr Sobolczyk

Trzydzieści lat „Kwartalnika ARTystycznego”! To czyni go jednym z ledwo kilku nadal i stale wychodzących czasopism literackich powstałych w latach dziewięćdziesiątych. A napiszę teraz coś, co parokrotnie miałem okazję mówić publicznie: „Kwartalnik” jest obecnie najlepszym pismem literackim w Polsce. Dlatego podpisuję się pod formułą Julii Hartwig: „Druk w »Kwartalniku Artystycznym« uważam za wyróżnienie”. Trzydzieści lat „Kwartalnika” – i dziewiętnaście lat mojej obecności w nim. Zaczęło się od zestawu wierszy – weszły potem do mojego trzeciego tomu, zresztą potem parokrotnie publikowałem w „Kwartalniku” wiersze i zawsze trafiały do kolejnych tomów, ale wśród najważniejszych z mojej perspektywy naszych wspólnych publikacji widzę także niedawny, zeszyt roczny tematyczny o Białoszewskim na stulecie; wcześniejsze o dekadę omówienia *Tajnego dziennika* tego pisarza i potem *Kronosa Gombrowicza*, esej jubileuszowy *Zabijanie Gombrowicza* – wszystkie są często cytowane przez znawców, a ten ostatni doczekał się przekładu na hiszpański; szkic o gotyckim Andrzejewskim; wreszcie – dzięki niesłychanej otwartości redaktora naczelnego, Krzysztofa Myszkowskiego – najdziwniejszą, najekscentryczniejszą recenzję, jaką w życiu napisałem (z tomiku Samantha Kitsch). Za tę otwartość (łam w ogóle i na moje partykularne ekstrawaganckie bryknięcia) serdecznie dziękuję, a w następną dekadę pisma wkraczamy z poważnymi planami dalszej współpracy!

Leszek Szaruga

Co jakiś czas, a utarło się, że czynimy to w rytmie dziesięcioleci ćwierć- bądź półwieczy, nie mówiąc już o stuleciach, czynimy jakieś podsumowania podjętych niegdyś działań i przedsięwzięć, co tyleż jest sympatyczne, ile bywa krępujące, tyleż naturalne, ile sztuczne i wymuszone przez obyczaj, ale bywa też pożyteczne, pozwala na pogłębioną refleksję, dla której brak miejsca w doraźnej, bieżącej krzątaninie, daje szansę złapania oddechu, bywa też, że prowadzi do ważnych przewartościowań, lecz przecież niekoniecznie, gdyż może to po prostu pozwolić cieszyć się z przetrwania w raczej niesprzyjających warunkach i poczuć satysfakcję z tego, że mimo owych niesprzyjających okoliczności udało się przetrwać i odwalić kawał solidnej roboty, co w przypadku gwałtownego i zmiennego ruchu czasopiśmienniczego rozkwitłego po zniesieniu tych ograniczeń, jakie towarzyszyły życiu kulturalnemu w peerelii, a zatem cenzury, nieustannego borykania się z niedostatkami przydziału papieru czy innych kłopotów towarzyszącym egzystencji w przestrzeni ograniczonej wolności, jest bez wątpienia sukcesem w obliczu innych zagrożeń, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć można niemal całkowite wycofanie się państwa z dbałości o traktowane przezeń jako datek lub jałmużna dla ubogich artystów inwestowanie w rozwój działalności kreatywnej, pobudzającej wyobraźnię i pozwalającej rozwiązywać zadanie, jakim nieustannie jest refleksja nad własną tożsamością w zmieniającym się świecie, co wydaje się o tyle istotne, że po ponad dwóch stuleciach, z krótką i słabo wykorzystaną pauzą okresu międzywojennego, społeczeństwo polskie znalazło się w unikalnej historycznie i właśnie chyba bezpowrotnie się dziś kończącej strefie spokoju i braku zagrożeń, ale jednocześnie, otwierając się na świat zewnętrzny i odbudowując zarazem zniszczone nurty tradycji, wymaga, zamiast wspierania na kolejnych etapach politycznych przemian wybranych grup i odbierania wsparcia innych, środków pozwalających na dbałość o cały dorobek kultury, o co jeszcze w roku 1952, co warto przypomnieć, upominał się Stefan Kisielewski w artykule zdjętym przez cenzurę i po latach dopiero wydrukowanym w tomie *Z literackiego lamusa* (1979), podkreślając, że dopiero bezstronność mecenasa, w tym wypadku państwa, pozwala na rzeczywisty rozwój i choć wydawać by się mogło, że to postawa iście klerkowska, to przecież z punktu widzenia przyszłych korzyści wynikających z pomnażania dorobku artystycznego właśnie

ona pozwala właściwie wykorzystywać i inwestować środki na takie dziedziny jak kultura i nauka, obie zresztą stanowiące o poznawczej mocy i randze społeczeństwa, lecz przynoszące owoce nie z dnia na dzień i nie w ciągu jednej czy dwóch kadencji parlamentarnych, ale często dopiero po dziesięcioleciach, o czym możemy się przekonać właśnie z okazji jubileuszy, których jeśli się udało szczęśliwie doczekać i spojrzeć wstecz, tak właśnie jak udało się dotąd „Kwartalnikowi Artystycznemu”, by często z niemałym zdumieniem ujrzeć, że dzięki ciągłości pracy redakcji, w tym wypadku przede wszystkim Krzysztofa Myszkowskiego niestrudzenie dbającego o poziom pisma od jego początków po dzień obecny, udało się wykreować jedno z najbardziej oryginalnych zjawisk naszego życia literackiego, które już dziś może stać się kopalnią tematów dla badaczy, których wszakże przestrzegalbym przed pośpiechem w ich formułowaniu, gdyż, wierzę w to mocno, ciąg dalszy jeszcze nastąpi...

Piotr Szewc

Czytam „Kwartalnik Artystyczny” od czasu, gdy się pojawił. Naprawdę ma już trzydzieści lat? Mój stosunek do „Kwartalnika” zmienił się na bardziej osobisty, gdy sam zacząłem w nim publikować. Rychło stał się dla mnie miejscem pierwszego wyboru dla powierzanych prasie utworów. „Kwartalnik” polubiłem nie tylko dlatego, że był mi życzliwy, a nawet przyjazny. Spotykali się w nim pisarze, których ceniłem i chętnie czytałem; wielu z nich było wiernych „Kwartalnikowi” do końca swojej drogi twórczej. To wzbudza szacunek i zaufanie do samego czasopisma. No i osoba Redaktora „Kwartalnika Artystycznego” – iluż utworów czy mniej zobowiązujących zapisów nie powstałoby, gdyby nie jego zachęta i cierpliwość. Mówię nie tylko o moich utworach. Przypomnienie o terminie przekazania zamówionego tekstu działa mobilizująco, nieważne, czy się terminy lubi, czy nie. Poza tym nie mam wątpliwości, że Redaktor wie, co i dlaczego robi. I chyba ta okoliczność sprawia, że na nowy numer czekam niecierpliwie, a do lektury zabieram się z zachłannością. „Kwartalniku”, podwój swój jubileusz!

Artur Szlosarek

Trzydzieści lat dla pisma literackiego w dzisiejszym, coraz mniej przejrzystym świecie, który zdaje się codziennie zwiększać prędkość obrotu banałów, stereotypów i okaleczonych wartości, i który w głównej mierze ugania się za poklaskiem, to wiele. To bardzo dużo, szczególnie dla pisma, które nieprzerwanie stara się utrzymać możliwie najwyższy poziom prezentowanych tekstów, żadną miarą nie wpadając w pułapkę aktualnej mody, trendu czy elokwentnego pustosłowania. Ukazywać się w takiej formie przez całe trzy dekady to niewątpliwy sukces, powód do dumy i zarazem: zobowiązanie na przyszłość. Życzę więc „Kwartalnikowi Artystycznemu” dalszych sukcesów, dalszego trwania, dalszej mądrej i zdystansowanej wytrwałości.

Andrzej Szuba

Co znaczy dla mnie trzydzieści lat „Kwartalnika”? To setka z okładem opublikowanych na jego łamach strzępów-postscriptów.

Ale to nie wszystko. To również prawie dwie setki pomieszczonych na jego stronicach przekładów wierszy poetów brytyjskich i amerykańskich.

Ale to nie wszystko. To również świadomość uczestniczenia w jednym z najlepszych w Polsce przedsięwzięć wydawniczych.

Ale to nie wszystko. To również satysfakcja z dzielenia łamów z czołówką polskich poetów, tłumaczy, eseistów, krytyków *et cetera*.

Ale to nie wszystko. To również możliwość merytorycznego, acz ciepłego, telefonicznego czy epistolarnego kontaktu z Redaktorem.

Ale to nie wszystko. To również nadzieja, że ten kontakt z Pismem potrwa jeszcze nie rok, nie dwa.

I jakby tego wszystkiego było mało, to także przeświadczenie, że „Kwartalnik” potrwa dużo, dużo dłużej.

Andrzej Zawada

Pisarze i czytelnicy wiedzą, że dla podtrzymania skutecznej, wolnej od nieporozumień społecznej komunikacji za pomocą słów, niezbędna jest literatura. A ta z kolei do życia potrzebuje dobrych czasopism i mądrych wydawców.

„Najkrótsza definicja [literatury] jest taka, że to najlepszy sposób na mówienie prawdy; literatura to proces budowania wielkich, pięknych, dobrze uporządkowanych kłamstw, które mówią więcej prawdy niż dowolne zestawienie faktów. Poza tym literatura jest wieloma rzeczami, takimi jak zachwyty, zabawa, język; jest również zadziwiająco intymnym sposobem komunikowania się z ludźmi, których nigdy się nie spotka” (*Sztuka powieści*, 2016, t. 1, przeł. Adam Pluszka).

To niedawna wypowiedź poczytnego pisarza angielskiego Juliana Barnes’a.

Zanim Krzysztof Myszkowski, wraz z grupą idealistów, założył w Bydgoszczy pismo literackie, miejscem estetycznie i kulturowo szerokiej prezentacji współczesnej literatury starała się być przez siedem dekad „Twórczość”. Ten uniwersalny model ambitnego periodyku literackiego podjął w 1993 roku i kontynuuje z powodzeniem „Kwartalnik Artystyczny”.

Humanistyczny wymiar egzystencji, jaki tworzy kultura, nie zawsze i nie wszędzie traktowany jest jako oczywistość. W przeszłości też nie był bezpieczny, jego teraźniejszość jest trudna, a przyszłość niepewna. Niektóre czasopisma są dziś przejęte, niekoniecznie troską o wartościowe teksty.

W „Kwartalniku Artystycznym” widoczne jest poczucie zobowiązania wobec tradycji, tożsamy z koniecznością utrzymania ciągłości i umożliwienia następnemu pokoleniu dostępu do kulturowego dziedzictwa. Obserwując populacyjne zjawisko słabnięcia więzi z przeszłością, co wiąże się ze zmianami cywilizacyjnymi, kultura niezmiennie ma świadomość swej roli. Zapewne warto pytać, jakiego rodzaju jest to proces, co go charakteryzuje, jak przekształca on język. Czy i jak odzwierciedla tę ewolucję literatura, która „jest przecież częścią, i to ważną, rzeczywistości”. Dla Redaktora „Kwartalnika”, podobnie jak dla współpracujących z pismem autorów, jest to paradygmat.

Wertując roczniki „Kwartalnika Artystycznego”, sięgnąłem również po książki Redaktora, wśród nich po *Puste miejsce* oraz *Punkt wyjścia*. Krytyka literacka jest tu świadectwem lektury, zapisem doświadczenia czytelniczego, które staje się dialogiem z utworem i z rzeczywistością przez niego kreowaną. To empatyczna współpraca z tekstem, związek, w którym mniej istotne są „obiektywne” kryteria wartościowania i reguły opisu ewokujące ocenę. W tej odmianie czytelniczej relacji ocena jest pozytywna *a priori*, wpisana w wybór dzieła, a następnie w tok wypowiedzi. Taki zapis lektury zmienia się w swoistą „kopię” utworu, jego odtworzenie w kolejnym doświadczeniu intelektualnym. Niektórzy nazywają to esejem. Tę optykę widać również w „Kwartalniku”.

Lubię jego niejako naturalny, w istocie wszechstronny wymiar: czytamy tu wiersze, szkice, przekłady, recenzje, kroniki, notatniki – to najbardziej aktualna współczesność literacka, zarazem spełniająca warunek świadectwa. Na przykład *Głosy i glosy* czyta się po pewnym czasie jak kronikę literatury – składają się na nią portrety pisarzy, osobiste opisy ich twórczości, interpretacje i dygresje biograficzne. Wypowiedzi te, nieraz krótkie impresje, czasem dłuższe, lecz skondensowane eseje, utrwaliły szczegóły momentu, w którym były formułowane; emocje towarzyszące ponownej lekturze i ożywionej pamięci. Sylwetki pisarzy, o których mówią *Głosy i glosy*, szkicują kanon dzisiejszego piśmiennictwa, same wypowiadające się „głosy” tworzą zaś swoisty, barwny i bogaty zapis życia literackiego, jego świadomości i energii. Gdyby publikować ten cykl w wersji książkowej, powstałby niezwykle leksykon współczesności, nie tylko literackiej.

To samo można powiedzieć o przekładach klasyki dwudziestego wieku – czytamy nowe tłumaczenia między innymi Samuela Becketta, Eugène’a Ionesco, Allena Ginsberga, E.E. Cummingsa, Jamesa Joyce’a, przekłady poezji z wielu obszarów językowych. „Przeszłość – to jest dziś, tylko cokolwiek dalej” – przypomina Cyprian Norwid. Współcześnie wtóruje mu George Saunders: „Jedyną sensowną rzeczą jest zwrócić się ku poprzednim pokoleniom, również poprzez literaturę”.

Specjalnością pisma są zeszyty monograficzne poświęcone współczesnym pisarzom, konstruuje wszechstronne wizerunki, na przykład Julii Hartwig, Zbigniewa Herberta, Jana Błońskiego, Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera, Stefana Chwina... Czesław Miłosz, Tadeusz Różewicz czy Wisława Szymborska portretowani byli kilkakrotnie.

Stworzyć czasopismo literackie i z powodzeniem wydawać je przez trzydzieści lat to solidne osiągnięcie, nie tylko jak na niełatwe polskie okoliczności. Trwałość przedsięwzięć, ciągłość projektów, kontynuacja pracy poprzedników a nawet własnej, jest zrywana co pokolenie lub częściej, albo staje się niemożliwa. Delikatnemu ekosystemowi kultury nie służą częste odwroty, zaniechania, zmiany kierunku, zaprzeczenia. Stabilność staje się bardziej bytem upragnionym niż doświadczanym. Tym więcej podziwiam i cenię dojrzałą, „balzakowską” obecność „Kwartalnika Artystycznego”. Co kwartał wyczekuję nowego numeru – chętnie wyjmowałbym ze skrzynki pocztowej nowy zeszyt co miesiąc.

WILLIAM SHAKESPEARE

Tymon z Aten

w nowym przekładzie Antoniego Libery

Klątwa Tymona
akt IV, scena 1

Za murami Aten.

TYMON

Niech jeszcze raz obrócę się za siebie.

- 1375 O mury miasta, które osłaniacie
To stado wilków, rozsypcie się w proch!
Nie chrońcie dłużej Aten, nie ma sensu.
Nobliwe panie, porzućcie zasady
I się oddajcie bezwstydney rozpuście!
- 1380 Dzieci, wymówcie posłuszeństwo starszym!
Ciemna hołoto, wtargnij do senatu
I przegoniwszy z jego ław starszyznę,
Sama w nich zasiądź i obejmij rządy!
Słodkie panienki, nie krępujcie się:
- 1385 Na oczach matek zaczynajcie się puszczać.

Jeden z późnych dramatów Shakespeare'a, uchodzący za tzw. komedię problematyczną. Pisany w roku 1606, ukończony prawdopodobnie w 1607, a po raz pierwszy wydany w Folio w 1623. Po raz pierwszy wystawiony w adaptacji Thomasa Shadwella w 1674, a w oryginalnej wersji autorskiej dopiero w 1761. Shakespeare, pisząc ten utwór, opierał się na *Życiu Alcybiadesa* Plutarcha i *Tymona mizantropa* Lukiana. Nie wyklucza się, że sztuka ma współautora w osobie Thomasa Middletona.

- Tonący w długach, zamiast spłacać je,
Chwyćcie po prostu za kuchenne noże
I poderżnijcie gardła wierzycielom!
Słudzy i niewolnicy, grabcie panów:
- 1390 Oni też grabią, tylko w większej skali
I oczywiście w majestacie prawa.
Idź, pokojówko, do sypialni pana
I zrób mu dobrze, gdy jego małżonka
Akurat bawi w pobliskim burdelu.
- 1395 Krewki młokosie, wyrwij ojcu szczudła,
Którymi w swym kalectwie się podpierasz,
I łeb mu rozwal, tak by mózg wystąpił.
Niech wszelka bojaźń, pobożność, kult bogów,
Ład, sprawiedliwość, prawda, mir domowy,
- 1400 Dobre sąsiedztwo i spokojny sen,
A wreszcie edukacja, obyczaje,
Prawo, hierarchia, obrzędy i święta –
Niech się to wszystko załamie i zmieni
We własne przeciwieństwo – w skrajny chaos!
- 1405 Niech wszelkie plagi spadną na Ateny –
Dojrzały już do tego, aż się proszą!
Niech rwa kulszowa skręci senatorów,
Tak by ich ruchy były tak pokraczne
Jak uprawiana przez nich polityka.
- 1410 Niech serca młodych owładnie rozwiązałość,
By coraz śmielej odrzucali cnotę
I utonęli w rui i porubstwie.
Niech wszelkie wrzody, kurczaki i krosty
Przerodzą się w powszechny trąd w Atenach,
- 1415 A ten niech się przenosi z ust do ust,
Tak aby samo towarzystwo ludzi,
Ba, nawet przyjaźń były im trucizną.
Znienawidzone miasto, żegnam cię;
Odchodzę nagi i z niczym jak nędzarz,
- 1420 A na ostatek rzucam ci przekleństwo.

Będę żył odtąd w lesie, pośród liści;
Z dała od jadu ludzkiej nienawiści.
Bogowie, błagam, zrujnujcie Ateny,
Bo tam nie ludzie mieszkają, lecz hieny!
1425 A mnie niech wieczne potępienie czeka,
Jeśli na nowo uwierzę w człowieka!
Amen.

Wychodzi.

Dialog z Alcybiadesem
akt IV, scena 3

Las.

Z jaskini wychodzi Tymon.

TYMON

O życiodajne, dobroczynne słońce,
1500 Praż promieniami skorupę tej ziemi,
By skryta pod nią wilgotna zgnilizna
Wyparowała i zatrąła świat!
Spraw, aby losy dwóch bliźniaczych braci,
Poczętych i zrodzonych w jednej chwili,
1505 I wychowanych pod tym samym dachem,
Nie potoczyły się w podobny sposób,
Lecz tak, by tylko jeden z nich miał szczęście,
A drugi nie, i przez to by ów pierwszy
Wzgardził tym drugim. Bo tak to już jest
1510 Z pełną sprzeczności naturą człowieka,
Że powodzenie przewraca mu w głowie
I każe gardzić tymi, których niebo
Nie obsypało – jak jego – łaskami.
Weźcie żebraka i uczynicie z niego
1515 Wielkiego pana, a z kolei pana

Pozbawcie wszelkich dystynkcji pańskości –
Wierzcie mi, pierwszy będzie traktowany
Z czcią i miłością, a drugi – z pogardą.

Wszystko w istocie zależy od szczęścia:

1520 Jeśli się rodzisz w dostatku, toś syty;

A jeśli w biedzie, toś głodny i chudy.

Kto się zdobędzie – tak z ręką na sercu –
Wstać i powiedzieć o kimś: „To pochlebca”?

Bo jeśli jeden by nim był, to cóż –

1525 I wszystkich innych trzeba by tak nazwać!

Tak jak i stopnie na schodach fortuny:

Czyż nie są wszystkie wypolerowane

I, oczywiście, im niżej, tym bardziej?

Mędrzec czapkuję nadzianym bęcwałom.

1530 Wszystko jest lepkie, nieczyste, pokrętnie.

W naszej przekłętej, nikczemnej naturze

Tylko zwyczajne łajdactwo jest proste.

O, jakże wstrętne są mi dziś biesiady,

Wszelkie spotkania i rozgłosne fety!

1535 Brzydzą się teraz nawet samym sobą –

Że byłem, jaki byłem... j a k i j e s t e m!

Niech szczerze ludzkość! Niech przyjdzie zagłada!

O ziemi, daj mi choć kilka korzonków!

Grzebie w ziemi.

Tym, co szukają w tobie lepszych rzeczy,

1540 Spal podniebienie najgorszą trucizną!

Lecz cóż to? Złoto? Cenny, lśniący kruszec?

Wydobywa z ziemi okazałą garść złota.

O nie, bogowie! Prosiłem was tylko

O garść korzonków i o nic innego.

Jasne niebios! Przecież grudka złota

1545 Potrafi zmienić to, co czarne, w białe,

Podłe w szlachetne, niegodziwe w prawe,

- Stare w młodzieńcze, fałszywe w prawdziwe,
Ba, i tchórzostwo obróci na męstwo!
Bogowie, czemu? Dlaczego i po co?
- 1550 Przecież to działa na waszą niekorzyść:
Odciągnie od was kapłanów i wiernych;
Przyspieszy śmierć rodziców w sile wieku.
Ten żółty drań wymusi wszelką zdradę:
Zwiąże przysięgą, a potem ją złamie;
- 1555 Pobłogosławi najgorszym kanaliom
I każe wielbić złośliwą zarazę;
Zwykłych złodziei umieści w senacie,
Nada im prawa, godności, tytuły,
Po czym wymusi, by czcić ich na klęczkach.
- 1560 Potrafi również wydać znowu za mąż
Sflaczałą wdowę, na którą bez wstrętu
Nie spojrzysz nawet pokryty liszajem
Pacjent zakładu dla zakaźnie chorych;
Niczym magiczny eliksir lub balsam
- 1565 Tak jej wygładzi policzki i ciało,
Że znowu będzie jak majowy dzień.
Ech, wstrętna rudo, ty dziwko ludzkości,
Co skłócasz ludy, że się wyniszczają,
Już ja ci znajdę odpowiednie miejsce,
- 1570 Godne twej podłej, zdradzieckiej natury...

Zza sceny dochodzą dźwięki marsza.

Lecz cóż to, bębny?

do złota

Chociaż jesteś żywe,
Przeklęte ścierwo, pogrzebię cię żywcem,
I to tak sprytnie, że nie wyjdiesz z grobu,
Póki ten las, twój strażnik, nie spróchnieje!

Grzebie w ziemi, żeby zakopać złoto.

Nagle przerywa.

1575 Albo nie, czekaj! Przydasz mi się jeszcze.

*Odkłada część znalezionej złota na bok.
Przy dźwiękach bębnów i piszczałek
wchodzi Alcybiades, a za nim Frynia i Tymandra.*

ALCYBIADES

A ty – to kto? Odpowiedz.

TYMON

Czy nie widzisz?

Jestem bydlęciem. Podobnym do ciebie.
Niech rak ci zeżre serce, że znów muszę
Spoglądać w oczy ludzkiego rodzaju.

ALCYBIADES

1580 Jak się nazywasz? I czemu tak bardzo
Nie cierpisz ludzi, sam będąc człowiekiem?

TYMON

Nazywam się Mizantrop; bo nie cierpię
Całego rodu ludzkiego. – Żałuję,
Żeś nie jest psem, bo może wtedy trochę
1585 Bym cię polubił.

ALCYBIADES

Przecież wiem, kim jesteś.
Tylkom nie wiedział, co się z tobą stało.

TYMON

Ja też cię znam. Lecz wcale nie chcę wiedzieć,
Co tam u ciebie. Idź dalej w rytm bębnów
I maluj ludzką krwią powierzchnię ziemi.
1590 Bo niby jakie ma być wojowanie,
Gdy nawet prawo cywilne i boskie
Jest tak okrutne i nieubłagane?

Możesz być pewien, że ta nierządnicą
U twego boku o anielskiej twarzy
1595 Większe zniszczenie sieje niż twój miecz.

FRYNIA

O, niech ci zgniją usta i odpadną!

TYMON

Nie będę cię całował, więc zgnilizna
Tkwiąca w twych ustach pozostanie z tobą.

ALCYBIADES

Czemu szlachetny Tymon tak się zmienił?

TYMON

1600 Zbrakło mu blasku – niczym księżycowi.
Tyle że księżyc z czasem się odnawia,
A ja nie miałem jak tego dokonać,
Bo nie znalazło się choć jedno słońce,
Które by udzieliło mi promieni.

ALCYBIADES

1605 Mógłbym, Tymonie, zrobić coś dla ciebie?
W imię przyjaźni.

TYMON

Mógłbyś co najwyżej
Utwierdzić mnie w moim przekonaniu.

ALCYBIADES

Czyli?

Co mam uczynić?

TYMON

Przyrzeknij mi przyjaźń,
Po czym nic nie rób, aby ją okazać.

1610 I niech cię niebo – jakkolwiek postąpisz:
Czy mi odmówisz, czy dotrzymasz słowa –
Skarże lub przeklnie. Bo jesteś człowiekiem.

ALCYBIADES

Słyszałem trochę o twoich nieszczęściach.

TYMON

Mogłeś je dostrzec, kiedy mi się wiodło.

ALCYBIADES

1615 Widzę je teraz. Wtedy szybowaleś.

TYMON

Jak dzisiaj ty – z tymi ladacznicami.

TYMANDRA

Czy to ten piesszoch fortuny, co niegdyś
Tak był noszony na rękach w Atenach?

TYMON

Zwiesz się Tymandra, nieprawdaż?

TYMANDRA

Bo co?

TYMON

1620 Nic. Byłaś dziwką i dalej nią jesteś.
Biorą twe ciało, ale nie kochają.
Dawaj więc razem z rozkoszą chorobę.
Ze swoich usług zrób lepszy użytek:
Niech każdy klient po zbliżeniu z tobą –
1625 A już szczególnie różowiotki młodzik –
Łąduje w wannie z błotnistą kąpielą
I z zaleceniem bezwzględного postu.

TYMANDRA

Powieś się zamiast gadać, ty potworze!

ALCYBIADES

do Tymandry

Puść mimo uszu te wszeteczne słowa.

1630 On stracił rozum wskutek klęsk i nieszczęść.

Dzielny Tymonie, nie mam wiele złota

I muszę przez to ciągle tłumić bunty,

Które podnosi wygłodniałe wojsko.

Z wielką przykrością śledziłem, jak wstrętnie

1635 Potraktowano cię wtedy w Atenach,

Zapominając o twoich zasługach,

Jakie oddałeś ludności i miastu,

Gdy nacierali na nas z wszystkich stron

Nasi odwieczni wrogowie z sąsiedztwa...

TYMON

1640 Proszę cię, idź już. Każ uderzyć w bębny

I ruszaj w drogę.

ALCYBIADES

Jestem ci przyjazny

I żal mi ciebie.

TYMON

Jeśli tak, to czemu

Dalej zdręczasz mnie swą obecnością,

Gdy widzisz chyba, że pragnę być sam?

ALCYBIADES

1645 Cóż, bywaj zatem. A na pożegnanie

Weź tę garść złota.

TYMON

Dziękuję, nie trzeba.

Nie zjem go przecież.

ALCYBIADES

Gdy tylko Ateny

Obrócę w gruzy...

TYMON

Walczysz z Atenami?

ALCYBIADES

Owszem, i mam po temu ważki powód.

TYMON

1650 Niech więc bogowie najpierw twoim mieczem
Zniszczą Ateny, a następnie ciebie.

ALCYBIADES

Mnie? Za co?

TYMON

Za to, że choć występujesz

Przeciwko łotrom, to jednak zarazem

Przeciwko mojej – i własnej – ojczyźnie.

1655 Bierz swoje złoto i ruszaj stąd wreszcie!

Bądź jak zaraza, którą zsyła niebo;

Jak trucicielska, śmiercionośna chmura,

Którą nad miastem występku zawiesza

Zniecierpliwiony, rozgniewany Jowisz.

1660 I niech twój miecz nikogo nie oszczędzi:

Nie miej litości dla starca – to lichwiarz;

I nie nabieraj się na strój matrony –

To stręczycielka wbrew wszelkim pozorom.

Niech nie osłabi ciosu twego miecza

1665 Urocza buźka niewinnej dziewczyny –

- Jej mleczne piersi, które zza koronek
Niby niechcący wabią męskie oczy,
Nie zasługują na ułaskawienie;
To podli zdrajcy przynoszący zgubę.
- 1670 Nie daruj nawet niemowlęciu, które
Rozczula głupców bezzębnym uśmiechem;
Przyjmij, że jest to podejrzany bękart,
O którym wróżba niejasno powiada,
Że gdy dorośnie, poderżnie ci gardło,
- 1675 I póki czas go zabij – bez skrupułów.
Nałóż na głowę tak szczelną przyłbicę,
By żadne krzyki kobiet, matek, dzieci
Ani widoki świętych szat kapłańskich
Nie mogły przebić się przez nią i dotrzeć
- 1680 Do twoich oczu i uszu. – Masz tutaj
Na opłacenie swych żołnierzy złoto.
Siej spustoszenie, a gdy już twój gniew
I żądza zemsty ostygną – sam szczętnij!
I ani słowa już, odejdz.

ALCYBIADES

A zatem...

- 1685 Masz jeszcze trochę złota! – Wezmę je.
Lecz z twoich rad, pozwolisz, nie skorzystam.

TYMON

Zrobisz, co zechcesz. I niech cię szlag trafi.

FRYNIA I TYMANDRA

Daj i nam trochę, kochany Tymonie.
Nie masz go więcej?

TYMON

- Wystarczy na tyle,
- 1690 By dziwka chętnie odeszła z zawodu
I stała się rajfurką; i by odtąd

Inne paniusie za nią się kurwiły.

A teraz, szmaty, nadstawcie fartuchy.

Wiem, że nie można wam ufać za grosz –

1695 Chociaż na pewno byście przysięgały

Tak ekstatycznie, że nawet bogowie

Mogliby nabrać się na tę komedię –

Tak więc oszczędźcie sobie ślubowania.

Ufam biegłości waszej w udawaniu;

1700 Doceniam wasze kurewskie rzemiosło.

A gdyby jakiś pobożniś próbował

Nawrócić was na prostą drogę cnoty,

Nie dajcie się – rozpalcie w nim namiętność

I tak ją podgrzewajcie, aby spłonął.

1705 Tak, tak, nie zdradźcie swego powołania –

Na przekór comiesięcznym przypadłościom.

Noście peruki choćby z włosów trupów –

Nawet wisielców – to nie ma znaczenia.

Byle zwodziły. Byle u w o d z i ł y.

1710 Bądźcie kurwami bez reszty, do końca!

Skrywajcie zmarszczki, kładąc na nie maści

I tyle farby, że koń by w niej ugrzązł.

Rzuca po kawałku złota każdej z kobiet.

FRYNIA I TYMANDRA

No i co? – Dalej! – Daj więcej, Tymonie.

Wierz nam, za złoto wykonamy wszystko.

TYMON

1715 Roznośćcie syfa. Niech waszym klientom

Próchnieją kości i pączkują guzy,

Tak by nie mogli nawet wsiąść na konia.

Niech adwokaci stracą gromki głos,

Owo narzędzie, które im pozwala

1720 Bronić złej sprawy w nieuczciwy sposób.

Niech wasza franca naznaczy kapłana,

- Który potępia cielesność i grzech,
A w duchu śmieje się ze swoich kazań.
I precz z nosami – niech całkiem odpadną,
1725 Zwłaszcza tym lisom, co dbając rzekomo
O dobro wspólne, węższą tylko za tym,
Jak by tu uszczknąć cokolwiek dla siebie.
Włochate zbiry niech stracą swe kudły.
A tych, co żadnej nie odnieśli rany,
1730 Chociaż się chełpią największą bitnością,
Uraćcie czymś specjalnym – wyjątkowym,
By odrobili zaległości w bólu.
Zarażcie wszystkich. Niech za waszą sprawą
Wyschnie bez reszty wszelkie źródło życia.
1735 Macie tu więcej.

Znów rzuca po kawałku złota.

Roznośćcie zarazę,
Aż i was w końcu jej fala pochłonie.
A grobem waszym niech będzie dół z wapnem.

FRYNIA I TYMANDRA

Więcej, Tymonie! – Im więcej dorzucisz,
Tym więcej zleceń przyjmiemy od ciebie.

TYMON

- 1740 Najpierw wykażcie się, co potraficie.
Więcej kurewstwa, więcej szkód i zła.
To było tylko na zachętę.

ALCYBIADES

- W drogę!
Uderzyć w bębny i marsz na Ateny!
Bywaj, Tymonie. Jeżeli zwyciężę,
1745 Powrócę tutaj i znów cię odwiedzę.

TYMON

A jeśli moje nadzieje się spełnią,
To nie powrócisz i już cię nie ujrzę.

ALCYBIADES

Czemu tak mówisz? Nie skrzywdziłem cię.

TYMON

Owszem, skrzywdziłeś – dobrze o mnie mówiąc.

ALCYBIADES

1750 To ma być krzywda?

TYMON

Jeśli tego nie wiesz,
To w swoim czasie przekonasz się o tym.
A teraz idź już i zabierz ze sobą
Te gończe suki.

ALCYBIADES

Wyraźnie ma dość
Naszego towarzystwa. – Bębny! W drogę!

Odgłos bębnow.

Alcybiades, Frynia i Tymandra wychodzą.

ICCHOK BASZEWIS SINGER

w przekładzie Mariusza Lubyka

Żal

1

Kobiety! Wymądrzacie się na ich temat, jakbyście wszystkie rozумы pozjadali. A naprawdę jesteście tylko zgrają naiwniaków. Posłuchajcie mnie. W moim wieku już się wie, że nie opłaca się żyć jak Casanova. Nigdy nie spotkacie dwóch takich samych charakterów słabej płci, dlatego obcuując z nimi, trzeba fantazjować. Są jak wiatr w polu, co raz wieje w jedną, raz w drugą stronę. I nie ma kogoś takiego, jak znawca kobiet. Jeśli o nas chodzi, nigdy nie wiemy, co zrobimy, kiedy przyjdzie ochota. Miałem ich pełno i nie jestem erotomanem gawędziarzem jak wy. Tutaj w Siedlcach każdy chłystek, każdy gówniarz myśli, że jest kozakiem, wielkim jak topola. Co wy wiecie o prawdziwych kobietach? Wszyscy mówicie o dziwkach; w Warszawie znajdziecie ich tuzin na każdym rogu ulicy. Przez dziesięć lat żyłem z niewiastą o wielkiej klasie, pochodzącej z dobrej kaliskiej rodziny. Nie pisałem jej słówkiem, jak zarabiam na życie. Powiedziałem, że jestem agentem nieruchomości. Kiedy przyjechała z Kalisza, zamieszkaliśmy w Warszawie, w eleganckiej dzielnicy, z dala od miejsc, gdzie harcowali moi chłopcy. Naprawdę się kochaliśmy, nie żadne ordynarne romansiki w waszym stylu. Wystarczyło, że na mnie spojrzała i już się robiła wilgotna. Jej ojciec, właściciel sklepu z galanterią skórzaną, był chasydem, a brat studentem jesziwy. Ale ona, nowoczesna dama, chodziła i na potańcówki, i do teatru; do Kalisza raz na jakiś czas przyjeżdżali aktorzy¹. W każdym razie, w pewną sobotę po południu spotkaliśmy się w herbaciarni. Na chwilę

Opowiadanie w jidysz ukazało się 22 kwietnia 1956 roku w nowojorskim dzienniku „Forwerts”; przekład angielski Joela Blockera został opublikowany w *Isaac Bashevis Singer: Collected Stories*, vol. 3, Nowy Jork 2004.

¹ W Kaliszu od roku 1800, niemal bez przerwy, działa stały teatr repertuarowy. Istniały także sceny amatorskie, w tym do 1939 żydowska (przypisy pochodzą od tłumacza).

zawiesiła na mnie wzrok i cała zaczęła drżeć. No, już dosyć tych uśmieszków, to się działo dwadzieścia lat temu. W tamtym czasie naprawdę byłem bożyszczem kobiet, chłopem na schwał o niesamowitym apetycie, potrafiącym pożreć całą gęs i popić dwudziestoma kuflami piwa. Zjedzenie na śniadanie piętnastu jaj to była gratka! Jeszcze teraz mógłbym się zmierzyć z którymś z was i zrobić z niego miązgę. Wszystkie spódnice z Krochmalnej i Gnojnej szalały za mną. Dostawałem listy miłosne od przyzwoitych panienek z najlepszych chasydzkich domów. Nawet na Grzybowie o mnie słyszeli. Jeśli kłamię, niech zgniję w tej norze! Przekłęci Rosjanie, łajdakami są przede wszystkim dlatego, że mnie tutaj posadzili!

No cóż, pojechałem kiedyś do Kalisza na robotę. Nie udało się, ale nic nie szkodzi. W sobotę siedzę w herbaciarni z kilkoma chłopakami, a ona wchodzi. Blondyna o niebieskich oczach, wyglądająca jak gojka. Omal nie padłem trupem. Zamawia herbatę, kręcąc tyłeczkiem. Robi do mnie maślane oczy i delikatnie zachęca, żebym podszedł. Rozmawiamy przez chwilę. Wkrótce zostawiam całą kompanię i zabieram ją na spacer na główną ulicę miasta. Cały Kalisz na nas patrzy. To mi na pewno nie pomoże w moich interesach, ale nic więcej się nie liczy. Błyskawicznie między nami zaiskrzyło. Całuję ją, a ona gryzie mnie w język. Nie będę owijać w bawełnę – tamtej nocy ją miałem. Ale to była porządna dziewczyna, nie jedna z tych waszych dziwek; dwa miesiące później stanęliśmy pod chupą. Donieśli jej ojcu o różnych moich sprawkach i nie przyszedł na nasz ślub. Cóż było robić, celebrowaliśmy bez niego. To mu pomogło jak umarłemu stawianie baniek. Wynajęliśmy dwa pokoje z kuchnią na Muranowskiej (Szeroka Miła) i żyliśmy z klasą. Nawet moi chłopcy nie wiedzieli, że się ożeniłem. Do domu wracałem w nocy pieszo albo wsiadałem do omnibusu – wtedy nie jeździły jeszcze tramwaje. Warszawa to przecież nie Siedlce, gdzie plotkowano, że się prowadzam z jakąś elegancką damulką. Ale wszyscy wiedzieli, że nie lubię wścibskich. Motłoch uważał mnie wtedy za najważniejszą osobę; przychodzili do mnie ze wszystkimi problemami. Ślepy Icze² nie miał wtedy jeszcze swojej ugruntowanej pozycji.

Minął rok, ale sprawy nie układały się pomyślnie. Dlaczego? Z różnych powodów. Żona wiecznie miała muchy w nosie, że przez cały dzień byłem poza domem, a czasami nie wracałem na noc. Kiedyś, gdy mnie przyłapali na gorącym uczynku i kilka tygodni spędziłem w areszcie, odkryła czym się zajmuję i wpadła

² Postać wielokrotnie pojawiająca się w twórczości Singera, wzorowana na prawdziwej osobie, popularnej w żydowskim, barwnym półświatku ulicy Krochmalnej w czasach młodości pisarza.

we wściekłość. To było poniżej jej godności, przyznać się do wszystkiego przed rodziną. Szczerze wam powiem, miałem jej po dziurki w nosie. Na początku była gorętsza od pieca, a potem zamieniła się w lód. Trzy razy poroniła. Odwiedziła wszystkich lekarzy w mieście, ale nie przestała jęczeć i narzekać. Kocham dzieci i zrobię dla nich wszystko, nigdy nie podniosłbym ręki na szczeniaka. Gdy się okazało, że nie może być matką, to na cóż mi ona? Kiedy opowiedziałem o swoich kłopotach kumpłowi, powiedział: „Rzuć ją, no cóż, pomyliłeś się”. Ale zrobiło mi się jej żal. Rodzice się jej wyrzekli i nie miała dokąd pójść. Chłopcy, wiecie, że nie jestem mięczakiem. Mordercą też nie, to prawda, ale jeśli trzeba, zrobię z noża użytek jak każdy inny twardziel. Nie mdleję, kiedy leje się jucha. Ale jej – jak to nazywają? – współczułem. Krótko mówiąc, znosiłem to wszystko w milczeniu.

Wy, próżniacy, oprócz mnie, jak jeden mąż, uganiacie się za spódniczkami. Nie oglądam się za każdym zgrabnym tyłkiem, jaki zobaczę. Wolę jedną sztukę, ale ona musi być pierwszej klasy. Jeśli moja kaliszanka nie potrafiła mnie uszczęśliwić, to cóż była warta? Mogę mieć ich tyle, ile zechcę, ale zrobiłem się wybredny. Kobieta musi rozpalić we mnie ogień. Jeśli tego nie potrafi, to nie jest warta kiwnięcia nawet palcem...

I tak minęło kilka lat. W domu stałem się gościem. Ale w każdy piątek żona dostawała pieniądze. W tamtym czasie miałem wielkie szczęście, gdyż gliny zostawiły mnie w spokoju, komisarz o mnie zapomniał. Z biegiem lat nic się jednak nie zmieniło w naszym pożyciu, przeciwnie, żona zrobiła się jeszcze gorsza. Na widok jej wyjątkowej urody wciąż zapierało dech w piersiach. Wpadłaby wam w oko. Kiedy zakładała futro, mufę i kapelusz ze strusich piór, cała ulica nie mogła oderwać od niej oczu. Intrygowała przechodniów! Ale ja wiedziałem, że to wszystko było na pokaz, niczym sztuczne ognie. Nie przestawała zrędzić i zadzierać nosa. Wszystko robiła dla mnie z łaski. Nikt nie odważyłby się wejść mi w słowo, a ona wyzywała mnie od złodziei i bandytów. Czasem traciłem panowanie nad sobą i dostawała, co chciała. Ale nieważne, w jaką złość wpadałem, nie uwierzycie, pilnowałem się, aby nie podnieść na nią ręki. Wciąż była tatusiną córeczką, małą dziewczynką. Lecz ojciec nie chciał jej znać, a ona nie przestawała trajkotać o jego bogactwie i wielkich znajomościach z wybitnymi rabinami. Przy stole śpiewała jego pieśni szabasowe i płakała jak dziecko. Nadal pozostawała mi wierna, ale co mi z jej wierności? Stale plotła o mnie jakieś koszałki opałki; mówię wam, jeździła po mnie jak po burej suce. Przed ludźmi robiła ze mnie głupka. Jeśli ktokolwiek inny wyrażałby się o mnie w ten sposób, podobnie mnie traktował, już dawno gorzko by tego żałował. Dzierlatka z Kalisza zmieniła mi życie w piekło! Bez względu na to, ile pieniędzy ode mnie dostawała, zawsze było za mało.

Biegała od sklepu do sklepu niczym jakaś rozkapryszona panienka z wyższych sfer. Mieszkanie, zapchane towarami, wyglądało jak skład paserski. Kupiła nawet papugę i psa. W nocy spał w jej łóżku. Gdy próbowałem go wyrzucić, warczał na mnie. Kiedy zachorował, biegła z nim do lekarza. Z kolei od hałasu, jaki robiło ptaszysko, myślałem, że zwariuję. Żeby chociaż umiała gotować, ale to, co serwowała, nadawało się wyłącznie dla kóz. Cóż mogę jeszcze powiedzieć? Zaciskałem zęby i znosiłem to wszystko, spełniając każdą jej zachciankę. Inny facet już dawno by ją zostawił.

Mówią, że nie znamy czegoś takiego jak litość. To jakiś żart! Kiedy zachorowała, natychmiast zabrałem ją do doktora Knastera. Zatrudniłem też dla niej służącą. W mieszkaniu zawsze gościła dziewczyny ze śladami po ospie; były tak brzydkie, że z trudem przychodziło przełknięcie kawałka chleba w ich towarzystwie. W chwili, kiedy wracałem do domu, uderzała w płacz. Chłopcy, zostałem bez grosza, bo oddałem jej ostatniego rubla. Nigdy bym nie przypuszczał, że jeden z nas może mieć tyle litości. Przeklinam ją! Niech się jej ciągle wypalają wnętrzności, bez końca!

Posłuchajcie, jak ta jędza wsadziła mnie do paki...

2

Zawsze powtarzała, że gdyby mnie zamknęli, to mi pokaże, jaką będzie dobrą żoną. Czego potrzebujemy za kratkami? Żeby nas ktoś odwiedził raz na jakiś czas i przysłał paczkę. Ale od chwili kiedy mnie złapali, nie odezwała się do mnie ani słowem, po prostu przepadła bez wieści. Moi chłopcy robili, co mogli, abym się nie czuł opuszczony. Ona milczała. Paczek potrzebowałem od niej, jak kurwa majtek, ale jakież wstyd przed innymi, którym się przyznałem, że jestem żonaty. Klawisze także pokpiwali sobie ze mnie z tego powodu. Kiedy jednego ze współwięźniów zwalniali, wysłałem przez niego gryps. Pozostał bez odpowiedzi. Zacząłem rozmyślać, Bóg jeden wie o czym – ostatecznie jestem tylko człowiekiem. Wkrótce ogłosili dla wszystkich nas amnestię i wyszedłem na wolność. Chłopcy zrobili imprezę w jednej z naszych melin i do domu dotarłem dobrze po północy. I domyślacie się już? Zgadza się. Przyłapałem moją ptaszynę w łóżku z fagasem. Zabiłbym go na miejscu, ale w ciągu ułamka sekundy wyskoczył przez okno. Uciekł bez najmniejszego zadraśnięcia. Mieszkaliśmy na parterze i było lato. Nie pobiegłem za nim, żeby nie robić sceny; sąsiedzi podnieśliby raban. Spokojnie zamknąłem okno i powiedziałem jej, że jeśli sprawy tak się mają, to czas, abym z nią skończył. Wyciągam gnata, a ona pada mi do nóg biała jak chałka, całuje stopy, płacze i skomle: „Daruj mi życie, pozwól mi żyć, zbij mnie, ale nie strzelaj!”. Łapie

za kolano i wije się wokół mnie jak żmija. Potrząsam nią, odpycham i szarpnię; ona się nawet nie poruszy. Kobiety nie są takie słabe, jak się nam wydaje. Ze wszystkich sił próbowałem się od niej oderwać, ale nie puściła. Zaklinała mnie na śmierć swojej matki, żebym jej nie zabijał. Jak mogłaś zrobić coś podobnego, pytam, to w taki sposób postępują w Kaliszu? Nagle spotulniała jak baranek. Była sama i on jej pomagał, dawał pieniądze, zachorowała i czuła się samotna – znacie tę śpiewkę w takich chwilach. Inny na moim miejscu w najlepszym razie zrobiłby z niej kalekę. Ale wiercie lub nie, z natury mam miękkie serce. Nie potrafię przejść obojętnie, słysząc płacz. Kiedy mijam kondukt pogrzebowy i słyszę zawodzenia wdowy: „Jestem taka młoda, a ty mnie zostawiłeś samą!”, oczy robią mi się wilgotne. Więc co miałem z nią zrobić? Nie jestem mordercą, a cóż mi przyjdzie, że złamię jej żebro lub dwa, tylko koszty – rachunki za lekarza. Zdzieliłem ją kilka razy pasem i pozwoliłem odejść. Dostała to, co chciała...! Co?! Czy z nią spałem tej nocy?! To, kurwa, nie twoja sprawa! Stul pysk, bo cię stąd wyniosą w skrzynce!

Chłopcy, pogodziliśmy się. Gdzie miałem ją odesłać? Jej ojciec już nie żył, a matka znalazła sobie nowego. Uwierzylibyście, że mogłem się zachować w ten sposób. Dość szybko sprawy się jakoś ułożyły, ale to nie było już to, co kiedyś. Uraza pozostała – o tutaj! I właśnie w tym czasie spotkałem Elke. Była jedną z naszych dziewczyn, ale z klasą. Miała rumiane policzki, jak jabłka. Zналиśmy się już wcześniej, ale nagle staliśmy się dla siebie niczym Romeo i Julia. Powiedziała mi, że miała na mnie chrapkę od dłuższego czasu, jednak bała się podejść. Tak czy siak, to było coś poważnego. Cóż mogę powiedzieć? Miałem wiele kobiet, ale drugiej takiej jak Elke nie było w całej Warszawie. Słodziutka. Kiedy się całuje, dostaje się zawrotów głowy. A sposób, w jaki i co mówi, trafia prosto do serca. Wcześniej gustowałem w blondynce, Elke zaś była brunetką, o oczach niczym żarzące się węgielki i figurze królowej Estery. A z jaką gracją się poruszała! Chodziła, przężąc się i uwypuklając kształty. Połowa Krochmalnej wdychała do niej, ale ona odpowiadała im wszystkim, żeby się od niej odczepili. Zrezygnowała z dawnej pracy i otworzyła legalną pracownię gorseciarską. Zatrudniała dziewczyny, a pieniądze trafiały do jej kieszeni. Na noc maszyny i stoły w warsztacie przykrywano białymi prześcieradłami, i wyglądało to na jakieś święto. Elke zawsze nosiła jedwabną bluzkę i koronkowy fartuch. Czasami przygotowywała mi posiłek, który z powodzeniem nadawał się dla samego Rotszylda. Niekiedy przychodziłem z kilkoma kumplami, przynosiliśmy trochę mięsa, bułki z makiem i piwo; nie jestem pijakiem – o pierwszej w nocy dawałem im do zrozumienia, żeby już sobie poszli. Byłem szczęśliwy, że zapomniałem, iż mam żonę! Dostawała swoje pieniądze i do diabła z nią! Wciąż jednak miała pretensje – gdzie spędzam czas, dlaczego

zostawiam ją samą? Jak mogłem, starałem się przed nią utrzymać wszystko w jak najściślejszej tajemnicy, ale kobiety mają nosa w tych sprawach. Zrobiła się zazdrosna i mówiła, że obleje kwasem twarz Elke. Nie daję się tak łatwo przestraszyć, jednak stale próbowałem łagodzić sytuację. Dawałem jej prezenty, a to jakąś drobnostkę, a to znowu coś nowego. Nienawidzę skandali, to dobre dla szumowin, dla drobnych opryszków.

Wiadomo, jak to jest z miłością. Jeśli niestudzona, to rozpała się. Elke nie umiała żyć beze mnie, ja z kolei tak bardzo za nią tęskniłem, że kiedy na noc wracałem do domu, nie mogłem spać. Przestałem też pracować; zbyt duże ryzyko.

Jeśli się ma kobietę, taką jak ona, boisz się wpadki, że nie przeżyjesz rozłąki. Zostałem bez pieniędzy, ale Elke wsuwała mi do kieszeni od czasu do czasu kilka rubli. Idź – mówi – kup sobie garnitur lub buty. Poznałem, jak mogłoby wyglądać życie z kobietą! Wciąż napomykała, że powinniśmy na dobre uporządkować sprawy; jak długo można być złodziejem? Ona ma pracownię, ja mógłbym kupić furgonetkę lub otworzyć wyszynk. Ale co miałbym zrobić z żoną – zakonserwować w solance?

Pewnej nocy Elke mówi mi w sekrecie, że już od paru miesięcy nie dostaje okresu i wkrótce będziemy mieli *mazel tow*³. Ogarnęła mnie taka radość, że prawie oszalałem ze szczęścia. Całe życie chciałem zostać ojcem. Tańczyliśmy z radości. Ale Elke stawia mi warunek:

- Musisz zakończyć historię z żoną, nie chcę, by nasz syn urodził się bękartem.
- Co mam z nią zrobić? – pytam.
- Rozwiedź się – odpowiada.

Na Stawki mieszkał rabin, który dawał rozwody bez ceregieli. Jeśli żona nie chciała się zgodzić, można było przypiąć papier do jej chusty lub wsunąć go do torebki i po sprawie. Nie mieliśmy żadnych oficjalnych dokumentów, w każdym razie nie mogłaby się ze mną procesować. Ale w owej chwili, chłopcy, uświadomiłem sobie, jak głęboko tkwiło wciąż we mnie współczucie dla niej. Jak sobie poradzi? Nie była już taka młoda i piękna. I właśnie w tym czasie spokorniała jak baranek, przestała zrządzać i pyskować. Jestem w domu – dobrze, nie – trzyma buzię na kłódkę. Myje mi nogi, podaje szklankę z gorącą bawarką, a wszystko to w absolutnej ciszy i z szacunkiem, że wydaje ci się, iż jest głuchoniema. Bierze mnie za rękę i błaga: „Herszel, rób co chcesz, ale nie niszczonego małżeństwa. Jesteś dla mnie wszystkim, ojcem i matką”. Płakała tak gorzko, że omal nie pękło

³ Hebr., radosny toast – „Na zdrowie!” (dosłownie: na życie).

mi serce. Przysięgałem, że chciałbym z nią zostać, ale w moim sercu nie ma już dla niej miejsca. Elke z kolei twierdziła, że zwlekam z podjęciem decyzji i zaczęła rozpaczliwą walkę.

– Słuchaj, nie myśl sobie, że jak zrobisz mi brzuch, to możesz mnie traktować jak szmatę. Daję ci trzy dni na podjęcie decyzji – albo ona, albo ja. Jeśli zostajesz z żoną, wyjeżdżam do Ameryki. Myślałam o tym od dawna. Mam tam ciotkę. Na co mi wałęsanie się po Warszawie, gdzie każdy drań sądzi, że z powodu mojej przeszłości może się do mnie przystawiać i startować z łapami. Klienta zainteresowanego pracownią i maszynami już mam. A zatem daj mi odpowiedź, taką czy inną.

Chłopcy, jeśli mi nie padło na głowę w ciągu tych dni i nie zabrali mnie do domu wariatów, to muszę być z żelaza! W nocy nie mogłem spać, rzucałem się w łóżku jak w malarii. Z trudem przetykałem każdy kęs jedzenia. Niech mnie kule biją, jeśli kłamię! Wiedziałem, że to samobójstwo, bo żadna nie zastąpi Elke. Ale czułem tak przejmujący żal dla tamtej, że... Ech, co tu gadać, co to da? Nie jestem pijakiem, ale wychodziłem i dosłownie tankowałem. Jedną noc, dwie, cały tydzień. W ciągu dnia spałbym przez cały czas w łaźni parowej. Myślałem, że to koniec, iż bliski jestem utraty zmysłów. Torturowałem się, jak masochista; człowiek kopiący własny grób. Unikałem chodzenia po Krochmalnej. I tak minęło kilka tygodni. Elke wszędzie mnie szukała, ale ukryłem się jak szczur. Dzisiaj wiem, że mój mały kawałek towaru z Kalisza rzucił na mnie urok. Słyszałem o miksturach, które po wypiciu, zamazują prawdziwy obraz sytuacji. A może odwiedzała wróżbitę, Szyllera-Szkolnika lub kogoś w tym rodzaju. Próbowalem się przemóc i pójść, spojrzeć Elke prosto w oczy, ale po prostu nie umiałem tego zrobić. Kiedy się zbierałem na Krochmalną, Pragę lub Pelcowiznę, zawsze kończyłem gdzie indziej. Raz udałem się do rabina; chciałem z nim porozmawiać o rozwodzie, ale zamiast tego zadawałem mu pytania o zupy i mięsa, garnki i patelnie, czy to, czy tamto było koszerne. Zupełnie straciłem apetyt, schudłem i zrobiłem się cienki jak patyk. Spodnie dosłownie na mnie wisały; ledwie mogłem je utrzymać. Kiedy szedłem ulicą, łzy spływały mi po policzkach. Nie wiedziałem dlaczego, ale z jednego zdawałem sobie sprawę, że nie mógłbym tego zrobić. Być może jej zmarły ojciec wstawił się za nią na tamtym świecie. W każdym razie, zamiast się pozbyć garba, udało mi się uwolnić od Elke. Dlaczego jej nie współczułem? Przecież była tak cierpliwie ludzka i nosiła także moje dziecko. Ale powiem wam, jeśli już jeden z nas komuś współczuje, to na pewno niewłaściwej osobie. Jesteśmy jak ślepy koń, który się potyka o rów.

Dlaczego ciągnąłem to w nieskończoność? Kiedy się wreszcie otrząsnąłem z tego szaleństwa i pojawiłem w pracowni, Elke już nie zastałem. Sprzedała wszystko za bezcen i wyjechała do Ameryki, sama, bez mężczyzny. Moi chłopcy nie dawali mi spokoju ciągłymi pytaniami; dlaczego postąpiłem w ten sposób, w jakim celu? Tylko że kiedy się przychodzi po rozum do głowy, zazwyczaj jest już za późno. Zrobiłem się tak zgorzkniały, że znowu zacząłem chlać, aby zalać robaka. Z moją kaliską ślicznotką męczyłem się jeszcze przez rok. To było straszne. Jak tylko Elke wyjechała, natychmiast znowu pokazała rogi. Nie potrafiłem jej już dłużej ścierpieć i pozwalać na wszystko. Ale właśnie wtedy wpadłem po same uszy, gliny złapały mnie na poważnej robocie...

– Doniosła na ciebie, co?

– Jak na to wpadłeś?

– To było do przewidzenia.

– Tak, wsypała mnie. A kiedy już mnie zamknęli, to wszystko sprzedała i odeszła z innym. Zostawiła mnie bez mrugnięcia okiem.

– Gdzie uciekła?

– Także do Ameryki.

– I nigdy więcej już o nich nie usłyszałeś?

– Nie, jakby utonęły w oceanie.

– To nawet nie wiesz, czy Elke urodziła chłopca, czy dziewczynkę?

– Nie wiem.

– No, to gadka o frajerach! Jesteś największym z nich!

– Tak, jestem frajerem. Ale ty lepiej stul pysk, bo jak ci przyłożę, to Kraków zobaczysz.

Spotkanie

Doktora Maksa Greitzera obudził telefon. Zegar na nocnym stoliku wskazywał kwadrans przed ósmą. „Kto dzwoni tak wcześnie?” – wyszeptał i podniósł słuchawkę.

– Doktorze Greitzer, przepraszam za telefon o tej porze. Ale zmarła osoba, która kiedyś była panu droga... Liza Nestling – powiedział żeński głos.

– Mój Boże!

– Pogrzeb jest dzisiaj o jedenastej. Pomyślałam, że chciałby pan o tym wiedzieć.

– Słusznie, dziękuję... Dziękuję pani, Liza Nestling odegrała ważną rolę w moim życiu. Czy mogę spytać z kim rozmawiam?

– To bez znaczenia. Liza i ja zaprzyjaźniłyśmy się po waszym rozstaniu. Ceremonia odbędzie się w zakładzie pogrzebowym Gutgestalta. Zna pan adres?

– Tak, dziękuję.

Kobieta odłożyła słuchawkę.

Doktor Greitzer leżał chwilę nieruchomo. Tak więc Liza odeszła. Dwanaście lat minęło od ich zerwania. Była jego wielką miłością. Ich romans przetrwał piętnaście lat – nie, nie piętnaście, trzynaście. Ostatnie dwa były wypełnione tyłoma nieporozumieniami i problemami, tak wielkim szaleństwem, że słowa nie mogłyby ich opisać. Ta sama siła, która tę miłość napędzała, była jej przekleństwem. Doktor Greitzer i Liza Nestling nigdy się już nie spotkali. Nie wymienili żadnych listów. Od jej przyjaciółki dowiedział się, że miała romans z jakimś niedoszłym dyrektorem teatru, ale to wszystko, co o niej słyszał. Nawet mu do głowy nie przyszło, że Liza wciąż mieszkała w Nowym Jorku.

Hiobowa wieść tak go przygnębiła, że nie pamiętał, jak się rano ubierał czy w jaki sposób znalazł się w zakładzie pogrzebowym. Kiedy przybył, zegar po

Opowiadanie w jidysz ukazało się w nowojorskim dzienniku „Forverts” 14 lutego 1974 roku, po angielsku w przekładzie autora pt. *The Reencounter* po raz pierwszy w bostońskim miesięczniku „The Atlantic” w kwietniu 1979; w formie książkowej w *The Collected Stories of Isaac Bashevis Singer*, Nowy Jork 1982.

drugiej stronie ulicy wskazywał ósmą trzydzieści pięć. Otworzył drzwi i recepcjonistka powiedziała mu, że przyjechał za wcześnie. Ceremonia odbędzie się punktualnie o jedenastej.

– Czy mogę ją teraz zobaczyć? – zapytał. – Jestem jej bardzo bliskim przyjacielem i...

– Sprawdź, czy wszystko dopięto już na ostatni guzik – dziewczyna zniknęła za drzwiami.

Doktor Greitzer rozumiał, co miała na myśli. Zmarłych misternie się przygotowuje, zanim się ich pokaże rodzinom i innym uczestnikom pogrzebu.

Dziewczyna szybko wróciła i powiedziała:

– Wszystko w porządku: czwarte piętro, pokój numer trzy.

Mężczyzna w czarnym garniturze zabrał go windą i uchylił drzwi do wskazanego pokoju. Liza leżała w trumnie otwartej na wysokości ramion. Jej twarz przykrywała merla. Rozpoznał ją tylko dlatego, że wiedział, iż to ona. Czarne włosy zmatowiały. Policzki zaróżowiono, a zmarszczki wokół zamkniętych oczu ukrywał makijaż. Na uszmiokowanych, czerwonych ustach rysował się cień uśmiechu. Jak oni to robią? – zastanawiał się Maks Greitzer. Liza oskarżała go kiedyś, że zachowuje się jak maszyna, jak robot bez uczuć. Zarzut był zwykłą insynuacją, tylko teraz, o dziwo, wydawał się słuszny. Nie czuł ani przygnębienia ani przerażenia.

Drzwi do pokoju otworzyły się i weszła kobieta niesamowicie podobna do Lizy. „To Bella, jej siostra” – powiedział do siebie Maks Greitzer. Liza często opowiadała o młodszej siostrze, która mieszkała w Kalifornii, lecz on jej nigdy nie spotkał. Odsunął się na bok, by kobieta też mogła podejść do trumny. Jeśli wybuchnie płaczem, będzie w pobliżu i ją pocieszy. Ona nie okazała jednak żadnego szczególnego wzruszenia i postanowił zostawić ją samą, lecz naraz przyszło mu do głowy, że może się bać przebywać w pojedynkę ze zwłokami, nawet rodzonej siostry.

Po kilku chwilach kobieta odwróciła się i rzekła:

– Tak, to ona.

– Przypuszczałem, że pani przyleciała z Kalifornii – odezwał się Maks Greitzer, tylko po to, by coś powiedzieć.

– Z Kalifornii?!

– Pani siostra była mi kiedyś bliska. Często o pani mówiła. Nazywam się Maks Greitzer.

Kobieta stała w milczeniu i wydawała się zastanawiać nad jego słowami.

Następnie powiedziała:

– Myli się pan.

- Jak to się mylą?! Nie jest pani jej siostrą, Bellą?!
- To nie wie pan, że Maks Greitzer umarł? W gazetach był nekrolog. Maks Greitzer próbował się uśmiechnąć.
- Prawdopodobnie to inny Maks Greitzer.

W chwili, gdy wypowiadała te słowa, odkrył prawdę: on i Liza, oboje nie żyją, a kobieta, która do niego mówiła, to nie Bella, tylko Liza we własnej osobie. Teraz zdał sobie sprawę, że gdyby nadal żył, byłby zdruzgotany z rozpacz. Tylko ktoś po innej stronie życia mógł z taką obojętnością pogodzić się ze śmiercią ukochanej ongiś osoby. Co to było, czyżby doświadczał nieśmiertelności duszy? – zastanawiał się. Gdyby mógł, roześmiałby się teraz, ale ułuda ciała zniknęła: on i Liza nie mieli już więcej substancji materialnej. A jednak oboje byli obecni. Bezgłośnie zapytał:

- Czy to możliwe?

Usłyszał odpowiedź w wytwornym stylu Lizy:

- Jeśli jest, to zatem musi być możliwe.

I dodała:

- Informuję cię, że twoje ciało też tutaj leży.

– Jak to się stało? Ostatniej nocy poszedłem spać jako człowiek cieszący się dobrym zdrowiem.

– Ani to nie było ostatniej nocy, ani zdrowie ci nie dopisało. Stopień amnezji wydaje się towarzyszyć temu procesowi. To mnie się przytrafiło dzień temu i dlatego też...

- Miałem zawał serca?

– Może.

- Co się z tobą stało? – zapytał.

– Mnie wszystko zabiera dużo czasu. A w ogóle jak o mnie usłyszałeś? – dodała.

– Myślałem, że leżałem w łóżku. Kwadrans przed ósmą zadzwonił telefon i jakaś kobieta opowiedziała mi o tobie. Odmówiła przedstawienia się.

– O tej godzinie twoje ciało było już tutaj. Chcesz pójść na siebie popatrzeć? Widziałam cię. Leżysz w piątce. Zrobili z ciebie *krasawieca*.

Od lat nie słyszał nikogo mówiącego to słowo, oznaczające pięknego mężczyznę. Liza urodziła się w Rosji i często go używała.

- Nie, nie jestem ciekawy.

W kaplicy było cicho. Gładko ogolony rabin z kręconymi włosami i w jaskrawym krawacie wygłaszał przemówienie o Lizie. „Była intelektualistką w najlepszym tego słowa znaczeniu” – powiedział. „Kiedy przybyła do Ameryki, cały dzień

pracowała w sklepie, a wieczorami uczęszczała do koledżu, kończąc go z wyróżnieniem. Nie miała szczęścia i wiele rzeczy w życiu jej się nie powiodło, ale pozostała damą w każdym calu, osobą niezwykle prawości...”.

– Nigdy nie spotkałam tego człowieka. Co on może o mnie wiedzieć? – zapytała Liza.

– Twoi krewni go wynajęli i przekazali mu informacje – powiedział Greitzer.

– Nienawidzę tych „zawodowych” komplementów.

– Kim jest ten facet z siwymi wąsami w pierwszej ławce? – zapytał Maks Greitzer.

Liza wydała z siebie coś w rodzaju śmiechu:

– Mój były mąż.

– Byłaś mężatką? Słyszałem tylko, że miałaś kochanka.

– Próbowałam wszystkiego, jakkolwiek bez powodzenia.

– Gdzie chciałabyś pójść? – zapytał Maks Greitzer.

– Może na twój pogrzeb.

– Na pewno nie.

– Co to jest za stan egzystencji? – zapytała Liza. – Widzę wszystko, każdego rozpoznaję: ciotkę Rajcę, a po prawej, za nią, kuzynkę Becky. Kiedyś ci ją przedstawiłam.

– Tak, prawda.

– Kaplica jest do połowy pusta. Zasługuję na to po tym, jak traktowałam innych w tych samych okolicznościach. Jestem pewna, że na twoim pogrzebie będzie przepełniona. Chcesz poczekać i zobaczyć?

– Nie mam najmniejszej ochoty tego sprawdzać.

Rabin skończył mowę pogrzebową i kantor melorecytował modlitwę *Boże pełen miłosierdzia*. Jego wykonanie przypominało bardziej szloch niżli śpiew i Liza stwierdziła:

– Mój własny ojciec nie byłby w stanie tak lamentować.

– Opłacone łzy.

– Mam tego dość – powiedziała. – Wychodzimy!

Z zakładu pogrzebowego ulotnili się na ulicę. Stało tam sześć limuzyn zaparkowanych w rządku za karawanem. Jeden z szoferów wciął banana.

– I to jest to, co nazywają śmiercią? – zapytała Liza. – To samo miasto, te same ulice, te same sklepy. Ja też wyglądam tak samo.

– Tak, ale bezcieleśnie.

– Czym jestem w takim razie? Duszą?

– Naprawdę, nie wiem, co ci powiedzieć – rzekł Maks Greitzer. – Odczuwasz łaknienie?

– Głód? Nie.

– Pragnienie?

– Nie, nie... Co powiesz na to wszystko?

– Niewiarygodne, absurdalne; najprymitywniejsze przesady okazują się prawdą – odparł.

– Może natrafimy nawet na piekło i na raj.

– W tej sytuacji wszystko jest możliwe.

– Być może po pogrzebie zostaniemy wezwani na Sąd Ostateczny i zażąda się rozliczenia za nasze uczynki?

– Może nawet i tak będzie.

– Jak to się dzieje, że tkwimy w tym razem?

– Proszę, nie pytaj. Wiem tyle co ty, nic ponadto.

– Czy to oznacza, że wszystkie prace filozoficzne, które przeczytałeś i napisałeś były jednym wierutnym kłamstwem?

– Gorzej – okazały się zwykłymi bzdurami.

W tejże chwili czterech tragarzy wyprowadziło trumnę z ciałem Lizy. Na wieku leżał wieniec z inskrypcją wykonaną złotymi literami: „Niezapomnianej Lizie, ku pamięci przepelnionej miłością”.

– Od kogo jest ten wieniec? – spytała i sama sobie odpowiedziała – Na to nie skąpi.

– Chciałabyś się udać z nimi na cmentarz? – zapytał Maks.

– Nie, po co? Tam podejrzany kantor może recytować za mnie jakiś płaczliwy kadysz.

– Co chcesz zrobić?

Liza wsłuchiwała się w siebie. Niczego nie chciała. Cóż za osobliwy stan nie mieć ani jednego marzenia. W ciągu wszystkich lat, które pamiętała, jej zamierzenia, jej pragnienia, jej lęki dręczyły ją bezustannie. Jej sny były pełne desperacji, ekstazy i dzikich namiętności. Bardziej niż jakiegokolwiek katastrofy bała się dnia ostatecznego, kiedy wszystko ulega destrukcji i zaczyna się grobowa ciemność. Jednakże tu i teraz przypominała sobie przeszłość i Maks Greitzer znowu był z nią. Powiedziała do niego:

– Wyobrażałam sobie kres bardziej dramatycznie.

– Nie wierzę, że to koniec – odparł. – Może to przejście między dwiema formami egzystencji.

– Jeśli tak, to jak długo to potrwa?

– Od chwili, gdy czas stracił rację bytu, trwanie nie ma znaczenia.

– A więc, wciąż pozostałeś tak samo zagadkowy i paradoksalny. Chodź, nie możemy tu po prostu tak sterczeć, jeśli chcesz uniknąć oglądania swoich żałobników – powiedziała Liza. – Gdzie powinniśmy pójść?

– Ty prowadzisz.

Maks Greitzer ujął jej (astralne) ramię i zaczęli się wznosić, nie znając celu, kierunku przeznaczenia. Spoglądając na ziemię, podobnie jak z samolotu, widzieli miasta, pola, rzeki, jeziora – wszystko oprócz ludzi.

– Mówiłeś coś? – spytała Liza.

– Ze wszystkich moich rozczarowań, największym jest nieśmiertelność – odparł.

PHILIPPE JACCOTTET

Prozy i wiersze ostatnie

w przekładzie Jana Marii Kłoczowskiego

Zimowe wieczory czerwienią się delikatnie jak policzki, a niebo nad górami staje się idealnie przezroczyste: gotowe zamienić się w niebyt, ponieważ nie wi- dać za nim już nic; lub prawie nic... Myślę o świętej i czarodziejce z sonetu Nerva- la: czyżbym tu, w moim ogrodzie, był świadkiem przemiany czarodziejki, wciąż jeszcze różowej, czerwonej, w jej własną duszę, czystą i niczym nie obciążoną? Byłoby to zbyt piękne, zanadto zgodne z tym, o czym śnię. Wydaje mi się więc, że za transparentną zasłoną nieba dostrzegam krystalicznie czystą wodę.

*

Pracując w ogrodzie, ujrzałem nagle rudzika; bliźniuteńko, jakby chciał po- gadać, a przynajmniej dotrzymać mi towarzystwa: maleńki piechur, niechybna ofiara kotów. Jak opisać barwę jego piersi i gardła? Nie tyle różowa, purpurowa czy krwistoczerwona, co ceglasta; wprawdzie słowo „cegła” kojarzy się z murem, z odgłosem kamienia, który się kruszy, ale na szczęście przywołuje również na myśl ognisko, odbłask ognia; kolor ceglasty można byłoby nazwać przyjaznym, ponieważ nie ma w sobie nic z okrucieństwa, wojowniczości lub triumfalizmu czerwieni. Na piórka w barwach ziemi, po której tak chętnie chodzi, ptaszek za- łożył szal w kolorze ogniska, nieba o zachodzie słońca. Ot, taki drobiazg, równie mało znaczący jak sam ptak, ta chwila, prace w ogrodzie i te słowa. Iskierka led- wie, co uniesie się i zgaśnie, albo mały orędownik, posłaniec bez posłania: nie- zgłębiona osobliwość kolorów. Coś, co nie ważyłoby nic, nawet w ręku dziecka.

Tymczasem do naszych uszu dociera co chwila dyskretny, jakby ostrożny szmer ostatnich liści figowca; i ten donośniejszy, choć bardziej odległy – wysokich

Z tomu *Ostatnia księga Madrygałów oraz inne prozy i wiersze z lat 2001–2021*, który ukaże się w tym roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

platanów w parku; to szum niewidzialnego wiatru, szept tego, co niewidzialne. Pod ich osłoną rudzik i ja oddajemy się naszym zwykłym zajęciom. On, ogrodowy latarnik, nieostrożny, gdy obok czyha kot.

I choć kusi mnie, aby w tym ptaszku piechurze ujrzeć przyjaciela lub współnika, spokojnego, a zarazem nieśmiałego, nie tak figlarnego jak inne ptaki, bliskiego niczym duszyczka dziecka, przyjaciela giętkich gałązek figowca i zagrabionej ziemi, to przecież nie zamierzam marzyć, aby był moim przewodnikiem u kresu dnia albo udzielił pomocy, gdy będę jej potrzebował. Pomógł mi dziś, pomógł wczoraj, nie zwracając zresztą na mnie większej uwagi, mimo pozorów; wystarczyło, że był, żywy i widzialny, tu, na ziemi żywej i widzialnej, i swoją czerwoną plamką, całkiem bezwiednie, dawał mi dziwny znak, który czytałem zaskoczony, jak tyle innych znaków, nie zawsze je rozumiejąc. I dlatego dzisiaj, nie czekając, muszę zapisać słowo w słowo ów przekaz nie będący przekazem; dopóki jestem w stanie to zrobić. Odżegnując się już dzisiaj od tego łachmyty, jakim się stanę, odbierając mu zawczasu głos, zabraniając, aby swym bełkotem zagłuszał światło, które dane mi było odsłaniać, zanim pojawił się na scenie. To jemu, nieszczęsnemu, trzeba będzie wtedy pomóc, tak jak można i wypada pomagać chorym; byle tylko pozostało to między nami; i żeby żaden tego rodzaju cień – cień mnie samego, upadłego na koniec jak wszyscy przede mną – nie przesłonił blasku świata, który widziałbym jeszcze tyle razy, będąc wciąż, jak to się mówi, „przy zdrowych zmysłach”. Rozkładu nie można dopuszczać do głosu. Nie negować go; ale i nie przeceniać. Powolne zbliżanie się do własnego trupa nie jest zabawne; po drodze musimy najczęściej przeprawiać się przez kręgi niemal – lub dosłownie piekielne. Kto jednak żyje, ten przede wszystkim żył i mógł rozmawiać z rudzikiem, pierzastą kuleczką obdarzoną sercem; sieć dużo mniej widoczna od jakiegokolwiek pajęczyny łączyła to maleństwo ze szmerem suchych liści na płytach tarasu, z szorstką i kruszą ziemią, już nie tak ciepłą, jak w lecie (podobnie jak ręka, która ją uprawiała), w cieniu pod drzewami, w bladawym świetle ponad nimi; czy ta sieć była pułapką, pośrodku której czyhała śmierć, najpierw na ptaka, a niedługo po nim na tego, któremu dotrzymywał towarzystwa? Gdybym wówczas pomyślał (miałem jednak co innego do zrobienia), prawdopodobnie wyobraziłbym sobie, że pośrodku niewidzialnej sieci nie mógł czaić się czarny potwór, że wszystkie elementy, które na tę jedną chwilę spięła razem, mówiły, świadczyły o czymś przeciwnym. Prawo do głosu winno przysługiwać tylko temu, kto żyje. „Pozwólcie umarłym grzebać swoich umarłych”. Czy tak trudno zrozumieć te słowa? Mogą one znaczyć: „Zostawcie ciemności ich ciemnościom i zapalcie lampę, która wiedzie ku świtaniu”.

*

O wpół do szóstej wieczorem jest jeszcze jasno. Nad Mont Ventoux widać koronę z róż, jaką zakładano tym, których Egipt nazywał „sprawiedliwymi Ozyrysa”, różane płatki we włosach i między palcami zmarłych na portretach z Fajum. Róż pojawia się niekiedy na lekkiej materii sukni i to ten właśnie kolor, nie mówiąc już o spojrzeniach, wzrusza nas na tych portretach najbardziej. Różowa plamka; gałązka róży w rękach młodych zmarłych.

Zimowy wieczór zakłada te korony drzewom i chmurom. Zanim wsiądą na łódź i odpłyną w noc. Czy to nie najlepsza z rzeczy, jakie można tam zabrać ze sobą, gdy przeminie życie?

*

Wraz z pierwszym śniegiem pojawia się Włócznia: bielutkie płatki w wąwozach, szczyt w szarości chmur, a niżej, lasy pokryte śnieżnym kurzem. I robi się zimniej.

Szarozielono, szarozółto, biało.

Śnieżne płatki porozrzucane na ścianie horyzontu, zaproszenie, aby wspiąć się wyżej, ku dalekiemu dzieciństwu. Zacerpnąć świeżego powietrza w zakamarkach tych wąwozów. Dotknąć policzkiem ich chłodnych warkoczy.

I ta dziwna jasna żółć w tle, jakby światło lampy zapalanej w biały dzień.

Słabe światło niewidzialnej lampy barwi lekką żółcią wąwozy spowite śnieżną mgiełką, obsypane pudrem śniegu.

Zamoczylibyśmy rękawy, wędrując pod tymi drzewami; ale na pewno nie zmoczyłyby nas łzy poetów Dalekiego Wschodu, oplakujących nieobecność lub zdradę.

*

Pokryta śniegiem góra zaróżowiona zachodzącym słońcem: płomień, który u podstawy ma szary kolor popiołu, czerwienieje, wnosząc się ku górze, a kiedy spotyka się z niebem – staje się nieskazitelnie biały.

Przypomina to światło księżyca.

Lekka góra zmienia się niepostrzeżenie w anioła lub w łabędzia.

Tak jak i lampa, która nigdy nie powinna zgasnąć za naszymi plecami.

A przynajmniej w nas samych. „Wieczne światło” zapalone w intencji zmarłych.

*

Ogień rozpalany u stóp zimnego lustra nieba: niczym ta mgła, która zapewnia nas, że wciąż jeszcze jesteśmy żywi.

*

Mijając jedno z ostatnich gospodarstw, jakich coraz mniej w mojej okolicy: nieduży, zaniedbany sad, walące się ogrodzenie wzdłuż drogi, wielki orzech rosnący nad Chalerne – dlaczego to wszystko wydaje mi się takie „prawdziwe”, czyli ani uporządkowane, ani pełne zbędnych ozdób, ani podrobione? Te zużyte, poplamione kamienie, gotowe wrócić do ziemi, tam, skąd je wydobyto, te stare, pochylone i kosmate drzewa, które rodzą już tylko gorzkie owoce – i woda, co nigdy nie liczy lat.

*

Dniu styczniowy, otwórz oczy nieco szerzej,
popatrz jeszcze przez chwilę;
niech róża ubarwi twoje policzki
i policzki kochanki.

Otwórz twoje drzwi nieco szerzej, dniu,
abyśmy mogli chociaż pomarzyć, że przez nie przejdziemy.

Dniu, zlituj się nad nami.

JACEK DEHNEL

Una macchia

Tak lubimy to sobie wyobrażać: ciemności i smyczki w molowych tonacjach, może do tego trochę dętych. Klepanie bosych stóp o posadzkę. Nerwowe szorowanie dłoni. Speszeni dworzanie.

Pole garncarza, z wyrobiskami czerwonej gliny. Wiązanie pętli, niezborne. Przerzucanie liny przez konar, drugi raz, za trzecim się wreszcie.

Ale emerytowany generał Judasz wraca samochodem z polowania, poleca wyjąć sarnę z bagażnika, całuje żonę, trzecią, i najmłodszego synka. Dom, który przejął, kanapa, którą przejął, nawet popielniczka, do której strzepuje teraz popiół, a którą zwinął jako porucznik, kiedy przyszedł aresztować pewnego dziennikarza, są gościnne. I gościnne jest światło wieczora, niosące sponad ogrodu nawoływanie ptaków, których nie chce mu się teraz identyfikować w dźwiękowym atlasie ornitologicznym.

Ale lady Mackbeth znajduje czas na manicure w krótkiej przerwie między lunchem a spotkaniem rady muzeum, do której należy, odkąd ofiarowała dwa Renoiry o znakomicie zatartej proveniencji. Nie myśli o niczym, co doprowadziło ją do tego miejsca, do tej płytki chodnikowej, na której teraz stoi, w centrum wielkiej metropolii, poprawiając zawinięty mankiet. „Plamka” – notuje w myśli, żeby oddać bluzkę do prania.

Zrywanie się po nocach z krzykiem, zwidy, rzyganie na widok bitków, bo są jak tamta rana, klucie odzywające się pod łopatką, ból fantomowy po tamtej ręce, tamtej nodze, tamtej osobie, zostawili innym, w ich jednopokojowych mieszkankach na przedmieściu, z meblościanką ciasno zastawioną biuletynami i teczkami, w których pożółkłe wycinki gazet krzyczą aż do zdarcia gardła.

Berlin, 19 listopada 2022

Misteria

Żaden konkretny obraz, żaden widok z okna, z chodnika na
ulicę rozświetloną styczniowym niskim słońcem, samo tylko
poczucie

w to zupełnie zwyczajne popołudnie w zupełnie zwyczajnym miesiącu
bez wielkich wydarzeń w niejubileuszowym roku:

że wszystko co ważne i piękne jest po brzegach
a w środku tylko nudna ściana
zlew z brudną lampką
lustro, które nie odbija niczego godnego uwagi
bo odbija na wprost

Berlin, 6 stycznia 2023

Ryt przejścia

To jak szedł po tym niewąskim przecież chodniku
niby szczupły a zajmując całą jego szerokość

Jego twarz musiała być piękna
musieli się za nim
obrać
na wielu
ulicach

Dlatego teraz prowadzi na ugiętym lekko ramieniu
dwa szczuplejsze jeszcze od siebie borzoje

Przez krótką chwilę
wzajemnego mijania
widać na tej
niegdyśwarzy

usta jeszcze ułożone do wzgardliwego półuśmiechu
oczy które dopiero uczą się zabiegać

Berlin, 13 stycznia 2023

KRZYSZTOF SIWCZYK

Donikąd nikomu

Wzorem poprzedniego życia
Pochowane buty w pudłach
Pachnie pastą pawlacz i dom
Różnicy nie robi nikomu

Cisza w pokoju nikogo
Podwiązana gumką żuchwa
Ciepło ucieka od palców
W górę dalej od zawsze donikąd

Wzorem poprzedniego życia
Wszystkie ostatnie wole
Dokonane za zamkniętymi oczami
Mógłbym uwierzyć z czasem cały on

Stopnie

Wtajemniczenia w podpiwniczeniach
Rama roweru którą odwracał i patroszył
Zębatki przrzutek jedynym kluczem

Okazał się zatrzymanym zegarem
Reduktorem który zatarły lata i żwir
Przrzutem ładunku dla dwóch tragarzy

Niosło się za nim po stopniach garnitur
I echo piasty jak zastawki w klatce
Serca którego nic już nie tyka

Szlaban zapadł za karawanem
Świtało w bocznym lusterku
Jako żywo cykała kolarka

Dwie krople

Wody samej nie chciał
Nie wchodziła bez soku
Wysuszone śluzówki
Nie tłoczyły głębiej kapsułek

Słaby ślizg na języku
Elementarne słownictwo
Szorstki kontakt

Tak
Nie
Chcesz nie chcesz

Pchaj
Połknij
Wstań
Nie pamiętasz

Po miesięcznicy przychodzi nuda
Na madejowej wersalce
Widać nici z żałoby

To chyba szwy po cięciu mostka
Trzymały głuchy korpus nad przepaścią
W jednym kawałku

Prostolinijny Łazarz
Nie dosłyszał
Pomyłka

Nie ma niczego
Do usłyszenia

Gdyby jednak zechciał wstać

Jak terkoczesz klecho
Nie obyłoby się beze mnie
Dźwigni i lewarka

Wykapane ciała
Dwie krople potu
Spływały po pasze
Gdy stawiałem go do pionu
Na odlanie i analogiczne zejście
Do poziomu odleżyn

Nie było zbyt wiele
Powodów by wstać też
Któregoś dnia powiedziałem nie
Wstawaj
Sam nie mogę się podnieść

Karaka

Nikt jak on
Nie znał się lepiej na sztuce
Nostalgii na widok szekli
W muzeum wojny

Nie mówiąc o upadku
Cywilizacji z której zostały wręgi
Chociaż nikt nie zszedł z pokładu
Miał w jego oczach poważanie

Nieważne że nie odkrywasz niczego
Tylko ile będzie cię kosztować
Przejście do historii bez imienia
Odkrywcy na ustach kogokolwiek

Mawiał jak nikt

Bomba słoneczna

A to o czym śnimy niech zostanie
Między nami

Nie ma ich z nami
Same liczby mnogie

Kiedy wyrzucam cię z basenu
A ty wracasz w skoku na bombę

Myślę że oni do czegoś służą
Są dźwignią jak woda

Czynią nam ulgę zdejmując ciężar
Jakim jesteśmy dla siebie

Na chwilę zanim znowu nie staniemy
Ciężko na ziemi i pod nią

Nie poczujemy nurtu ognia
Którym pędzą do wulkanu

Wyrzucani jak bomby
Które stygną w oceanie

Ku ucieście twoich kroków stawianych
Na bosaka po ostrzach równowagi

Odzyskanej przez słońce
Gdzie moglibyśmy mieć swoją wagę

PIOTR SOBOLCZYK

Z Toledo do Karmelu,
fragment powieści pikaresko-gotyckiej
hiszpańskiej

Ksiądz Miguel Sirviente opuścił budynki klasztorne przy kościele Santi Severino e Sossio, gdzie znajdują się Państwowe Archiwa Neapolitańskie. Był bardzo ciepły dzień, lecz nie z tej przyczyny x. Miguel miał czoło całe w pocie po wyjściu z wszakże klimatyzowanych pomieszczeń. Wyszedł na placyk Piazzetta del Grande Archivio i usiadł na kamiennym słupku obok fasady kościoła. Wahał się, czy pisać lub dzwonić do x. profesora Gallina de Peluca od razu, czy też odczekać chwilę i udać się ku Corso Umberto I i następnie na nieodległy Uniwersytet Napoli Orientale, gdzie miał umówione spotkanie z historykiem muzyki barokowej, do którego pozostała mu jeszcze godzina. Kiedy tak siedział, zbliżył się doń dziad w łachmanach. X. Miguel dał mu od razu dziesięć euro, chcąc uniknąć wdawania się w rozległe negocjacje i opowieści o wyciętej nerce, nie było mu to jednak dane. Dziad zaskrzeczał w dość osobliwej odmianie włoskiego, jakkolwiek i zrozumiałej. Oszołomiony x. Miguel nie potrafił rozstrzygnąć, czy jest to jeden z lokalnych dialektów, czy też historyczna odmiana lokalnego włoskiego.

– Ty nie wiesz, kim ja jestem, ja wiem, kim jesteś ty. Wiem, czego szukałeś w archiwach. Sądzisz, że znalazłeś trop. Znalazłeś tylko odłamek.

– Ale... jak... Śledził mnie pan w archiwach...? – bąknął x. Miguel, głęboko nie wierząc, że jego interlokutor mógłby zostać wpuszczony do eleganckiej państwowej instytucji z szatniami (!), strażnikami, alarmami.

– Przy pomocy magicznego zwierciadła – objaśnił bez mrugnięcia okiem. – Ale o tym później. Przeglądałeś archiwa Teatro dei Fiorentini. Natrafiłeś na nazwiska śpiewaków – kastratów. Fritelli i Finocchietti. Na te zwróciłeś uwagę. Trafnie wyczułeś przy nich lub przy jednym z nich trop hiszpański. Nie wiesz, przy którym. Szukasz dowodu, że w Teatro wykastrowano hiszpańskiego chłopca, potem

śpiewaka. Złapałeś nić. Ale czy pamiętasz, czyś sprawdził, w którym roku zbudowano ten teatr? – I wbił w x. Miguela straszny wzrok, oczy wytrzeszczone jak u wariata, włos potargany, zęby wybrakowane... X. Miguel był w takim szoku, że ktoś przeniknął jego śledztwo, iż nie wiedział, co robi, a mimo to zrobił rzecz najoczywistszą w tym momencie: wystukał na smartfonie hasło „Teatro dei Fiorentini” we włoskiej Wikipedii (to znaczy z tej przyczyny, że lokalizator jego telefonu wskazywał Włochy, bo nie zwariował jeszcze, on przynajmniej, to wszystkie wyszukiwania pokazywał w pierwszej kolejności po włosku, a nie dlatego, że rzeczona hasło nie ma wersji w innym języku, gdyż choć nie ma jej po kastylijsku, to jest po katalońsku).

– 1618... – wydukał x. Miguel. – Faktycznie osoba, o której myślę, była wtedy już pod trzydziestkę, jak szacuję. – Nie wiedział, po co to mówi łachmaniarzowi, może był zahipnotyzowany.

– Emmanuele miał wtedy zaiste dwadzieścia dziewięć lat... – rozrzewnił się dziad.

– Emmanuele... Finocchietti? To on był hiszpańskim śpiewakiem w operze? Manuel Fonoll... lub Fonollo...? – mówił do siebie x. Miguel, rekonstruując rozproszone informacje.

– Follo, follo... – przedrzeźnił starzec.

– Miał na nazwisko „Follo”? Nikt w Hiszpanii nigdy się tak nie nazywał! – X. Miguel sam nie wiedział, czemu brnie w tę dziwną konwersację. – Manu chyba nie był Katalończykiem... Pochodził z wioski pod Toledo...

– ...z Olías del Rey.

– Zejdę na zawał.

– Jeszcze nie teraz. Mogę ci wiele powiedzieć. Wtedy oszalejesz, dostaniesz kleptomanię, oślepniesz, osiwiejesz, spluniesz na hostię i co tam będziesz chciał, a może nawet ocipiejesz. – Była to *perspettiva molto* kusząca, tylko mina x. Miguela jeszcze za tą pokusą nie nadążyła.

– Owszem, w operze, w budynku teatru kastrowano chłopców, którzy już za młodu wyróżnili się pięknym głosem – opowiadał dziad, plując pod stopy x. Miguela. Pojęcie „piękny głos” zabrzmiało wyjątkowo szyderczo w zestawieniu z wrażeniami audialnymi, jakie stały się udziałem młodego księdza. Dziad zerknął podejrzliwie, jakby czytając mu w umyśle i dodał: – Zastanawiasz się, jak brzmi głos kastrata na starość? Styryny tysiącami koncertów? Tak brzmi! – charknął. – Tak brzmi głos czterystuletniego kastrata!

– Co? Co pan... No to już... – X. Miguel wstał, podniósł teczkę, gotowy iść czym prędzej na uniwersytet, choćby miał czekać na korytarzu pół godziny.

– Tak, tak! To ja jestem Fritelli! // *Spagnoletto*! Stąd nie wiedziałeś, które z tych nazwisk dotyczy osoby, której szukasz.

– Pan jest... Hiszpanem...?

– Nie. *Spagnoletto* to jest przydomek, który otrzymałem w operze. Albo wiem wielki Finocchietti był moim nauczycielem śpiewu! Po wykonaniu kastracji na mnie, jemu, gwiazdzie opery neapolitańskiej, oddano mnie, bękartu neapolitańskiej prostytutki! I pewnej osoby z Watykanu, ale o to mniejsza. – Machnął ręką.

– I twierdzi pan, że żyje przeszło czterysta lat... – X. Miguel przestąpił z nogi na nogę. Chciał odejść, ale ów pomyłony człowiek zbyt dobrze orientował się w czasach, które ksiądz jako historyk zgłębiał; zbyt dokładnie jego wiedza pokrywała się z tym, co udało się zrekonstruować dzięki archiwom. Nagle dziad wyprostował się na chwilę i stanął zupełnie na wprost młodzieńca i, w nieunikniony sposób spojrzeli sobie głęboko w oczy. X. Miguela olśniło. Starzec jest historykiem, który zgłębiał ten sam temat. Tylko zaczął pić, ćpać, wyrzucili go z uniwersytetu, żona wyrzuciła go z domu i zwariował. Lecz w szaleństwie tym wciąż wracają daty, nazwiska i cytaty z tematu, którym zajmował się badawczo, tylko on już nie wie, że te informacje nie dotyczą jego. „Co mnie dzisiaj, jutro tobie”, pomyślał ze zgrozą Miguel i ujrzał w bliźnim siebie. Co prawda ta teoria nie wyjaśniała, skąd ów obłąkany historyk wiedział, że ten akurat z setki gości archiwów zajmuje się tematem, na którym i on się zna. Lecz pewnie, gdy zawiesza ci się rozum, wypada z kolein, zaczynasz słyszeć myśli innych, mieć telepatyczne połączenia i wszystkie te rzeczy, których Kościół jakże słusznie zabrania.

– Bo Kościół to rozum – skwitował złośliwym sylogizmem dziad.

– Pan coś mówił...? Czy ja coś mówiłem...?

– Powiadam, że znam sekret kastracji, który chcesz przeniknąć.

– Ano, tak, tak, przecież pan był wykastrowany. No właśnie, może mi pan powie, jak to jest, żebym lepiej zrozumiał... To pewnie boli... – bełkotał X. Miguel, rozdarty między potrzebą udania się do świątyni wiedzy, nauki i uzyskania wiedzy certyfikowanej, nawet jeśli niepełnej, a pragnieniem rozgryzienia tego orzecha, co tu się właśnie odp... wyczynia i jakim cudem tak utrafia to w sedno jego poszukiwań. „Kościół chce, abym rozstrzygnął sprawę, czy dochodziło tam do molestowań”, westchnął w myślach obłudnie, gotów zostać z dziadem.

– Oczywiście mogę ci opowiedzieć o swojej kastracji, ale ty chcesz wiedzieć o kastracji Manola... Dlaczego więc nie miałbyś jej zobaczyć na własne oczy? – zachichotał dziad. – Manu, gdy zmienił nazwisko i stanął na neapolitańskiej scenie, nie był pierwszy raz w tym mieście.

- Co takiego?! Ale... skoro nie było teatru...
- Pójdź ze mną. Dowiesz się wszystkiego.
- Ale... co? gdzie?
- No chodź, idziesz, czy nie!? – I dziad ruszył. W przeciwnym kierunku niż uniwersytet. „A wal się, uniwersytecie i ty, ograniczona wiedzo!”, pomyślał x. Miguel. „Podejdę pod to miejsce i wtedy zadecyduję. A jeśli... to wysłannik Gomorry? Zaprowadzi w mroczny zaułek...”. W jednej z wąskich uliczek podszedł do nich nastolatek i półgębkiem zaproponował kupno dragów. – A tak, kup, kup, Michele! – ucieszył się łachmaniarz. – Będzie ci łatwiej. Co? Nie, koka nie, lepiej hasz. X. Miguel zapłacił pieniędzmi wiernych, to znaczy Kościoła, ukrył torebkę z haszyszem w wewnętrznej kieszonce marynarki (od Fusaro zresztą) i tak doszli do via Roberto Bracco. – Widzisz? To tu! To tu!
- Co „tu”? – spytał Miguel, patrząc na względnie współczesny budynek.
- Tu stał Teatro dei Fiorentini, ty niedomyślny intelektualisto! Idziemy! – I skierował swe kroki ku bramie.
- Przecież tu mieszkają ludzie, nie ma już żadnego teatru, czego tu mamy szukać, wszelkie dokumenty są w archiwach i...
- Dokumenty, dokumenty! Aura, dziecko, idzie o aurę! Tak, mieszkają tu ludzie. Ja tu mieszkam – objaśnił łachmaniarz. Budynek nie wyglądał na slumsy. Coś tu się rozjeżdżało. X. Miguel nie był jednak już w stanie poskromić ciekawości.
- Tylko odwołam spotkanie na uniwersytecie. – Szybko sięgnął po smartfon (wciąż był w kieszeni) i wystukał sms do doktora Vettulaniego, że bardzo przeprasza, ale nie może przyjść. I na szybko wystukał do profesora Gallina de Peluca: „Profesorze, mam trop, który rzuca nowe światło. Nie wszyscy chłopcy byli wykastrowani w Hiszpanii. Nasz Manu zapewne był kastrowany w Neapolu...”.
- Francesco me imię tak w ogóle – oświadczył niespodzianie współczesnym akcentem łachmaniarz, otworzywszy bramę kodem do domofonu – Miguelu. – X. Miguela przeszedł zimny dreszcz. Weszli po schodach na drugie piętro. Ku zaskoczeniu gościa, Francesco nie otworzył drzwi kluczem, lecz zadzwonił dzwonkiem. „No tak”, westchnął w myślach x. Miguel, gdy drzwi otworzył im bardzo elegancki młody mężczyzna w smokingu. Miguel już otworzył usta, żeby przeprosić za najście, gdy elegancki mężczyzna uklonił się w pas, równocześnie odchylając szeroko drzwi.
- Witam wielmożnego pana... i jego gościa. – Weszli do staroświecko urządzonego apartamentu w ewidentnie barokowym, i to historycznie barokowym guście, tymczasem elegancki mężczyzna niczym lokaj podał Francesco jakąś atłasową szatę, jakby szlafrok... Poprawka, nie niczym lokaj, to był lokaj...

– Zupa już czeka, wielmożny panie. – I po chwili wniósł wazę z minestrone. Co ciekawe, stół już w chwili ich przyjścia był nakryty dla dwóch osób. Miguel zracjonalizował to jednak w ten sposób, że Francesco, teraz wyglądający na ekscentrycznego podstarzałego arystokratę, zamierzał zjeść obiad ze swoim lokajem.

– Paolo, risotto – powiedział niedbale pan do lokaja, gdy obaj już zjedli. I dodał: – Paolo dostał znakomite trufle na targu. I świeży fenkuł. – Zerknął uważnie, czy Miguel czyta aluzję.

– Finocchio... Finocchetti...?

– Po obiedzie pokażę ci fotografie Manu, teatru, moje. – Machnął ręką niedbale. X. Miguel zachwiał się na krześle i strącił widelec. – Paolo, widelec dla księdza. Mam całą teczkę fotografii, o tam, w gabinecie. Lubię do nich wracać.

– Z siedemnastego wieku...?!

– Mam też płytę... Paolo, jak to się nazywa?

– CD, wielmożny panie. Choć ostatnio zrzuciłem też na wavy do kompa – zwrócił się Paolo do Miguela, porzucając wzniosły i niedzisiejszy ton.

– Z barokową muzyką...? – X. Miguel usilnie chciał wierzyć, że nie trafił do domu szaleńca. Może to ukryta kamera? (Czy Bóg nie jest ukrytą kamerą?) Wynajęci, podstawieni aktorzy. Albo to nie trufle, tylko...

– Nasze występy w operach. Mam zapis wspaniałego występu w *Orfeuszu* Monteverdiego. Manu był Eurydyką, ja Nadzieją. Chyba że wolisz *Dydonę* Cavalliego, ale tam Manu już był w pewnym wieku i, co tu kryć, głos już nie ten. Choć właściwie i bez płyty możemy się cofnąć i obejrzeć... jak to się mówi...?

– ...na żywo... – odpowiedział Paolo, wnosząc tiramisu.

– ...na żywo słynny występ na dworze królewskim w Madrycie.

– Tak, z pewnością nagrał go pan sobie na magnetowidzie, gdy przypominała go telewizja. – X. Miguel nie wytrzymał. – Co mi pan tu pierdoli! – I walnął pięścią w stół. – Przepraszam. Przepraszam. *Mea culpa* – zmitygował się po chwili.

– Ależ, drogi Miguelu, dotknął i uwierzył... Tiramisu jest wyborne, Paolo przyniósł jajka ze wsi pod Wezuwiuszem. Mascarpone od wiejskiej baby... Tylko biszkopty z tego, no...

– ...supermarketu – uzupełnił Paolo.

– Kakao z plantacji tych, no...

– ...fairtrade...

– ...właśnie. Na zdrowie! – X. Miguel musiał przyznać, że tiramisu było wyborne. Miał też ochotę spytać, jakiej mieszanki kawy użyto, ale zawstydzony swoim wybuchem oraz wciąż podejrzliwy wobec najdziwniejszej osoby, jaką w życiu spotkał, wybrał milczenie. A gdy już zjedli, Francesco powstał uroczyście i zaprosił

do gabinetu, rzucając jeszcze: – Paolo, espresso i marsala. – Otworzył kluczykiem biurko (x. Miguel niestety przeoczył, skąd kluczyk został doarty) i wydobyl szarą kopertę. Paolo wniósł kawę i wino, postawił je na stoliku obok foteli i wyjął (x. Miguel niestety przeoczył, skąd) płytę CD, włożył ją do świetnie ukrytego wśród ksiąg odtwarzacza, po czym wyszedł. Francesco pokazał fotografie z teatru. Na pierwszej stał dorodny, ciemnowłosy i śniady mężczyzna, a obok niego nastolatek. Obejmowali się ramionami. – To Manu i ja. Po lekcji. Lubię wracać do tych lekcji, oglądać je sobie czasami, nawet tak z zewnątrz. Próbuję niekiedy zaśpiewać znowu jakąś skalę, ale głos mój już nie ten wskutek operacji rekonstrukcji jąder, której się poddałem jakoś na początku dwudziestego wieku. Zresztą u twojego rodaka, chłopcze księżę. Może to był 1927? Bardzo znanego rodaka, jak się okazało. Wiesz, na mnie sława nie robi żadnego wrażenia, doświadczyłem jej, widziałem ją i żyję za długo. – Machnął ręką, ale nie tą z kieliszkiem. – O, tu, moje małe *passaggio*.

– Piękne... – westchnął x. Miguel. Jakość nagrania była czysta, studyjna, podobnie jak fotografie, kolorowe i technicznie jak najnowocześniejsze. X. Miguel, trzeba wstydliwie przyznać, miał guścik ku kontratenorom, słuchał ich skrycie i niekiedy namiętnie, i tego Francuza, i tego Polaka... Ale głos kastrata, to znaczy, głos, który usłyszał, nie przypominał zupełnie kontratenora, jak też w niczym nie przypominał kobiecego sopranu. – Jak... jak się nazywał ten lekarz? – Otrząsnął się nagle.

– Gregorio.

– Gregorio...

– ...Marañon. – X. Miguel zachłysnął się winem. – Zaiste, wspaniała marsala – skomentował szyderczo Francesco. – Teraz uważaj! Najpiękniejsza nuta Manuela! – I wstrzymał oddech. X. Miguel także. Łzy nie zdołał.

– Znam... znam tę operę... panie Francesco... ten fragment brzmi inaczej. Tam nie ma takich nut – szepnął w końcu Miguel.

– Oryginalnie były. Tak to zostało napisane. Później trzeba było dostosowywać do czasów, bo już nikt nie wyciągał... Jaja i jajniki utrudniały. – I zaśmiał się nieco wulgarnie.

– Jak powstały te fotografie?

– Paolo wykonał je tą, no... lus... lustrzanką, kiedy cofałem... kiedy oglądałem różne sceny ze swojego życia w magicznym zwierciadle.

– Ach tak, teraz rozumiem. – Miguel wrócił do tonu żdziebko sceptycznego. – A to?

– To Manu w kostiumie do opery takiego jednego kanonika.

– A tu?

– Tu Manu i Gonza. – X. Miguel drgnął. Gonza był wyższy od Manu, miał szlachetniejsze rysy.

– O nim... też muszę się dowiedzieć.

– Naturalnie. Przepraszam na momencik, potrzeba wzywa. – I Francesco opuścił gabinet. Miguel natychmiast wyciągnął smartfon i pospiesznie sfotografował nim wszystkie fotografie z koperty. Gdy Francesco wrócił, Miguel siedział grzecznie z zamkniętymi oczami, udając, że odpływa przy muzyce.

– Och! – Miguel udał, że się ocknął ze snu, marzenia bądź hipnozy.

– Myślę, że nie ma powodu zwlekać, pójdźmy użyć magicznego zwierciadła – szepnął Francesco.

– Och... tak, naturalnie...

– ...czyli do piwnicy. – Miguel udał, że nie zbladł. Wyszli z apartamentu i schodzili po eleganckiej klatce schodowej. – Co to ja mówiłem? Ach, tak... No więc Gregoriowi nie całkiem się ten zabieg udał, nie dziwię się, że się nim nie chwali, nie opisuje...

– ...chyba: nie chwalił? – wtrącił Miguel.

– Ach, istotnie, zapomniałem, że on nie żyje. Te wszystkie mieszkania są moją własnością. Wynajmuję... ale starannie wybranym. Więc taki był wówczas stan medycyny, może dziś to byłoby inaczej, dla mnie kluczowe wówczas było, że Gregorio nie chciał pieniędzy... co nie znaczy, że operował za darmo – zawiesił głos, ale X. Miguel nie był pewny, czy chce wiedzieć, jaka była cena. – Musiałem mu pokazać Don Juana.

– Co proszę? – X. Miguel zamrugał.

– Ależ prawdziwego Don Juana! Tamtego i tak sobie oglądał w trakcie operacji. Prawdziwego, w Sewilli, w siedemnastym wieku.

– „Najgorszego z ludzi” – zacytował X. Miguel.

– Brednie, tak dupczył, że wyleczył więcej osób niż połowa felczerów w Andaluzji! – obruszył się Francesco. – Ostrożnie tutaj. To pierwsze piwnice, ale mieszkańców. My musimy udać się głębiej. Przejdziemy tym zwykłym korytarzem o tam... – X. Miguel zaczął sobie wyobrazać, że zostanie zamordowany w jakimś satanistycznym rytuale (albo przynajmniej rozebrany na organy), albo też stary dziad, który dziwnie po posiłku odmłodził, wypije jego krew (a oby na krwi poprzestał!) dla przedłużenia swego życia. – I tak to wskutek operacji Gregoria mój głos wcale nie stał się męski, przypomina raczej skrzek starej wiedźmy... Nie tych oczywiście, co spłonęły na stosach, to było potworne zacczadzenie epoki... Natomiast zacząłem się starzeć, nie mogąc wszakże umrzeć. Do operacji stale żyłem

pod postacią trzydziestolatka. – Otworzył jedne drzwi kluczem. – Tędy. – Weszli do pomieszczenia, Francesco zapalił światło jak najbardziej elektryczne, ukazując półki pełne słoików z oliwkami różnego koloru. – Uwielbiam oliwki. Przypominają mi jądra. A może to są jądra? – I zaśmiał się chrapliwie. W głębi piwnicy znajdowały się schodki niżej. – Pójdę pierwszy. Nie żył już wówczas alchemik, który dał mi nieśmiertelność, nie mogłem się do nikogo zwrócić. To znaczy, ten uroczy głuptyś Paolo sugerował mi klinikę medycyny estetycznej... – I wybuchł gromkim śmiechem.

– A czy... – X. Miguel próbował wejść w obowiązujący tu tok rozumowania – Manuel... lub Gonza... przypadkiem może... także uzyskali nieśmiertelność?

– Teraz znajdujemy się w autentycznych podziemiach Teatro dei Fiorentini – szepnął Francesco. – Idziemy prosto do garderoby Manuela. – X. Miguel wyobraził tam sobie przykutego łańcuchami blisko pięćsetletniego Manuela z wioski pod Toledo. Z pewnością pierwsze, o co by go spytał, to czy był jako dziecko molestowany. Francesco otworzył masywne drzwi najzupełniej współczesnym kluczem i weszli do ciemnego pomieszczenia. Gospodarz nacisnął zupełnie współczesny włącznik światła, który rozjarzył najzupełniej współczesną żarówkę, choć, jak się okazało, tylko po to, by odnaleźć lichtarz, w którym zapalił świece zapałkami z kieszeni.

– Mam też zapalniczkę, ale używanie jej do rytuałów duchowych poważnie osłabia energię świec – objaśnił. X. Miguel rozejrzał się po pomieszczeniu. Centralnie naprzeciwko wejścia stało wielkie zwierciadło, przed nim stolik, kiedyś zapewne na rozmaite pudry i talki do peruk, karminy, dziś na rozmaite fiołki pełne kolorowych płynów i proszków. Przed tym ołtarzykiem stał fotel o purpurowych obiciach i złotych rogach i łokietnikach, sprawiający wrażenie bardzo starego nie dlatego, że był bardzo zakurzony. Na małym stoliku obok znajdowała się góra książek, które przyprawiłyby o zawał topowych włoskich antykwariuszy, jak i badaczy alchemii i uczonych praktyków okultyzmu, a także karty papieru i kałamarz z... gęsim piórem. No, chyba że łabędzim. Po lewej i prawej wisały półki, obecnie nieco słabiej oświetlone przez świece, a X. Miguel nie zdążył się im przyjrzeć za panowania żarówki ledowej. Wpatrywał się w półki po prawej i dostrzegł słoik wypełniony czymś podobnym do oleju w karczochach w zalewie, na mocy tego skojarzenia podejrzewał dwa jajowate obiekty umieszczone w nim za wyjątkowo okazałe oliwki, podobnie jak w poprzednim pomieszczeniu. Nagle przeraził się i odskoczył, bo Francesco szedł ku niemu z niewielką strzykawką z nadzianą igłą! – Nie bój się – powiedział łagodnie. – To dla mnie. – Otworzył słoik, który Miguel kontemplował i nabrał nieco płynu do strzykawki. Zamknął dokładnie słoik,

przybliżył się ku świecom, podwinął rękaw (Miguel, choć bał się ruszyć, nie przewyciężył ciekawości i także przysunął się ku światłu) i powoli wstrzykiwał sobie ten płyn, mruczając jak zawodowy narkoman. Osłupienie Miguela sięgnęło zenitu, gdy rozpoznał, że domniemany barokowy śpiewak mruczy... *You know I'm no good* Amy Winehouse. Przemknęło mu przez myśl raz i drugi, że oto bierze udział w nieźle wyprodukowanej *commedia dell'arte*, inscenizacji przygotowanej przez wrogów Kościoła, ba, Wrogów Kościoła nawet, którzy następnie opublikują kompromaty w internecie (dobrze, że Inkwizycja współcześnie posługuje się odmiennymi już metodami). Ksiądz bierze udział w czarnej mszy. Bo nie zrozumiał, że ciekawość to pierwszy krok do piekła. Bo ksiądz nie powinien być Faustem. Bo Faust nie powinien być księdzem. Francesco odpływał błogo, nie przestając nucić, lecz odkładając strzykawkę na biurko. Miguel spojrzął na półki po lewej. Przeskoczył wzrokiem po różnych szkatułkach (gdyby je otworzył, ujrzałby siedemnastowieczne pierścienie ze szmaragdami i rubinami w oprawie ze złota i srebra), aż zauważył coś, co aż dziw, że uszło wcześniej jego uwadze, albowiem było to coś, czego nie da się nie zauważyć: szklany słoć wielkości dużego melona wypełniony po zakrętkę przezroczystym płynem lub wodą o lekko błękitnym odcieniu (dokładny kolor trudno określić z powodu niedostatecznego oświetlenia). W płynie tym unosiła się istota („lalka!”, pomyślał x. Miguel, a potem pomyślał: „lalka!”, odwrócił głowę w drugą stronę, z powrotem na słoć i cisnął w nią w ciszy: „lalka!”, a już był o włos od powiedzenia tego na głos, lecz nie chciał budzić Francesca, choć chciał), nie wiadomo, czy żywa, a jeśli tak, to zdolna oddychać pod wodą. Wyglądała jak zminiaturyzowany człowiek o nieco wypukłych, rybich, ale jakby martwych oczach, jednak od pasa w dół miała syreni ogon. Jej „pływanie” nie było w żadnej mierze aktywne. Przesuwała się nieznacznie – jakby od pulsowania ziemi? Wibracji duchowych? Francesco podniósł się z fotela, wziął strzykawkę i somnambulicznym krokiem podszedł do słoja. Jego wieko było, jak się okazało, zamknięte na szyfr mechanizmem jak z hotelowych sejfów... Odruchowo czy hipnotycznie klepał numer (x. Miguel sądził, że jeśli tylko układ cyfr przypominałby ten na telefonie czy bankomacie, ale nie klawiaturze komputera, choć i to w pewnej kombinatoryce dałoby się przekodować, byłby w stanie za drugą, może trzecią próbą odtworzyć ten kod). W strzykawce pozostało parę kropelek *Arca-num Seminis Humani*. Wstrzyknął je. Istota („lalka!”) ani drgnęła. Zamknął słoć.

– Mój opiekun był człowiekiem nadzwyczajnej wiedzy. Zadał sobie trud, aby wpoić tę wiedzę w mój nigdy nieedukowany umysł. Wśród rozmaitych nauk nie pominął i tej, która przez większość ludzi uważana jest za bezbożną, to wśród ludzi wiary, wśród ludzi nauki, tego rozumku w galowym fraku, za urojoną. Jego

nieograniczona wiedza o właściwościach drogocennych kamieni, ziół, które rodzi ziemia, moc rozkazywania żywiołom, nadały mi nieśmiertelność.

– Ale że... Manu...? – X. Miguel wydukał tonem tak współczesnym i tak niepodniosłym, że gdyby narkotyczna moc wstrzykniętego płynu była słabsza, zupełnie zepsułyby nastrój.

– Ależ skąd! – skrzywił się nieznacznie Francesco. – Jego kochanek z czasów neapolitańskich, największy alchemik, Raimondo di Sangro.

– I dał nieśmiertelność także Manuelowi? – Francesco zignorował to pytanie.

– W pamięci świata Raimondo zapisał się jako człowiek kolejnego stulecia. W istocie przez kilka stuleci fingował swoje narodziny i śmierci, porywając w tym celu chłopskie dzieci z okolicznych wiosek. – „Nowy trop!”, x. Miguela poraziło oświecenie. – Ale też był on jednym z niewielu, którzy rozgryźli tajemnicę i potrafili przerwać swoje bezkresne istnienie.

TOMASZ RÓŻYCKI

Szeregowy „Seneką”

Pamięci Romana Ratusznego

Ile lat trwa ta wojna? Kto zostawił ją
w spadku? Na grobach urosły już gadające drzewa.
Dziś przyszło selfie z wiadomością o śmierci,
ale to nie śmierć je robiła, ale dziecko,
które nie chce się zgodzić na krzywdę, syn,
który idzie pierwszy. Idziecie ze mną, czy będziecie
tak patrzeć jak skamieniali? Drogą do wolności
była każda żyła twojego ciała. Przyjaciele trzy razy
wychodzili po nie na ziemię niczyją, ale nie ma
ziemi niczyjej, jest tylko wolny step. Nie ma
niczyich dzieci, jest porzucona w jarze siostra,
wbity w glinę brat. Kto ma galerie selfie, bóg?
Jedyną różnicę pomiędzy nim a tobą stanowi czas.
Gdyby był drzewem, zmieściłby się w kadrze.

Nieczytelne

Jeżeli znajdziesz list, być może język,
w którym pisałem słowa będzie martwy,
lecz przecież wierzę, że tak jak ja łakniesz
sprawiedliwości, miłości i prawdy,
więc piszę to dla ciebie [nieczytelne].
Próbowałem co noc z drobin ciemności
[nieczytelne] mozolnie złożyć portret

twój, żeby móc się odróżnić od ciebie,
lecz twarz, którą widzę przez moment w oknie
w proch się rozpada przez najłżejszy oddech.
Mam w pokoju wszystko, co jest potrzebne
do poezji: mam mały atlas zwierząt
i liść, na którym zmieszczą się podróźni
i słownik pełen ruchliwych plemników,
płaczącą skrzynkę ze stali nierdzewnej,
mam stół, i słoje na nim tworzą galaktykę,
gdzie kapią dni i cień upada z wieży,
wskazując palcem w bok. Mam puste miejsce
po tobie w ciele, w które [nieczytelne].

Granice świata

Miał Pan rację Profesorze, o czym nie można
milczeć, o tym trzeba mówić. Poezja nie jest
dobrym kryterium prawdy. W nocy, kiedy gaśnie
światło, świat rozpada się na pojedyncze fakty,

które od rana czarna nitka pisma próbowała
zszyć w elementarne zdanie: wycie ludzi spod gruzów
budynku, trafionego rosyjską rakietą, oślepiiony
żołnierz, pełznący po polu. Dwie protezy dla dziecka.

Pies zostawiony w płonącej szopie. Poderwane
hukiem wystrzału gawrony krzyczą jak wyrzucone
zeszyty i sypią się z nich pióra nieistotności.
Tymczasem rozpacz rozszerza się i świat razem z nią,

Panie Wittgenstein, poeci rysują granice, linijka
za linijką, skreślają i centymetr dalej zaczynają od nowa.

JACEK GUTOROW

Autoportret

Samo południe
Stojące obłoki
nie chcą zejść
na płótno

Siedzę
bez ruchu
z farbą na kolanach

Obcowanie

Otaczają nas.
Promieniują.

Wazon z kwiatami.
Muszla na stole.

Ta cytryna.
Jaka cudowna.

Żółte światło
i nic więcej:

żadnej głębi
w mroku.

Mężczyzna prosi o powtórzenie tańca

Sylaby błyszczą. Łąka po burzy dokładna jak przypis
na dole strony, naderwany brzeg błękitu, nadruk.

Piramida światel po zmroku. Kiedy nieruchomiejesz,
jedyne drzewo na wzgórzu staje się lekkie i święte.

Sztachety, złuszczone farba nieba, teraz.

William Turner: Gwiazda wieczorna

Czego szukasz w tym koszyku, chłopcze?
Masz nad sobą niebo, rzeźbę chmur
i gwiazdę odbitą w wodzie. Zapomnieć
o głębi? Umknąć ceniom w długim życiu,
które mija szybko, bez śladów? Nie widać ptaków.
Wiatr utknął w gałęziach wiele kilometrów stąd.
Przeszedłeś kawał drogi nie mając pojęcia, co cię czeka.
I po co muzyka brzasku, granatowego wieczoru
w rodzinnej wiosce, pełnej liściastych kryjówek,
gdzie dzień mijał jak mrugnięcie powiekami?
Lata coraz krótsze w dzikim ogrodzie –
galimatias kwiatów, archipelag kałuż.
Och, gdyby tak odnaleźć w sobie chwilę ciszy,
jak ta gwiazda, ledwie widoczna, stworzona
jednym pociągnięciem pędzla, nigdy sobą
nieznudzona, świecąca w beczasie.
Twój podwójny sen nie ma końca, chłopcze:
kreska i chaos kolorów, odbicie i prawda.
Ale kiedyś, kiedyś otworzysz oczy.
Może ujrzysz wtedy inne niebo,
czyste i wypełnione światłem,
obecne w tobie, i dalej, poza tobą.

Świadomość

Czwarta rano, piję kawę i otwieram oczy
na świat, szeroko, żeby się zmieścił.

Przesieka

1.

Same szyby w tym parowie.

Mgła przypaliła się na dnie.

2.

Zielone światła pergoli

ściśnięte bluszczem i mgłą.



Marek Chęć

Archipelag

MAREK KĘDZIERSKI

W rytmie Szia-sztin

Stawia przede mną srebrną cukiernicę. Posrebrzaną. Z napisem Victoria. I mówi, że to ze złości. Na kelnerów. Za systematyczne ignorowanie jej przy śniadaniu. Podczas wielu śniadań hotelowych. Na jajecznicę czekała średnio kwadrans dłużej niż hałaśliwa zgraja hydraulików, usuwających w ramach gwarancji usterki wadliwie funkcjonującej instalacji. Robotników wysłanych przez Svenska Cementgjuteriet, firmy, która wybudowała hotel. Długie minuty oczekiwania na jajecznicę *à la Victoria*. Choć oni wchodzili do tak zwanej sali śniadaniowej, kiedy ona już siedziała przy stoliku. Nie ma nic przeciwko hydraulikom. Ona, Kerstin – po szwedzku to imię wymawia się mniej więcej *Szia-sztin*, w rytmie cza-cza, z malutką przerwą w środku. Jeśli w ogóle przeciw, to raczej kelnerom, którzy jej nie zauważali. Systematycznie. Nie raczyli zauważyć, takiego zwrotu używa. Więc w pewnym momencie, kiedy jej frustracja stała się dla niej samej wyraźna, miarka się przebrała. Chętnie zabrałaby ją do Szwecji, cukiernicę, ale nie chce ryzykować. Kiedy tu przyjeżdża, kontrola na Okęciu nie jest zbyt dokładna, jej nie kontrolują, ale cała sprawa niewarta ryzyka. Srebro, metale szlachetne, należało deklarować, a gdyby celnik chciał obejrzeć cukiernicę, wygrawerowane Victoria Intercontinental Warsaw mówiłoby samo za siebie. W porównaniu z tym, ryzyko, że ktoś z hotelu zacznie wypytывать kelnerów o cukiernicę raczej znikome. Co się stało z cukiernicą z ich rewiru. A jeśli będą musieli zapłacić z własnej pensji? Kerstin odpowiada: Z moich napitków uzbierali na kilka cukiernic. Dawała, ale, kiedy dotarło do niej, że na nie nie zasługują, przestała dawać. Wiesz, to prości ludzie, dość prymitywni w mówieniu, ale mówili głośno i ubierali się na kolorowo, tania, krzykliwa odzież, przychodzili w niej na śniadanie, zanim wślizgnęli się w robocze kombinezony. Skupiali na sobie całą uwagę kelnerów. Bo byli głośni i kolorowo ubrani, człowiek z Zachodu tak właśnie się zachowywał, w wyobrażeniu kelnerów, którzy Zachód znali z restauracji Victoria. A mnie ostentacyjnie nie zauważali. Więc w pewnym momencie poczułam, dość już tego, i otrzymawszy zimną jajecznicę, zabrałam srebro. Żeby ich choć symbolicznie ukarać. Moralnie usprawiedliwione.

Ten tekst jest o niej. Zamiast *Marginaliów* w dziale Varia, ale wyraźnie w ich duchu. O Kerstin. Przechowałem jej cukiernicę. W bezpiecznym miejscu. Teraz, to znaczy kilka miesięcy po przywłaszczeniu cukiernicy, przez nią, stała z nią, cukiernicą, w ręku przy oknie mieszkania, które znalazłem dla niej na tak zwanej bliskiej Ochocie, przy ulicy Częstochowskiej. Dość łatwo przekonał mnie, że wynajęcie mieszkania oszczędzi jej doświadczeń takich jak w Victorii i w sumie nie będzie droższe niż kilkudniowe pobyty w hotelu Intercontinental, jeżeli spędzi w Warszawie dłużej niż tydzień w ciągu kwartału. Taka była jej kalkulacja. Ja też miałem kalkulację – ponieważ zachęcała mnie, bym pisał ten mój doktorat w jej mieszkaniu w czasie, kiedy ona była w Göteborgu, albo kiedy podróżowała po świecie. Przyjmując jej propozycję, gdzieś, w jakimś zakamarku myślenia, mrocznym, rzecz jasna, wykalkulowałem sobie, że do tego mieszkania będę mógł uciekać od żony. To będzie schronienie, na wypadek gdyby tarczyca żony znowu miała o sobie dać znać, a nadpobudliwość tarczycy owocowała konfliktami *à la* Strindberg, choć nie na jego miarę, na szczęście, jak się miało okazać.

Inauguracja mieszkania na Częstochowskiej odbyła się w asyście interkontynentalnej posrebrzanej cukiernicy z Placu Zwycięstwa. Asystował nam w uroczystości także Łukasz Burnat, mój sąsiad z Browarnej, wielki małopolski scenograf na stałe goszczący w pejzażu zwycięskiej Warszawy, z którym potem, za zgodą Kerstin, w wynajętym przez nią mieszkaniu, pod jej nieobecność, zorganizowałem prywatnie polską prapremierę sztuki *That Time* w wersji oryginalnej, w wykonaniu Łukasza, który perfekcyjnie opanował był akcent BBC World Service. Kerstin wysłała na Częstochowską telegram z Teheranu. Interesy zatrzymały ją na dłużej w tamtym regionie, żałuje, że nie zdąży na naszą premierę. Do swego warszawskiego mieszkania przyjeżdżała początkowo regularnie, raz na kilka miesięcy, po roku już jednak rzadziej. W końcu oznajmiła, że nie będzie już przyjeżdżać ani wynajmować, i jeżeli byłbym tak uprzejmy, żeby coś zrobić z jej rzeczami, będzie mi bardzo wdzięczna. Kilka jej rzeczy przejęli z wdzięcznością sąsiedzi, ja (przeźornie?) uzbroiłem się w błękitną kołderkę w paski, z czystej bawełny, i zieloną poszwę, też w paski, ale inne, z wysokiej jakości lnu. No i jeszcze zostawiłem sobie wysłane Kerstin na Częstochowską pismo sądu rejonowego w Helsingborgu, wzywające ją, aby 4 września 1979 roku stawiała się w tamtejszym sądzie przy Gaverksgatan w sprawie o próbę przemycenia pięciu dywanów, które rok wcześniej zatrzymano tamże na promowym przejściu granicznym z Danii do Szwecji. Znam dobrze tę okolicę, od strony szwedzkiej przy dobrej pogodzie skacze wprost do oczu majestatyczna bryła zamku w Elslynorze. Ale nie hamletyzujemy,

Kerstin podała po prostu celnikom, że wraca do Szwecji z dywanami po zreperowaniu ich w Danii. Tymczasem, jeśli wierzyć celnikom, usiłowała wwieźć podlegające oczeniu przedmioty nabyte w Kirgistanie, co we wspomnianym piśmie zaklasyfikowano jako *smuggling*, a więc po naszymu szmugiel. Łukasz akurat był u mnie, kiedy w skrzynce na Częstochowskiej pojawiło się pismo sądowe. Kerstin ustawicznie przeciąga strunę, wadząc się z uciskającym jej swobodną działalność państwem szwedzkim – słowa Łukasza. Łukasz stał się protagonistą mojej powieści *Lucid Intervals Blind Summits*. Sto czterdzieści cztery egzemplarze sprzedano, prawdopodobnie włączając zakupy sześćdziesięciu bibliotek publicznych w Stanach i w Irlandii. O Kerstin nie będę pisał.

Poznaliśmy się któregoś lata w jej mieście Göteborgu podczas odbywanych tam przeze mnie w owych latach, prywatnie, studenckich wakacyjnych praktyk robotniczych, które wprowadziły mnie, na krótko, w praktykę zarabiania na życie. W czasie kolejnej z takich praktyk ówczesny przyjaciel zabrał mnie do jej galerii przy Kungssportsavenyn. Göteborgska Champs Élysées to piękna na szwedzki sposób aleja, która swej urbanistycznej energii nie kumuluje w prześwietlonym Łuku Triumfalnym, lecz wyładowuje ją w głuchym zderzeniu z cegłą i szkłem Konserthuset. O rygorze nieco militarnym, ale na szczęście bez łuku triumfalnego, bo triumf przy tym zderzeniu odniosła sztuka, nie militaria. W bermudzkiej prostokącie obok Götaplatsen pomieszczono całe zagłębienie kultury: teatr miejski, filharmonię, czyli wspomnianą Salę Koncertową i Muzeum Sztuki. Galeria Kerstin znajdowała się nieopodal. W jednej z trzeźwych mieszczańskich kamienic spotkało mnie leciutkie szaleństwo, może za sprawą skandynawskich uśmiechów na twarzach jakby żywcem z filmów Bergmana, może z powodu tak zwanych trunków, niewątpliwie przednich, zapewne jednak dlatego, że kluczowa w tej przestrzeni postać natychmiast mnie zauważyła i wdała się w długą ze mną konwersację, od razu wybiegającą poza konwencjonalne, czyli sztampowe standardy. Od Kerstin, Kerstin Cruickshank (jej ojciec był Szkotem, poinformował mnie mój ówczesny przyjaciel) dowiedziałem się, że ma dużo kontaktów w Polsce i w Europie Wschodniej. I z jej przelotnie rzucanych uwag wynikało, że więcej wie o tych terenach niż przeciętna Szwedka.

Kerstin od razu wydała mi się nieprzeciętną. W przestronnej galerii jej postać, odziana w stonowane kolory, w dużym kontraście z zawieszoną na ścianach sztuką współczesną, wysokiego lotu, zlewała się niemal z najlepszego sortu dywanami o wygaszonym, szlachetnie rzecz jasna, kolorycie. I to dywany były zdecydowaną dominantą galerii o więcej niż z lekka orientalnie brzmiącej nazwie Shirvan.

Kerstin jeździła po świecie, wyszukując dywany u źródeł. Jej oko eksperta natychmiast uderzało w cel – chwilę po tym kazała wyjmować i rozwijać przed wspomnianym okiem eksperta ten czy inny egzemplarz. Okazywało się, że to, istotnie, cenna sztuka.

Businesswoman – niemniej wyrafinowana. Mecenaska sztuki. Po ojcu odziedziczyła nie tylko szkockie nazwisko, lecz pewną szkocką światowość. Choć jej pierwszy mąż był czechosłowackim Żydem, informował mnie na Södra Vägen ówczesny göteborgski przyjaciel. Mąż Kerstin został w tym kraju uwieczniony i nieśmiertelny produktem spożywczym, który spotykało się na każdym kroku, tak w reklamach, jak kioskach, generalnie w gastronomii. Felix Ketchup. Każdy kiosk z hotdogami przypomina Kerstin o jej pierwszym mężu. Ona jest niebywała, kobieta interesu, mecenaska sztuki, a przede wszystkim ekscentryczna dama – tak podsumował Kerstin mój ówczesny przyjaciel, kiedy Södra Vägen dochodziliśmy do mojej kwatery przy ulicy Tegnérsgatan.

Mecenaska sztuki była niewysokiego wzrostu, a co do figury, trzeba było się domyślać, bo tę z wielkim powodzeniem udało jej się zatrzeć stylem ubrania. Odzież w najlepszym gatunku, ale stonowana i niekrzykliwa, maskowała to, co ukryło się wewnątrz. Ze szlachetnych, workowatych okryć wierzchnich wydobywały się tylko głowa i pantofle. Twarz jej nie zachwycała, mnie nie zachwycała, zbytnią plastycznością. Musiała być kiedyś atrakcyjną kobietą o szerokiej twarzy, mocno kontrastującej z urodą, *nota bene* równie typowych, wąskich skandynawskich twarzy. Zmarszczki sprawiły, że dałem jej wtedy siedemdziesiątkę, choć jak się okazało – rocznik 1913 – była dobrych parę lat młodsza. A otaczała się na ogół młodszymi. Młodszy bardziej mnie interesują, ich problemy są dużo ciekawsze niż niepokoje i frustracje starszych, mówiła.

Na wernisażu w galerii Shirvan, który rozpoczął naszą znajomość, Kerstin, z kieliszkiem, pewnie szampana, w rękę, stała między zawieszonymi na ścianie obrazami mistrzów awangardy a rozłożonymi na podłodze dywanami. Podchodzili do niej, na przemian, ludzie, których – jak przypuszczałem – znała oraz tacy, których – jak można było od razu zauważyć – widziała po raz pierwszy. Uderzyło mnie, że choć styl ubioru sugerował, że mało giętka była, to jej ruchy, kiedy przesuwiała się o metr lub kilka, były płynne, jakby kocie, przyczajone, niemal... tancerskie. W pewnym momencie, rozmawiając z młodym mężczyzną, podeszła do rozłożonego na podłodze dywanu i czubkiem pantofla uniosła lekko jego krawędź, dywanu. Kazak, powiedziała, co brzmiało niemal jak *ka*, przerwa, *saak*. Autentyczny.

Mówiła cichym głosem, jednostajnym, płynnie, w wielu językach, nie tyle z leciutkim akcentem, ile swoistą artykulacją zdania, mocno ucinającą kadencje i antykadencje, niemal pozbawioną tak wzniesień, jak strąceń. Z takim efektem, że mówiła w każdym języku w podobnym rytmie. W rytmie cza-stin. W każdym języku z jego melodii jakby wysysała elementy, które w standardowej wymowie najbardziej się wyróżniają. Jakby amputując najbardziej typową dla niego melodię. I nawet, kiedy mówiła dużo, sprawiała wrażenie, że mówi oszczędnie.

Równy brak ostentacji charakteryzował jej gestykę, do bólu zredukowaną, ale tym dobitniejszą. Nie znaczy to jednak, że nie była pewna siebie, a jeszcze bardziej swego, wręcz przeciwnie! A o świecie wiedziała dużo, bardzo dużo. Ciekawa świata – wciąż poznawała nowych ludzi. Z jej wypowiedzi wyłaniały się nierzadko, i zawsze nieoczekiwane, mroczne pobłyski historiozofii. Ona o Polsce wie znacznie więcej, niż nam mówi, opowiadał Łukasz – nie wiadomo, skąd tak dużo wie o Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej i Wschodniej. A jak to jest po polsku?, pytała czasami Łukasza. Ona przysłuchuje się z pewnym zrozumieniem, kiedy rozmawiam z kimś na ulicy czy w kawiarni. Niby skąd?, pytał Łukasz, a ja na to, że wiem od niej, że dużo czasu spędziła w Czechosłowacji, pewne miała kontakty biznesowe.

Imponowała mi, studentowi zza żelaznej kurtyny, ta jej lekka i cicha pewność siebie, to jakże oczywiste skakanie z jednego języka w drugi, dla niej jak splunąć, ta jej z cicha pęk arogancja. Nie tylko w sensie dosłownym czubkiem pantofla unosiła lekko krawędzie dywanów, by zobaczyć wszystko od tak zwanej lewej strony. Od spodu. I sprawdzić, czego jest wart. A lepiej, czy, jak mawiał Łukasz, coś jest wart.

Zobaczyć od podszewki, przejrzeć na wylot? Nie jestem pewien. Wiesz, ja lubię czytać ludzi, mówiła – *czytała* świat, kiedyś całkiem spontanicznie zgodziła się przyznać, że ma ambicję nie tyle zrozumienia, ale odczytania. Umieć przeczytać to już jest sztuka. Nie każdy potrafi. Ludzie nie znają elementarnego alfabetu ludzkości. Ta jej arogancja.

Ładny hotel, owszem, zbudowany w 1901 roku, kiedy Warszawa była stolicą rosyjskiej prowincji, *art deco* w swych najlepszych i najgorszych przejawach. Siedzimy przy barze w hotelu Bristol, mój sąsiad Łukasz, Kerstin i ja. Kerstin się mądrzy. I nagle: Zatańczymy? zwraca się do mnie, a kiedy szukam jakiejś wymówki, nie umiem tańczyć, odpowiada za mnie Łukasz: *with pleasure!* Szarmancko prowadzi ją po tak zwanym parkiecie. Patrzę na nich i oczom nie wierzę, jak zwinnie jej

to wychodzi. Po kwadransie wracają rozbawieni, Łukasz pełen komplementów – słusznie! – a Kerstin rzuca od niechcienia: *Lucas, you're almost as good as Fred Astaire*. Jesteś prawie tak dobry jak Fred Astaire, wiem coś o tym, mogę coś na ten temat powiedzieć, mam w tej sprawie prawo osądu. Ogólna wesołość.

Kerstin i Łukasz. Chodzili na spacery zielonym pasem między Mariensztatem a Górnośląską i na tych spacerach coś, podejrzewam, zaiskrzyło, między nimi się zawiązało, i chyba wyszło to od niej. Mówiła mi, że Łukasz w Warszawie się marnuje i pytała, jak można mu pomóc. Popytaj w göteborgskich teatrach, albo w Sztokholmie w Dramaten, czy nie potrzebują scenografa do inscenizacji Gombrowicza, który podbijał wtedy szwedzkie sceny. Miała się dowiedzieć, ale chyba nic z tego nie wyszło.

Kobieta interesu, namówiła mnie do kupna cyklu litografii Salvadora Dalí o wdzięcznym tytule *Wenus*. Namówiła, zaprosiwszy mnie do swej rezydencji na wyspie w archipelagu göteborgskim. W jej wyspiarskiej rezydencji zdecydowałem się kupić ten cykl za zapracowane ciężką piekarską ręką wakacyjne uposażenie. Na wyspę zawiozła mnie prywatną łodzią motorową – z powrotem musiałem już popłynąć promem. Wyspa była przepiękna, do dziś pamiętam hybrydowy efekt pomieszania morskiego powietrza z łagodną wonią kwiatów, zieleni i ziemi.

Kerstin i jej nonszalancja. Nie, nie, to nie jest żaden historyczny Mashhad, proszę mi wierzyć, wiem coś o tym – raz zabrałem ją w odwiedziny do moich znajomych z branży jak to się określało prywaciarzy. Chodziła po kuriozalnie pałacowym wnętrzu mieszkania w czynszowej kamienicy u zbiegu Górnośląskiej i Rozbrat, w każdej izbie rozłożone były dywany, a Kerstin, po tych rozlicznych izbach chodząc, chłodziła ambicje moich nowobogackich znajomych.

Ostatni raz widziałem ją w Polsce zaraz po tak zwanych wydarzeniach bydgoskich. Chodziła po Warszawie, nie mogąc uwierzyć, co tu po tylu latach marazmu się dzieje. Potem dwa, trzy lata później, niemal przypadkowo, spotkaliśmy się chyba w Lund. Od tego czasu powoli traciłem z Kerstin kontakt. Co roku przyjeżdżałem do Szwecji na urodziny córki, ale do Sztokholmu. Łukasz też zniknął z horyzontu. Zaszły się gdzieś w Stanach. U schyłku dwudziestego stulecia niemal cudem odnalazłem go na jakimś bezludziu pośród lasów stanu Maryland. Mieszkał u jakichś prawników, mecenasów sztuki. Wspierali artystów, przyjęli go jako stałego rezydenta. W okolicach 2006 roku, znowu cudem, udało mi się z nim porozmawiać przez telefon. Wieczny kawaler, ożenił się jednak, z Amerykanką. Czełała go operacja, nie wchodził w szczegóły, wywnioskowałem, że nowotworowa.

Nowotwór – straszna nazwa, jak można wpaść na pomysł nazwania w ten sposób raka. *Krebs, cancer, cancro*. Potwór nowotwór. Mieliśmy do siebie dzwonić, ale on nie dzwonił, a ja nie mogłem odnaleźć jego numeru. W trakcie kolejnej przeprowadzki gdzieś się zagubił mój notes z adresami. Próbowałem skontaktować się z Markiem, starszym bratem Łukasza, matematykiem, lecz na wydziale matematyki powiedziano mi, że niestety zmarł, Marek. Wyrzucałem sobie – do dziś wyrzucam – że zgubiłem kartkę z numerem telefonu Łukasza.

Łukasz odplłynął, a Kerstin? Gdzie jest? Czy jeszcze żyje? Będąc przypadkowo w Göteborgu, szedłem Kurgsportavenyn i mijając grupę budynków, w której mieściła się galeria, nagle sobie o niej przypomniałem. Galerii nie mogłem jednak odnaleźć. Lekka panika. Jeśli Kerstin żyje, miała by już sto lat. Więc pewnie nie żyje. Całkiem prawdopodobne. Kolejny raz przegapiłem czyjąś śmierć? Zacząłem szukać informacji o niej. Tropić jej ślady. Iść jej tropem. Google na szwedzkich stronach podał ich trochę. Tak, zmarła, w 1998 roku. Nie na swojej wyspie, tylko w Göteborgu. Tyle już lat! Ze stron miejskich cmentarzy dowiedziałem się, że pochowana została w Örgryte. Znam te okolice, wałęsałem się po nich, mieszkając na Tegnérgatan. W YouTube znalazłem fotografię jej grobu, Örgryte gamla kyrkogård, na tak zwanym starym cmentarzu Kerstin Cruickshank spoczęła niedaleko przemysłowca Victora Hasselblada, tego od słynnych lustrzanek. W szwedzkiej Wikipedii znalazłem informację, że była galerystką i pisarką – hmm, o tym nie wiedziałem. Kerstin miała napisać trzy tomy pamiętników? Zacząłem pytać znajomych w Szwecji, nigdy o tych książkach nie słyszeli, możliwości kupna w internecie nie znalazłem, nie było na tak zwanym składzie. Wydawnictwo Tre Böcker nie odpowiadało na telefony – ciekawe, że jego siedziba znajdowała się o dwa kroki od cmentarza Örgryte. Po jakimś czasie ktoś jednak zareagował na moje tak zwane internetowe „zapytanie”, oferując sprzedaż. Trzy tomy z okładkami w tonacji czarno-białej dotarły do mnie w szwedzkim tempie. Swoim zwyczajem zacząłem od końca, lub prawie, rzuciłem okiem na trzy, cztery strony trzeciego, trzy, cztery strony drugiego tomu. Szybko stwierdziwszy, że królują w nich przemyślenia ogólnej natury, subtelne i strawne, jak najbardziej, Kerstin przyjmuje w nich postawę filozoficzno-ezoteryczną. Ale pierwszy, gruby tom zaskoczył mnie niebywale, niektóre pasáže wręcz poraziły. Po przeczytaniu wybranych na chybił trafił stron, na których opowiadała o wyprowadzanych z domu faszystowskiej niewoli dzieci żydowskich w już okupowanej Czechosłowacji, wiedziałem, że będę chciał przeczytać jej książkę od deski do deski.

Zaczynam wgrzyzać się w tekst *Min natt- och dagbok*. Jak to przetłumaczyć? *Dagbok* to dziennik, w sensie łaćnińskiego diariusza. A więc żurnal, choć nie w sensie gazetowym. Ale słowo *dagbok* w językowym sensie najbliższej do niemieckiego *Tagebuch*, księgi dnia. A Kerstin nazwała swoje wspomnienia *Księgami nocy i dnia*. Nie tylko dnia, ale i nocy. Mój dziennik nocą? Bo raczej nie dziennik pisany nocą. I dowiaduję się o wielu rzeczach, o których nie miałem pojęcia. Rzeczach raczej anegdotycznych, na przykład o tym, że spędziła w Austrii wieczór, tańcząc z doskonale tańczącym Amerykaninem, a rano w recepcji hotelu czekał na nią bukiet kwiatów z wizytówką od... Freda Astaira, ale także faktów dla jej biografii zasadniczych, koniecznych do zrozumienia jej jako człowieka.

Pierwszym mężem Kerstin był wspomniany przez przyjaciela w Göteborgu Herbert Felix, czeski Żyd z południowomorawskiego Znojma, którego rodzice zajmowali się przetwórstwem warzyw – tak zwane *Znojmské okurky* sprzedawano w całej K-K monarchii jako *Znaimer Gurken*. Kerstin. O wiele młodsza od Herberta, właściwie zakochała się w jego bracie Willym, bardziej w filozofie niż kupcu, ale, romantycznie zakochana w filozofie, lojalnie poślubiła kupca Herberta w 1937 roku. Po wkroczeniu nazistów do Czechosłowacji sprowadziła go do Szwecji. Szkocki ojciec Kerstin, syn współzałożyciela Göteborgs Kex, firmy, która u schyłku dziewiętnastego wieku wprowadziła do Skandynawii herbatniki na szkocko-angielską modłę (hmm, *de gustibus non est disputandum*), wraz z rodziną pomógł Herbertowi rozwinąć przedsiębiorcze skrzydła na nowym terenie, bardzo obiecującym. Ogórki znojmskie osiągnęły umiarkowany sukces, ale ketchup według jego recepty okazał się tym, na co czekała cała Skandynawia. Rewelacją. Przez kilkadziesiąt lat czerwone plastikowe butelki były wszechobecne na stołach tańszych restauracji i przy budkach z hamburgerami i frytkami. Pamiętam, że w czasie mojej pierwszej wyprawy do Szwecji to one powitały mnie w barze promu do Ystad jeszcze na historycznych wodach naszego Świnoujścia.

Kiedy produkty pod tytułem Felix podbiły całą Skandynawię, bratanek Herberta z Austrii zasugerował, aby sprowadzić je do byłej monarchii – produkty były firmowane jako Felix Austria. Strzał w dziesiątkę. Austria Felix. *Tu felix Austria nube*. Istnie austriacka perfidia, powiedziałby Thomas Bernhard. Tym większa, że wspomnianym kuzynem okazał się zniechęcony przez Bernharda polityk socjaldemokratów Bruno Kreisky, przyszły kanclerz. Z Bernhardem łączy ją jeszcze jedno, on umarł 9 lutego, ona 9 lutego obchodziła urodziny, od roku 13, on urodził się w 31. Ona zmarła w 98, on w 89. Magia cyfr?

Czytam pierwszy tom Kerstin, prawdę mówiąc, ze zdumieniem i zarzutem wobec siebie. Czemu nie dałem Kerstin opowiedzieć o tym, o czym opowiada w swej autobiografii? Spontanicznie, udzieliłem sobie odpowiedzi: pewnie dlatego, że innym człowiekiem byłem niż teraz, i zakwalifikowałem ją raczej jako kogoś, kto wwoził nielegalnie dywany niż kogoś, kto w razie czego przemyciłby do Skandynawii Bogu ducha winne dzieci.

Na początku 1939 roku Kerstin wdaje się w zakrojoną na wielką skalę akcję pomocy żydowskim dzieciom w okupowanej Czechosłowacji. Akcję przewiezienia, w tak zwanym majestacie prawa, co graniczyło z cudem, konwoju żydowskich dzieci z różnych czeskich i słowackich miast i miasteczek do wolnej Skandynawii. Kerstin działa właściwie w pojedynkę, na własną rękę (i odpowiedzialność), w koordynacji ze szwedzkimi organizacjami charytatywnymi, na ogół niedobrze zorganizowanymi, i urzędnikami państwowymi, czasami bezdusznymi biurokratami, ryzykując własnym majątkiem, potykając się o miałki, formalne przeszkody ze wszystkich stron. Ale dopina swego, konwój dziecięcych uciekinierów rusza z Pragi pociągiem przez Polskę do Gdyni, potem na pokładzie MS Batory płynie do Kopenhagi, stamtąd drogą lądową i morską do Skanii. Misja spełniona w marcu 1939. Wkrótce Kerstin znowu jest w Polsce, w porozumieniu z Odd Nansenem, słynnym potem dyplomata, którego nazwiskiem sygnowano paszporty dla bezpieczeństwa, ponownie odwiedza Warszawę, gdzie oprócz znanej już jej ambasady szwedzkiej przy Bagateli, prowadzi rozmowy w sprawie uciekinierów w budynku misji norweskiej na Foksal 3, jak podaje skrupulatnie w tekście. Na fotografii „najprawdopodobniej z 3 kwietnia” dwudziestosześcioletnia szczupła blondynka o twarzy Ingrid Bergman, w eleganckim żakiecie i plisowanej spódnicy do kolan, idzie w okolicach Placu Zwycięstwa z szarmanckim szefem misji norweskiej w Warszawie. Fotografia lekko prześwietlona, tym bardziej więc bije z niej radosny nastrój. Niels Chr. Ditleff odegrał, wraz z Nansenem, ogromną rolę w organizacji ratowania żydowskich uciekinierów, a zaledwie parę miesięcy po spacerze z Kerstin wydatnie dopomógł w ewakuacji wielu dyplomatów z bombardowanej Warszawy. Ambasador zaprosił ją do tajemnicznej restauracyjki tuż obok grobu nieznanego żołnierza. Obok hotelu, w którym się zatrzymała. Nazwy hotelu Kerstin konsekwentnie nie podaje. Teraz rozumiem, pomyślałem, że z okien hotelu Victoria spoglądała nie tylko na pusty plac i obojętne niebo, ale i na swoje życie sprzed czterdziestu lat.

Lista jej podróży w okresie poprzedzającym wojnę jest imponująca, nie tylko jeździ między metropoliami europejskimi, ale przemierza wzdłuż i wszerz całą

Rzeszę. Aresztowana w Dreźnie za nielegalne przekroczenie granicy (jej szwedzki paszport uległ przedawnieniu) podczas przesłuchań jest bardzo konfrontacyjna, choć cały czas obawia się, że Gestapo odkryje ukryty w tubce pasty do zębów zwitek z listą ukrywających się ludzi, którą miała przekazać dalej. Hmm, już wtedy szmuglowała. Historie jak z filmów akcji.

Równie spektakularna akcja Kerstin, pod koniec wojny, związana jest także z konwojem humanitarnym i transportem – tym razem to transport darów zebranych przez American Joint Distribution Committee, organizację współpracującą z UNRA, rządem USA, wojskową administracją w wyzwolonych od nazizmu krajach, z Niemcami włącznie. Zimą 1944/1945 Kerstin, znowu głównie z własnej inicjatywy i na własną rękę, z zamrożonych od 1938 roku w banku Czechosłowacji aktywów własnych kupuje trzydzieści ciężarówek, którymi trzydziestu jeden wypuszczonych z niewoli kierowców wiezie pomoc humanitarną do Europy Środkowej. I znowu ma w tym osobisty interes, jeśli tak można nazwać dotarcie do teściów uwięzionych w obozie Theresienstadt. Kiedy konwój dociera do Terezina, okazuje się, że teściowie zostali przewiezieni do Auschwitz. Kerstin w dramatycznych okolicznościach jedzie do Oświęcimia, po to, by dowiedzieć się, że ich zamordowano, tuż przed wyzwoleniem obozu. Straszne.

Ubrana w mundur armii norweskiej Kerstin, formalnie rzecz biorąc, jest pod komendą norweskiego pułkownika w brytyjskim mundurze, którego ojciec, jak ojciec Nabokova, uciekł z porewolucyjnej Rosji. Wsiewołod Bulukin, kolejny szarmancki mężczyzna, z którym Kerstin dość szybko znalazła wspólny język, to barwna postać w historii norwesko-islandzko-kanadyjsko-brytyjskiego lotnictwa. Od dawna rozważany rozwód z Herbertem, którego Kerstin, jeśli wierzyć jej słowom, szanuje, ale już nie kocha, staje się faktem. Kerstin poślubi Wsiewołoda i z tego związku narodzi się w 1946 jej pierworodny i jedyny syn Gunnar, czytam w jej księdze dnia i nocy.

Zaraz zaraz, chwileczkę. Gunnar? Przecież Kerstin opowiadała mi o Gunnarze. A owego dnia, kiedy miałem na Grötö odebrać *Wenus* Salvadora Dalí, w tej samej motorówce siedział kolega Gunnara. Tylko że wówczas pomyślałem, że Gunnar to sąsiad Kerstin (która zanadto nie opowiadała o rodzinie), a Bulukin to nazwisko sąsiada.

Generalnie, czyli pobieżnie, planowałem zapoznać się z pamiętnikami Kerstin w ciągu trzech popołudni, przedpołudnia przeznaczając na własne teksty, mocno już opóźnione.

Okazało się jednak, że lektura jednego, pierwszego tomu wciągnęła mnie i zaabsorbowała do tego stopnia, że odłożyłem na później pisanie, no trudno, redaktora jakoś uproszę, poczeka, teraz nie to było najpilniejsze. Najpilniejsza stała się Kerstin Cruickshank.

W dniu, w którym przerwałem lekturę, wcześniej rano, zamówiłem lot do Göteborga. Tanią linią, tylko ona latała bezpośrednio. Barbara Castello, przyjazna dusza z podgöteborskiej miejscowości Floda, zgodziła się mi towarzyszyć, odebrała mnie z lotniska Landvetter i zawiozła swoim audi do portu promowego w Göteborgu, o 14.20 płynęliśmy już na wyspę Björkö. Wyspa to po szwedzku ö, nazwy sporej części wysepek w północnej części archipelagu u ujścia rzeki (*älv*) Göta kończą się na ö. Hälsö, Björkö, Öckerö Hönö, Fotö, Rörö, Burö, poezja dźwięków. Podziwiałem, kolejny raz, urzekający swą radykalną prostotą krajobraz – jakże odmienny od skądinąd ciekawszego krajobrazu archipelagu sztokholmskiego – ale podziwiałem z samochodu znajomej. Nie dało się inaczej, o czystym powietrzu można było tylko wnosić z podziwianego krajobrazu, bo nad pokładem promu unosił się gęsty dym dieselowskich silników, woń była straszliwa. W Björkö zostawiliśmy auto i już jako piechurzy wsiedliśmy do następnego promu na Grötö. Przypomniwał mi się sympatyczny poranek, podczas inauguracji Jana Pawła II, kiedy Kerstin wiozła mnie motorówką na wyspę w celu wręczenia mi grafik Salvadora Dalí z cyklu *Wenus*, na które zapracowałem sobie ciężką pracą studencko-doktorancką w olbrzymiej piekarni AB Juvel.

Po kilku minutach szybkiego marszu stanęliśmy przed bramą posiadłości Kerstin. Bulukin. Nacisnąłem guzik dzwonka, ale nie było reakcji. Krążyliśmy wzdłuż ogrodzenia posiadłości Kerstin, tam, gdzie dało się przejść, z nadzieją zobaczenia tam, gdzie widziało się wewnątrz posesji, jakiejś żywej duszy, która, choć obecna, mogła nie usłyszeć dzwonka, bo nie było jej w domu, skoro była w ogrodzie. Więc nie słyszała dzwonka. Płonącą nadzieją, jak się okazało. Nikt nam nie otworzył. Zauważyliśmy jednak jakiś leżak rozstawiony na trawie, a obok niego niedaleko na tarasie stolik kampingowy rozłożony, na którym coś stało, może karafka z wodą. Oczy mam słabe, Barbara Castello pomimo okularów też nie widziała dobrze.

Muszę dotrzeć do tego Bulukina, powiedziałem. Ale nie będziemy tu czekać na jego powrót w nieskończoność. Może odwiedza dom na wyspie sporadycznie, a mieszka w Göteborgu. Szybkim krokiem wróciliśmy na przystań, akurat zawijał prom wracający do Björkö. W drodze powrotnej na obu promach googlowałem z zapamiętaniem. Wsiewolod Bulukin miał swoje hasło w szwedzkiej Wikipedii, to

tam znalazłem potwierdzenie, że syn Kerstin i Wsiewoloda ma na imię Gunnar. Jakimś cudem w googlu docieram do informacji, że Gunnar związany jest z Världskulturmuseet. Jedźmy do Världskulturmuseet, proszę Castello i już kwadrans po przycumowaniu promu w porcie göteborgskim dojeżdżamy do Södra Vägen. O rzut beretem od Tegnérsgatan, Världskulturmuseet to coś w rodzaju Quai Branly. Tak jak w Quai Branly połączono zbiory Muzeum Sztuki Afryki i Oceanii oraz Muzeum Człowieka, w Världskulturmuseet pomieszczono zbiory Etnografiska Museet, w którym przecież bywałem. Ale co do istnienia Världskulturmuseet, nie byłem *au courant*, nie wiedziałem, że trzysta metrów od mojego dawnego göteborgskiego mieszkania powstało Quai. Barbara Castello zatrzymuje się koło kiosku z hot dogami parę metrów od Branly, mówi, żebym do niej zadzwonił, jak skończę, od razu przyjedzie po mnie, a teraz kupi coś dla dzieci, niedaleko. Odjeżdża. Budynek niestety zdecydowanie mniej atrakcyjny niż w Paryżu. Stracona szansa. Przed wejściem i we wnętrzu tłumi, no tak, sobota, głównie dzieci, wielu muzułmanów. Pytam jedną osobę z personelu o Gunnara, nie wie, drugą pytam, nie wie, może mają instrukcję nie informować, myślę, ale trzecia zapytana osoba, oczywistym gestem wskazuje mi łysawego mężczyznę w sile wieku. Gunnar. Podchodzę do niego i w tym tłumie, niemal krzyżąc, zaczynam mu tłumaczyć, kim jestem i co mnie do niego i do muzeum sprowadza. Słucha cierpliwie, czuję ciepły ucisk dłoni.

Gunnar jest szefem ekipy technicznej, która zrealizowała projekt zlecony przez komisarza wystawy, którą otwarto kilka dni wcześniej. Teraz jego ekipa sprawdza, czy wszystko działa. Wiesz – w Szwecji wszyscy mówią sobie *per ty* – mamy tu sporo interaktywnych urządzeń, dzieciaki często je psują, więc trzeba mieć plan naprawy. Przyłącz się do nas, przy okazji obejrzysz wystawę, jest interesująca. Wystawa jest faktycznie interesująca, może ma jeszcze bardziej pedagogiczny charakter niż większość w Quai Branly, na mniejszą oczywiście skalę, a ekipa naprawdę sympatyczna. Po zakończeniu „obchodu” Gunnar proponuje, byśmy przeszli do kafeterii. W kafeterii na tarasie, przy dużym drewnianym stole, przy którym siedzi, pije kawę lub coca-colę i rozmawia kilkoro współpracowników Gunna. Gunnar przedstawia mnie jako kogoś, kto znał jego matkę. Po wymienieniu kilku uprzejmości siadam z nim przy przeciwległym krańcu stołu i opowiadam w skrócie o moich kontaktach z Kerstin, w zamierzonych czasach, czterdzieści lat już minęło, i o mojej lekturze jej wspomnień. Fascynujące. O życiu człowieka, który obok mnie siedzi, ja już sporo wiem, on jeszcze pół godziny wcześniej nie wiedział, że istnieję. Przypatruję się jego twarzy, słucham jego ciepłego głosu.

Gunnar bardzo chętnie zaprosiłby mnie do siebie, ale jutro rano wyjeżdża na dwa tygodnie, musi jeszcze przygotować się do wyjazdu, może więc uda nam się innym razem, jeżeli planuję pojawić się w tej okolicy. Oczywiście, mówię, bardzo chętnie. Teraz jeszcze tylko może zechce mi opowiedzieć o ostatnim okresie jej życia, po wydaniu książkowych wspomnień. Znałeś Kerstin, mówi Gunnar, więc na pewno doświadczyłeś jej otwartości, chęci pomocy drugiemu człowiekowi, wyciągała rękę do każdego potrzebującego pomocy. Więc może cię nie zdziwi, że Kerstin chciała pomóc młodemu, inteligentnemu, błyskotliwemu pracownikowi galerii dywanów w Istambule. Pracowity, z dużą wiedzą, i o imponującej wprost inwencji profesjonalnej, chciał rozwinąć skrzydła na Zachodzie i w stu procentach na to zasługiwał, mówiła Kerstin, opowiada Gunnar. Szwecja wydawała się obojgu dogodnym punktem wyjścia. Kerstin tyłu już do Skandynawii sprowadziła, mówi Gunnar. Poznałem tego gościa z Istanbułu, kiedy nieformalnie odbywał praktykę w Göteborgu. Jak ją znam, to mama wprowadziła go w świat renomowanych handlarzy dywanów, poznał ich osobiście, mama zdradziła sekrety zawodowe, o których ja nie miałem pojęcia, opowiada Gunnar. Logicznym krokiem było, że ten gość – lub ten facet, *den här karlen*, Gunnar nie podaje jego imienia – sam otworzy małą galerię i będą współpracowali. Ale z jego paszportem nawet zatrudnienie go jako pracownika nie było najprostsze. Nie pamiętam dokładnie, kiedy się o tym dowiedziałem, opowiada Gunnar, ale, aby uprościć sprawę, całkiem w jej stylu, mama znalazła wyjście na skróty. Jakie to do niej podobne, pomyślałem. Postanowiła zapewnić mu prawo pobytu i działalności gospodarczej drogą małżeństwa, mówi Gunnar. Wyszła za niego za męża. Wychodząc za męża za gościa z Istanbułu, załatwiła jego problem. Wymyśliła, że zlikwiduje jego dwa problemy, pracy i pobytu, aktem małżeństwa. Przeworna, nauczona różnymi doświadczeniami, akt małżeństwa uzupełniła małżeńskim kontraktem, obwarowując swój czwarty formalny związek całkowitą rozłącznością majątkową.

Ten gość, opowiada Gunnar, w jakiś czas po ślubie zaczął jednak tego nie rozumieć. Miał mieszkać we własnych kwaterach, dom stanowił jej wyłączną własność. Wraz z całą kolekcją dywanów i ze zbiorami sztuki. Nie widziałem tego domu, nie wiedziałem, że Kerstin miała nowy dom. Nie ten na wyspie i nie ten w pobliżu Göteborga, zacząłem się zastanawiać. Miała inny dom niż ten, który widziałem w latach siedemdziesiątych? Tak, odpowiada Gunnar, jej ostatni dom był niesamowity, czołowi architekci wymyślili dla niej bardzo niecodzienną bryłę, centralna część miała dziesięć metrów wysokości i tam eksponowane były obrazy i rzeźby. Salvadora Dalí i inne grafiki, które miała w Grötö, teraz trzymała

w pokojach obok głównej przestrzeni. Ten gość jakiś czas po ślubie zaczął ją przyciskać do muru, aby zainwestowała w jego przedsięwzięcia biznesowe, nachodził ją i niemal molestował. Była kobietą silną i niejedno już widziała. Wychodziła na swoje nawet w bardzo ryzykownych akcjach. Ten gość jednak się uparł.

Wtargnął do jej domu w stanie absolutnej ekscytacji, zaczął awanturę, znałeś Kerstin, wiesz, że nie wdawała się w dyskusje, pewnie milczała, czekając aż on wyjdzie, on jednak nie wychodził. W pewnym momencie, po zapaleniu papierosa, podpalił leżący na stole stos papierów, całą jej bieżącą korespondencję, i w mgnieniu oka olbrzymie wnętrze stanęło w płomieniach, wszystkie zebrane tam przez tyle lat cierpliwie przez Kerstin dodawane do kolekcji dzieła sztuki, Picasso, Matisse, Cézanne, jej ulubieni Masson i van Velde, sztuka czarnej Afryki i Azji mniejszej, twórczość młodych artystów, którym torowała drogę, ogień trawił wszystko, a gość wciąż zrzucał ze ścian obrazy, na pastwę płomieni, mama uciekła do innej części domu, wezwała straż pożarną, potem wybiegła na zewnątrz, udało jej się do mnie zadzwonić, o północy, nie, parę minut przed północą, pamiętam, spojrzałem na zegarek, parę minut po północy byliśmy już tam, gość się ulotnił, mamę zabrano do szpitala, straż dogaszała dopalające się szczątki jeszcze o piętej rano, swąd był niesamowity. Widzę, że jesteś zaskoczony, mówi Gunnar, nie dziwię się. Gościa aresztowano, a po jakimś czasie wywieziono z więzienia stąd do Turcji. Mama jeszcze przez parę dni wydawała się dość rzeczowa, ale potem zgasła, z dnia na dzień, popadła w depresję, rozległa zapaść, w Grötö siedziała, patrząc ślepo przed siebie całymi dniami, patrząc ślepo, słowa Gunnara, potem nastąpił tak zwany wylew, doznała krwotoku mózgu, i ponad rok spędziła w hospicjum. Którejś nocy zmarła, po cichu, mówi Gunnar. Nikogo przy tym nie było.

Nikogo przy niej nie było. Mam wyrzuty sumienia.

Opowiadam to bratankowi. Chciałby wiedzieć coś więcej o konwojach humanitarnych, o ratowaniu żydowskich dzieci.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Górowo Iławeckie

Natangia, pruska, krzyżacka, niemiecka, polska,
w stawie dyszy niemiecki czołg, armata Napoleona,
który tędy przeszedł zakatarzony na rosyjskim koniku.
Pozostało kilka kamieniczek o twarzach zombie,
ratusz – porcelana zgwałcona kałem sowietów.
Zwieźli tu po wojnie Ukraińców jak bydło robocze
opakowane w gazetę komunistycznej prawdy dziejów,
w końcu odzyskali tchnienie języka, zapach folkloru,
daleko od słodkich gór, bliżej słonego morza.

W gotyckim kościele o barokowym sklepieniu,
katolickim, protestanckim, teraz greckokatolickim
na harfie gra celtyckie utwory Myrdhin z Bretanii,
muzycy włożyli wełniane rękawiczki bez palców,
potrącają strunami Europy od Brestu do Brześcia.
To szaleństwo: ogrywać ikony Nowosielskiego
pieśniami bretońskimi o tożsamości i huku Atlantyku.
Świątynia słucha, przymykając pomalowane oczy.
Natangia uczy się na pamięć obcego języka ikonostasu,
złote wrota z mapą nieskończoności.

Kościół w Mołtajnach

Stoisz tutaj kamienno-ceglany gotycki menhirze
jak wbita w twardą ziemię chorągiew żałobna,
rozsypanej po horyzoncie krzyżackiej cywilizacji,
która nikomu nie jest na szczęście potrzebna,
nawet sprzecznym wiatrom pomyłonej historii.

Stoisz niemo jak dolmen skamieniałego powietrza,
ale już nikomu nie grozisz ani stosem ani szubienicą;
jesteś stąd, chociaż nie lud bałtycki cię zbudował,
nie twoja leśna religia ani mowa go żywiła,
zanim rozproszyło się plemię jak nawóz po ziemi.

Ileż to minęło epok, języków, nacji,
przetrwaleś jako drogowskaz wiary i strażnik krajobrazu,
który już cię nie pojmuje a nawet dotkliwie boi;
ludzie stąd nie są tutejsi, ale nikt nie jest u siebie,
dopóki nie umrze i nie znajdzie w ziemi ratunku.

Stoisz tutaj nieruchomo jak żałobna chorągiew
nad pustą transcendencją przeszłości i przyszłości;
kto wie, jak się obcemu przyśniesz i co on ci zrobi?

Twarde burze sinieją na murach wklęsłe i ślepe,
w posadzce chrobocze pod stopami martwy wizerunek,
kto wie czy zmartwychwstanie wzbudzi i obcych ludzi?

Do stóp mazurskiego Jezusa w Sorkwicach

Wiem, że nie zmartwychwstałeś mazurski powsinogo,
bo utknąłeś marnie w suficie kościoła ewangelickiego,
głowa i ciało zmiażdżone dachem, fizyczną transcendencją;
wystartowałeś z ołtarza pośpiesznie i utknąłeś w niskim niebie,
zostawiając na widoku miniaturowe stopy i pionową ciszę
pokrytą porostami tajemnicy, reszty ciała mogą się domyślić
mimo żem niewierzący. Poszło samo okaleczone w niebiosy?

Bez stóp, bo już w locie niepotrzebne?
Taki chrześcijański Sojuz z duchowym paliwem?
Ostatecznie to nie dusza ani zadziorny wróbel, ale znak
absolutnego odlotu albo ryzykownego startu co złamał ciało?
Z wieży kościelnej nie widać po tobie żadnej smugi, rysy ani gromu,
jest zwykłe jezioro pole do gry, w siatkówkę, plebania protestancka,
a w niej pies w kojcu, który prostodusznie szczeka na natręta
bez duszy w swoim dekalogu, przyjazny pastor i klucz
dla niedowiarków niebiańskich lotów, aby ujrzeli Jezusa
czyste pięty zaskoczone przez peryferyjny sąd ostateczny.

Do czarnego kozła w Trękusie

Za Hitlera utwardzono drogę, za Jaruzela dano asfalt,
roweruję więc lotnie i ulotnie, kiedy na poboczu zjawiasz się Ty,
brodata istota stworzona przez niestworzony absolut przyrody,
z poziomymi żółtymi źrenicami Lucyfera albo Ho Chi Minha,
czyli Nosicieli Światła, których ciemna enigma schowana
w skołtunionym włosie kryje labirynt fantastycznego umysłu.
Przystaję, opieram rowerzycę o twój mocarny grzbiet,
gładzę pysk twardy jak kość planety i czochram brodę.
Pozwalasz mi na to, spojrzenie masz próżne i kosmiczne.
Nie jestem ci do niczego potrzebny, ty również jesteś niczyj,
moje istnienie jest przypadkowe, twoje nie musi być ofiarne,
stoimy blisko siebie i wciągamy nozdrzami przelotny ogień
naszych ciał, które tak samo płoną w torfie piekła.

LESZEK ŻYLIŃSKI

Oswajanie przestrzeni i losu. Twórczość Kazimierza Brakonieckiego między geopoetyką a metafizyką

„...bo pisanie jest dla mnie sprawą życia i śmierci.
To moja religia”*

Nieczęsto się zdarza, aby sformułowany na początku twórczej drogi autor-
ski program był konsekwentnie realizowany w twórczości przez dziesięciolecia.
W przypadku Kazimierza Brakonieckiego ów program wyrasta z egzystencjalnej
potrzeby zakorzenienia się w przestrzeni, w której przyszło mu żyć. Emocje i inte-
lekt kierowały poetycką wrażliwość ku miejscu i przestrzeni, tu rodziły się pytania
o własne bycie w świecie, o metafizyczne i etyczne w nim umocowanie. Konkret-
ne miejsca borussiańskiego skrawka Europy stały się humusem obrazów, mitów,
znaków. Ich rozpoznanie i zrozumienie pozwoliło poecie wtopić się w krajobraz,
oswoić przestrzeń, która wcale nie była oczywista. Tacy jak on, w pierwszym po-
koleniu urodzeni na nowej ziemi, dokąd po wojennej wędrówce ściągnęli dziad-
kowie i rodzice, musieli tę przestrzeń dopiero oswoić. Nie znajdowali tu bowiem
grobow swych przodków, pamiątek historii, o której uczyli się w szkole, miejsc,
do których wracali pamięcią rodzice, przeflancowani z wichrem dziejów gdzieś ze
wschodu dawnej Polski czy z Mazowsza.

Tak pisze o swojej wczesnej socjalizacji: „Urodzeni tutaj po 1945 roku zna-
leźliśmy się w środowisku niepowtarzalnym. Mieszkałem jako dziecko i nastola-
tek na ulicy K. Jagiellończyka w Olsztynie z sąsiadami – większość już jest poza
Polską – którzy czuli się albo Niemcami, albo Warmiakami, albo Mazurami. Byli
też, jak już tak dalej dzielić, Ukraińcy, Wilniuchy, Kurpie, Pomorzanie. Była to masa,

Jest to tekst laudacji wygłoszonej na uroczystości siedemdziesięciolecia Kazimierza Brakonieckiego w Olsztynie w Domu Mendelsohna 10 grudnia 2022 roku.

* Kazimierz Brakoniecki, *Dziennik olsztyński 1989–1993*, Warszawa 2022.

która nie utworzyła oryginalnej tożsamości i w tej masie my wszyscy żyliśmy – ocalańcy powojenni i ich liczne dzieci. Łączyło nas podwórko, wspólne zabawy, wspólny krajobraz...¹.

Stąd też w programowym eseju z 1997 roku powie: „Jestem tutaj obcy, a przecież najbliższy tej ziemi, bo noszę w sobie niezniszczalny jej znak – język krajobrazu”². Napięcie pomiędzy obcością a zadomowieniem staje się na lata paliwem jego twórczości. W wielu wypowiedziach odautorskich przekonuje czytelników i pewnie siebie samego, że on naprawdę jest stąd, że ta ziemia jest także jego. Sposób, w jaki to robi, czyni z niego poetę egzystencji i lokalności jednocześnie. Nie zamierzam wcale negować tej autoidentyfikacji, odnotowuję jedynie silną potrzebę jej podkreślenia, jak gdyby ta przynależność do miejsca mogła zostać odwołana – przez historię, politykę, los... Łączy się to w pewien sposób z dostrzegalnym odcinaniem się od przemożnej siły narodowych historii i ich zniewalających narracji, jakie nieustająco determinowały myślenie o (nie tylko) tym regionie Europy.

Konsekwentnie przejmie i wypracuje wrażliwość i myślenie ukierunkowane na zakorzenienie w konkretnym miejscu jako swoistym punkcie podparcia dla życia i twórczości. Nie będzie to jednak „umojenie” jako scalenie się z dominującą w latach jego dzieciństwa i młodości narracją według obowiązującego wzorca powrotu na tak zwane Ziemie Odzyskane. Pozostanie podszyte krytycyzmem wobec narzuconej narracji ojczyźnianej z tendencją do eliminowania i upraszczania: „ta ziemia warmińska, dla rodziców i dziadków zdobyta, tymczasowa i przypadkowa, stała się moją ziemią rodzinną, ojczyzną. Na ulicy Jagiellończyka żyliśmy w środowisku wielonarodowym czy wielokulturowym (niemiecko-pomorsko-warmińsko-mazursko-polskim) i to było moje pierwsze »graniczne, polifoniczne« doświadczenie. To miasto, te sprzęty, te domy, ulice, chodniki wskazywały na inną i obcą przeszłość, na inne dziedzictwo, które potępiano oficjalnie jako »hitlerowskie, poniemieckie«, ale jakoś ono musiało stawać się moje, nasze, własne, bo inaczej nie sposób byłoby żyć na rumowisku powojennym”³.

¹ *Najpierw człowiek – potem ojczyzna*, w: Kazimierz Brakoniecki, *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze*, Olsztyn 2020. Pierwodruk tej wypowiedzi ukazał się w roku 1989.

² Kazimierz Brakoniecki, *Światowanie*, „Borussia” 1997, nr 14.

³ *Ideal życia – ideał poezji. Z Kazimierzem Brakonieckim rozmawia Piotr Siwecki*, Kazimierz Brakoniecki, *Poeta i świat. Wyznania, wywiady, wiersze*, Olsztyn 2020. Pierwodruk rozmowy w: „Borussia” 1995, nr 10.

Z czasem, już w dorosłym życiu, poszerzy przestrzeń uważaną za własną. Olsztyn zajmuje w niej miejsce centralne, ale oswaja kolejne kręgi Warmii, od Gietrzwałdu i Barczewa po Braniewo i Lidzbark Warmiński. Później wyjdzie poza swój region, peregrynując po całym obszarze bałtycko-prusko-litewskim. Takie nastawienie wzmocni jeszcze zainteresowanie geopoetyką, które datuje się od lat dziewięćdziesiątych. Wtedy to Brakoniecki poznał twórczość szkocko-francuskiego poety i eseisty Kennetha White'a. Od tego prekursora i wielkiego propagatora podejścia geopoetyckiego przejął w swej twórczości zasadę, „że celem głównym aktu pisania jest umiejscowienie piszącego w przestrzeni, co wcale nie oznacza, że chodzi wyłącznie o przestrzeń literacką”⁴.

Co ważne: w odróżnieniu od literatury regionalnej, ojczyźnianej czy podróźniczej, utwory hołdujące geopoetyce często odwołują się do geografii wyobrażonej. Rzeczywistość i wyobrażenie przeplatają się w poetyckim przeżyciu chwili, krajobrazu, drugiego człowieka. Bowiem – znów za White'em – „zasadniczo geopoetyka dotyczy stosunku do ziemi i otwarcia na świat [...]”. W odróżnieniu od geopolityki „geopoetyka nie zajmuje się siłowymi stosunkami na linii państwo-państwo, jeśli chodzi o terytorium, lecz o stan ludzkiej kondycji we wszechświecie, o stosunki pomiędzy człowiekiem a planetą Ziemią, o jego obecność. Geopoetyka jest antidotum na uszkodzenie świata”⁵.

Ten zamysł nieszkodzenia światu jest tym istotniejszy, im mocniej jest człowiek – choćby mentalnie – zadomowiony w różnych rejonach świata, im silniej odbiera holistyczną całość globu. Łączy nas przestrzeń, która została podzielona granicami przede wszystkim na dwuwymiarowej płaskiej mapie. W poetyckiej kreacji bardzo łatwo je przekraczać. Jak pisał Czesław Miłosz: „Wyobrażenia człowieka jest przestrzenna i bez ustanku buduje architektoniczną całość, z krajobrazów zapamiętanych albo wyobrażonych, postępując od »bliżej« do »dalej«, niejako nawijając warstwy czy pasma dokoła jednej osi, tej w której dotyka on stopami ziemi”⁶. Wraz z innymi twórcami z kręgu „Borussii” Brakoniecki dotyka ziemi w miastach, wsiach, lasach i jeziorach Warmii i Mazur, ale również w przestrzeni krajobrazów wyobrażonych. Borussia jako kraina wyobrażona jest jednak w miarę dokładnie umiejscowiona na terytorium, które współcześnie rozciąga się w wielu krajach, a historycznie należało jeszcze do innych. Potwierdzają to choćby same tytuły wierszy Brakonieckiego, jak te z tomu *Warmiński Budda: Katedra*

⁴ Kenneth White, *Geneza pisania geopoetyckiego*, w: *Otwarty świat*, Olsztyn 2007.

⁵ Kenneth White, *Zarys geopoetyki*, w: tamże.

⁶ Czesław Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 2000.

we Fromborku, W Krośnie koło Ornety, Tłokowo, W Reszlu, Kościół w Chwałęcinie, Łąbędnik, i tym podobne, i tak dalej. Ale mylne jest wrażenie, jakoby były to wiersze krajoznawcze, archiwizujące krajobraz i artefakty związane z małą ojczyzną. Nie ma tu rozliczeń z przeszłością, tytułowe miejsca stają się soczewką skupiającą poetyckie przeżycie w konkretnej okolicy w metafizycznej łączności z ziemią i kosmosem.

Nigdy tak blisko nie byłem
nigdy tak daleko nie byłem
od żaru Ziemi

Ogień oczyszczenia tutaj
ma nieskończony
tęczowy blask⁷

Te miejscowości – Słobity, Gładysze, Reszel czy Asuny – są naznaczone przemijaniem, ale jednocześnie zanurzone w przyrodzie, która trwa niezależnie od wymienianych przez wielką historię co kilka pokoleń mieszkańców tego terenu:

Byli tu Prusowie Niemcy
są Polacy i Ukraińcy
i zawsze prowincja człowieka.

Światło pada na stoły w ogrodzie
słowa są dojrzałe
jak przezroczyste owoce
które pożre czas⁸

Brakoniecki nazywa te wiersze „kosmopoezją żywiącą się tematyką lokalną”⁹, w której najpełniej wykuwa się jego poetyka metafizyki miejsca.

Serce świata ugina się pod mokrym kosmosem
i rozkłada na niewidzialną historię
zakopane w świetle dnia horyzontalne pismo
odczytuje ślepych palcami oświecony umarły

⁷ Kazimierz Brakoniecki, *W Gładyszach*, w: *Warmiński Budda*, Olsztyn 2007.

⁸ Kazimierz Brakoniecki, *W Asunach*, w: tamże.

⁹ *Słowo wstępne*, w: tamże.

nie zastąpi nas niczyja pamięć
jesteśmy ostatni
w tej prowincji człowieka¹⁰

Ta prowincja człowieka nabiera nie tylko charakteru metafizycznego uniesienia, ale ma rys eschatologiczny („jesteśmy ostatni”). W poetyckiej wizji konkretnych miejsc Warmii i Mazur nie dominuje opis, nie ma ona głównie charakteru deskryptywnego. Jeśli chcieć by przydać jej jakąś cechę bliższą literaturoznawstwu niż teologii, to można by ją określić jako normatywną i symboliczną. Pozostając w nurcie geopoetyki, Autor wypracowuje koncepcję „poezji jako metafizyki doświadczalnej miejsca”¹¹, intencjonalnie pozostając zawsze w jakimś konkretnym miejscu. Swoje środkowoeuropejskie zakorzenienie odczuwa nie tylko jako prowincjonalny balast i dopust boży wszelkich geopolitycznych tragedii tutejszych mieszkańców. Akceptując cały zastany krajobraz i historię, staje się sukcesorem poprzedników i ich kultur. Postrzegając siebie w palimpseście odkrywanych narracji i artefaktów, uczy się odczuwać swoje miejsce jako uniwersalne. Afirmując założenia geopoetyki, nie przejmuje jednak w całości koncepcji Kennetha White’a. „W odróżnieniu od kosmopolitycznego projektu White’a, który eksploatował geografę, geologię i kulturę znanych i nieznanymi miejsc (fascynacja celtyckim Zachodem, azjatyckim Dalekim Wschodem) zgodnie z formułą, że więcej wiedzieć, to głębiej wiedzieć, ja w swojej poezji i esejach nie umiałem (i w sumie nie chciałem) pozbyć się indywidualnego rysu historiozoficznego oraz środkowoeuropejskiego (bardziej: bałtyckiego) opisywanych miejsc”¹². Emblematycznym przykładem związania i oswojenia przestrzeni wydaje się wiersz *Geopoetyki* z wydanego w 2007 roku tomu *EUROPA minor*, na który składa się wyliczanka nazw własnych (miejscowości, nazwisk, określeń gatunkowych roślin), związanych z regionem borussiańskim.

W latach dziewięćdziesiątych, w czasie fermentu intelektualnego związanego z powstaniem Wspólnoty Kulturowej Borussia, Brakoniecki formułuje swoje *credo*: „Każda ziemia, ziemia dzieciństwa, ziemia wygnania, ziemia ocalenia jest tylko określonym obszarem ludzkiej przygody, dziejowej manifestacji, indywidualnym i zbiorowym dziedzictwem podległym wartościom nadrzędnym,

¹⁰ Kazimierz Brakoniecki, *Las Warmiński*, w: tamże.

¹¹ Kazimierz Brakoniecki, *Posłowie tłumacza*, w: Kenneth White, *Poeta kosmograf*, Olsztyn 2010.

¹² Tamże.

absolutnym, etycznym, metafizycznym. Ale głębinowa i podświadoma więź pomiędzy krainą dzieciństwa, krainą języka jest dla poety fundamentalna¹³.

Celem poezji zmuszającej do refleksji jest więc nie to, co małe, tutejsze i swoje, mimo że jest punktem wyjścia, ale co globalne, metafizyczne i wspólne. Autor łączy w takim podejściu antropologię z estetyką, przeżycie z twórczością, dochodząc do centralnej dla jego poetyckiego uniwersum kwestii bycia-w-świecie. Tak rodzi się koncept światologii, światowania czy światożycia, jako zakorzenienia w świecie. W programowym eseju z 1997 roku opisze to poszukiwanie nowego uniwersalizmu, pozwalającego na przekroczenie egzystencji tylko w tu-i-teraz. „Ani ontologia, ani teologia – tylko światologia. Istnienie doświadczalne, konkretne, codzienne i mistyczne jednocześnie, pełne, wolne, osobowe i nieosobowe. Bez religii instytucjonalnej i sekciarskiej, bez państwa przemocy, ziem i ludów wybranych. Z obywatelem świata i ojczyzny, kosmosu i okolicy, który staje się ciągle i nieprzerwanie. Utopia! Droga bez powrotu, puste światowanie w przeciwnym czasie! Światopia? Życie i świat – światożycie. Światociało? Każdy człowiek jest ojczyzną. Światociałem¹⁴.

Jak to wszechogarniające poczucie „światożycia” miałyby się manifestować w twórczości literackiej, demonstruje autor w finale eseju, który kończy tyleż realistycznym opisem swego „rowerowania” w warmińskim krajobrazie, co nadrealnym przeżyciem spokoju i dobroczynności natury, błogości egzystencjalnego wycofania, metafizyki jedności ze światem w procesie stawania się częścią uniwersum. „Kaborno–Rykowiec–Buchwald–Pokrzywy – starymi i nowymi leśnymi ścieżkami. Trzaski blaszki lodu pod kołem. Warmiński zachrypnięty las. Nieodłączne gardłowanie pary kruków nad moim rowerowaniem. Przydrożne krzyże, gruzowiska powojenne, odremontowane domki, dacje, pagórki, suche rośliny, zieliska, osty, badyle z przyprószonymi mrozem porannymi koronami. Bezwietrznie! Rowerzyca wytrzymuje piaski i doły, górki, podjazdy, i raptowne zjazdy w kopnym piachu. Jadę nucąc nie znane mi dotychczas piosenki o patrzeniu. Rozglądam się uważnie, czując zimny powiew na twarzy albo niezręczne pocałunki słońca. Rozmaite dróżki polne i leśne. Ubite ciężkimi oponami ciężarówek, posypywane żużlem, wyrównywane piachem lub pokruszoną cegłą, dziurawe, nierówne, sypkie, błotniste, miękkie, elastyczne, trawiaste, wypukłe, narowiste, ciche. Czasami

¹³ *Ideal życia – ideal poezji. Z Kazimierzem Brakonieckim rozmawia Piotr Siwecki*, w: Kazimierz Brakoniecki, *Poeta i świat. Wyznania – wywiady – wiersze*, Olsztyn 2020. Pierwodruk rozmowy w: „Borussia” 1995, nr 10.

¹⁴ Kazimierz Brakoniecki, *Światowanie*, „Borussia” 1997, nr 14.

rower jedzie sam po utwardzonej lekkim przymrozkiem ciemnej ziemi. W milczącym skupieniu, spokojnie i śpiewnie. A nad nami iglasty las, przecinki, karczowiska, dęby, i buki, ich odległe nawoływania. Chałupy na wzgórzach, na koloniach, na słońcach i chmurach, porosty, mchy, grzyby, promienie i monotony stukot. Wielka cisza godzin obłocznych! Nieustająca praco chmur i krajobrazów! A pod ziemią ogień życia i umierania. Korzenie, kości, skorupy, popioły, kamienie, odwłoki, szpony, dzioby, czaszki. Jadę po wygaszonym obliczu świata i jestem ludzkim drzewem żywota, kołem stworzenia, cyklem dnia i nocy, upadania i powstawania. Człowiek, światociało, światorower, rowerzyca, człowiekorower, centaur, cyklower w stanie upojenia, w stanie dzikim, metarower, oś świata, nic i nikt. Wszystko”¹⁵.

Światologia Brakonieckiego jest jego indywidualną teozofią i estetyką, w której łączy refleksje nad kondycją ludzką w przestrzeni metafizycznej z ekspresją poetycką w przetworzeniu geopoetyckim. Wszystkie te elementy są niezbędne dla powstania dzieła, w którym wyobraźnia pozostanie w łączności z topograficznie określonym miejscem, los jednostki z umocowaniem w historii, a poetycka wrażliwość znajdzie adekwatną formę językową. Często realizuje to poprzez wyzuczenie na onomastyczny wymiar nazw i zachwyty nad krajobrazem, jak w wierszu *Terra nullius*:

Kurlandia, Kurzeme, Łotwa, Bałtyk,
widziane wierszami miasta, wioski, widoki, ludzie,
jak pręgi na nadgarstku po przecięciu historii,
jak koła w topieli po wrzuconym kamieniu,
[...]
Boruta, Lucija, Ansis, Benita.
Za wydmami morze. Szumi szorstko niebo.
Sosny wyższe od piaszczystej pamięci.
Na ławce postać z rękami w ziemi.
[...]
Bałtyckie mewy w Ventspils, kurlandzkiej Windawie,
wrzeszczą tak samo zajadle jak te bretońskie w Saint-Brieuc.
W gotlandzkiej Visby ruiny gotyckich świątyń
są jak grzyby napromieniowane zabytkowym rozkładem¹⁶.

¹⁵ Kazimierz Brakoniecki, tamże.

¹⁶ Kazimierz Brakoniecki, *Terra nullius*, Gołdap 2014.

Elementem konstytutywnym dla poetyki tekstów poetyckich i eseistycznych Brakonieckiego jest podkreślane już wcześniej zakotwiczenie w konkretnej przestrzeni. To terytorium określone toponimicznie podlega peregrynacjom rzeczywistym i wyobrażonym w przestrzeni i dziejach. Warto w tym miejscu odwołać się do pojęcia „miejsca autobiograficznego” według kategoryzacji Małgorzaty Czermińskiej. Tak rozumiane miejsce zachowuje swoje zakotwiczenie w geografii, „nie jest jednak kawałkiem rzeczywistej, fizycznie istniejącej przestrzeni, ani nawet po prostu zespołem związanych z nią kulturowych znaczeń i wyobrażeń”, musi natomiast posiadać „indywidualny charakter” oraz być „ukształtowane głównie w materii utworów literackich”¹⁷. Poddane zabiegom literackiej kreacji, odpominania, mityzacji staje się niekiedy wyobrażonym doświadczeniem egzystencjalnym autora, swoistym miejscem pamięci. Może, ale nie musi współgrać z pamięcią i doświadczeniem zbiorowym, może pozostać indywidualnym mentalnym artefaktem, związanym z konkretnym losem i konkretną twórczością. „Literackie miejsce autobiograficzne jest znaczeniowym, symbolicznym odpowiednikiem autentycznego miejsca geograficznego oraz związanych z nim kulturowych wyobrażeń. Nie istnieje w geograficznej próżni, nie odnosi się do przestrzeni geometrycznej, uniwersalnej i pustej. Związane jest zawsze z topograficznym, materialnym konkretem, nawet jeśli zostaje on poddany przekształceniom literackim, właściwym nie tylko metaforze, możliwej w konwencji realistycznej, ale także prawom oniryzmu i fantastyki”¹⁸.

Taki charakter ma wiele wierszy i tekstów prozatorskich dzisiejszego Jubilata. Punktem wyjścia jest z reguły topograficznie identyfikowalne miejsce, które nabiera życia w literackim przetworzeniu krajobrazu, reliktyw przeszłości, świadków natury i własnego metafizycznego zanurzenia w tymże świecie. Ta forma rozmowy i przeżycia rzeczywistości stała się jego znakiem rozpoznawczym. Nie narzuca ona żadnej wiążącej estetyki, postulując jedynie zainteresowanie regionem i krajobrazem w wymiarze spotkania z innym człowiekiem naznaczonym indywidualną biografią oraz historią. Ta twórczość zanurzona jest wszakże w głębokim przeżyciu pytania o etyczny sens egzystencji, gdzie światowanie prowadzi autora i czytelnika poprzez bunt i odrzucenie „despotycznego i niemoralnego Ojca” (Boga) do pogodzenia ze światem dzięki krajobrazowi natury i kultury konkretnej przestrzeni, w której możliwa staje się twórcza i etyczna egzystencja:

¹⁷ Małgorzata Czermińska, *Miejsca autobiograficzne. Propozycja w ramach geopoetyki*, „Teksty drugie” 2011, nr 5.

¹⁸ Małgorzata Czermińska, tamże.

charakteryzując swą poezję, powie przed laty, i powtórzy to w wydanym w 2022 roku *Dzienniku olsztyńskim*: „Moja poezja to protest przeciwko umieraniu wszystkiego, ale też dążenie do transcendencji (nieosobowej i niemonoteistycznej), która jest ontologiczną tajemnicą i etycznym zobowiązaniem do duchowej aktywności (niekoniecznie literackiej przeciwieństwo)”¹⁹. Swoje *credo* realizuje konsekwentnie od lat, mnie pozostaje na koniec tylko zachęcić czytelników do poznawania tej twórczości w metafizycznym spokoju, który roztacza borussiański krajobraz.

¹⁹ Kazimierz Brakoniecki, *Dziennik olsztyński 1989–1993*, Warszawa 2022.

MIROŚLAW DZIENÍ

Zawał, owoce

Kaniule, strzykawki, rurki
przez które płyn życia kropla
po kropli wchodzi w żyły. Wszystko
jest w należyтым porządku.

Trzeba przeleżeć chorobę, przemyśleć
ją do końca, ustawić wokół niej
parkan i w środku zasadzić drzewa:
pyrus L., malus i prumus avium.

A potem czekać na owoce. Wciąż
życia owoce a nie śmierci.

Kaniule, strzykawki, niebieskie kotary
i muzyka czujnych aparatów. Wracamy
w nasze codzienne sprawy, opatulemi
światłem krytycznej godziny. Jak w Ogrodzie
szukając po omacku najbardziej
utęsknionego Głosu. Tak, najbardziej
wypatrywanego w miarowym szumie
respiratorów, czerwieni tamponów i moczu
jak płynne złoto gromadzącego się w *kaczkach.*

Ustroń, 23 września 2022

Otarłem się o Ciebie o bezwonna
śmierci.

Ustroń, 23 września 2022

Oko w oko

Zobaczyłem swoje bijące serce na
ekranie. Byliśmy oko w oko.

Ustroń, 23 września 2022

Aniołowie krzątali się przy moim szpitalnym
łóżku. Prawie słyszałem ich świetliste
szepty w kroplówkach, oddechy w rękawie mierzącym
ciśnienie życia (mojego) na prawym ramieniu,
w wenflonie czujnym na kolejną dawkę łaski.

Ustroń–Bielsko, 23–27 września 2022

KS. JANUSZ ADAM KOBIERSKI

Jeśli tak

Wciąż nasłuchuję,
czy nadchodzi dobra myśl.

Jeśli tak, niech błysnie
w moim mroku i ciszy.

Wtedy spróbuję znów
postawić pierwsze słowo.

Na marginesie

To, co na marginesie,
też może być ważne,
potrzebne
i mądre.

Bowiem ze szczegółów
układa się wzór życia,
jak na obrazie,
który zwą arcydziełem.

Telegram

Tekst powinien być krótki
i konkretny.

Na przykład:

Pogrzeb Babci w środę o 11.

Przyjadę jutro o 16.

Zdałem ostatni egzamin.

wrzesień 2022

W świecie słów

Te wszystkie słowa,
które powiedziałem i napisałem,
lub choćby pomyślałem –
będą świadczyć o mnie.

A jeśli to mrowisko liter
rozdrobni mnie w proch.
I nie scali się w kształt ludzki,
to cóż po mnie zostanie?
Co pocznę wtedy nieszczęsny?
Choć całe życie dobiebrałem słowa,
by układały się w sensy.

I aby powstała jedna opowieść
o człowieku,
który szukał ocalenia.

IRENEUSZ KANIA

Dziwne-Lągi

Oto garść przykładów-koszmarków z mojego zbioru *Dziwnych-Lągów* (który zacząłem już w roku 2006!); wyrwanych trochę na oślep, aleatorycznie. Jednak dają one jakiś głębszy wgląd – poprzez język – w stan umysłów naszych współ(czesnych)rodaków. I w sposób – jakość – ich myślenia.

Nazwiska powykreślałem, bo chodzi o zjawiska raczej niż o osoby. O pokazanie pewnych tendencji, procesów.

Podkreślam fakt znamieny: te egzemplifikacje, stanowiące wierzchołek góry lodowej, pochodzą z wysokiej, często nawet najwyższej, półki mediów drukowanych, radiowych, telewizyjnych (z nielicznymi wyjątkami).

2015

„Trzeba pamiętać, że chińskie elity – bez względu na kolor barw – są przede wszystkim nacjonalistami...”

(*Czy smok rozumie niedźwiedzia*, „Znak”, nr 3, s. 47)

*

[Tatarak] „...przywędrował do Polski z Tatarami, którzy w kulbakach na wodę mieli właśnie korzenie tataraku”.

(„Znak”, nr 7-8)

*

OBUWNIK TO ZAWÓD Z PRZYSZŁOŚCIĄ

(Ogłoszenie w Kalwarii Zebrzydowskiej, 2 sierpnia)

*

„(...przetłumaczył Wergiliusza, Lukrecjusza, Oracjusza, Pindara)...”.

(M. Vitti, *Historia literatury nowogreckiej*, wyd. DiG, Warszawa 2015, s. 311)

*

HYDROMASAŻ NA SUCHO

(Ogłoszenie, Zakopane, ul. Bronisława Czecha, wrzesień)

*

Prof. nadzw. dr hab.

Arturze Hołdzie

Kierownikowi Zakładu Finanse i Rachunkowość
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmiej

Ojca

składają
Władze i pracownicy
Wyższej Szkoły Ekonomii i Informatyki w Krakowie

(„Gazeta Wyborcza”, 9 października)

*

„To było apogeum, które przelało gorycz wśród mieszkańców...”.

(O oczyszczalni ścieków w Bełchatowie, *Wiadomości*, Polsat, 17 października,
godz. 19.15)

*

„...możliwe jest porozumienie dotyczące terenów wokół akwenu wodnego –
mówi Szatanik”.

(„Gazeta Wyborcza. Kraków”, 17–18 października)

*

„Dalej padają ostre słowa pod nazwiskiem prezydenta Jacka Majchrowskiego”.
(jw.)

*

KRACOW RESIDENCE

(Szyld hotelu w Krakowie, ul. Starowiślna 65)

*

„Powieść [...] jest doskonałą prolegomeną do takiego wystąpienia”.

(M. Jergović, *Olga Tokarczuk jak Jakub Frank*, „Gazeta Wyborcza” 31 października–1 listopada)

*

INŻYNIERING

(Napis na samochodzie serwisowym, Kraków, listopad)

*

„Więźniowie dociekali swoich praw w myśl zasady...”.

(Wspomnienia więźnia GUŁAGU, Polskie Radio Dwójka, 4 czerwca, godz. 8.10)

*

„Obrona będzie żałowała to postanowienie...”.

(*Wiadomości*, Polsat, 7 grudnia, godz. 19.02)

*

„...badania [...] pokazały, że gimnazja z prowincji i te miejskie nie dzieliła przepaść”.

(„Tygodnik Powszechny”, 15 listopada)

*

„...Krakowskie MPK postanowiło podesłać producentowi wsparcie w postaci brygady swoich pracowników”.

(„Gazeta Wyborcza. Kraków”, 18 grudnia)

*

„To [...] osiągnęło w wypowiedzi pana Jarosława Kaczyńskiego swój kulminacyjny szczyt [...]”.

(„Gazeta Wyborcza”, 18 grudnia)

2016

„...w najwyższych superlatywach chwalił go...”.

(Polskie Radio Dwójka, 10 stycznia, godz. 14.20)

*

„26 stycznia – Międzynarodowy Dzień CELNICTWA”.

(Telewizja Miejska Kraków, tramwaj linii 8, 2 lutego, godz. 18.50)

*

„...nad tym projektem siedziały niejedne głowy naukowców...”.
(Polskie Radio Dwójka, 3 lutego, godz. 8.20)

*

„...mamy już półmetek zimowej kanikuły...”.
(*Wiadomości*, TVN, 7 lutego, godz. 19.13)

*

„...te reakcje aktorów stają się jeszcze bardziej ekstremalne...”.
(Polskie Radio Dwójka, 10 marca, godz. 8.20)

*

„...zapraszamy na ten radiowy spektakl...”.
(Polskie Radio Dwójka, 5 maja, godz. 8.30)

*

„...wszystko to dzieje się samostrzeć...”.
(Polskie Radio Dwójka, 27 czerwca, godz. 8.15)

*

„...stworzenie... wizerunku pisarza-człowieka łaknącego za przynależnością...”.
(„Gazeta Wyborcza”, 22 lipca)

*

„Koncert uwielbieniowy na placu Piłsudskiego...”.
(„Tygodnik Powszechny”, 31 lipca)

*

„...pokazuje najbardziej optymalne tempo”.
(„Gazeta Wyborcza”, 20–21 sierpnia)

*

„Nagroda Nobla dla Sally Pradoma...” (tj. Sully Prudhomme’a!).
(*Przegląd prasy*, Polskie Radio Dwójka, 29 października, godz. 8.20)

2017

„...narzekano na deszczową pluchę...”.
(Polskie Radio Dwójka, 4 stycznia, godz. 8.40)

*

Styczeń: Panopticum modnych językowych koszmarków:

- „odpuścić” (szerzy się w druku, zwłaszcza w prasie)
- „po prostu”
- „generalnie”
- „ruski biernik” (po przeczeniu albo nawet przed: „Ją to nie interesuje”)
- „tak?” (jako przerywnik: w środku zdania, na końcu; ulubione przez ludzi z pretensjami do inteligenckości)
- „kompromat” (zapożyczenie najświeższej daty, zapewne z rosyjskiego)
- „mega-” (a nawet: „przemega”!)
- „super”
- „miłego dnia” (zamiast: „do widzenia”; kalka z ang. *have a nice day*)
- „dokładnie” (ogromna kariera międzynarodowa: nawet w Grecji notoryczne *akriwōs*, zamiast *malista*)
- „temperatury na plusie/na minusie” (szerzone przez prezenterów i prezen-terki pogody w TV)
- „jakby” (ew. „jak gdyby”)
- „trzymać kciuki”
- „tak naprawdę”
- „prestizowy” (zdaje się, że co ważniejsze konkursy muzyczne, sale itp. są już wyłącznie „prestizowe”)
- „kolejny” (np. „kolejny strajk kolejarzy, zgłaszających kolejne żądania”)
- „dedykowany”
- „ekstremalny” (bardziej, ew. najbardziej ekstremalny).

*

„Może arcykapłan Eleazer, [...] był nieco bardziej wymowniejszy i ciekawszy”.
(*Surowy władca*, „Tygodnik Powszechny”, 26 lutego)

*

„...symfonia Berlioza pt.: *Childe* [wym. po polsku!] *Harolda*...”.
(Polskie Radio Dwójka, 10 marca, godz. 8.15)

*

„...cześć świetlanym cieniem [Pani] XX, rozstrzelanej przez Niemców...”.
(Epitafium na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie, marzec)

*

„mamy tutaj kjubus, który jest jakby linkiem do czegoś innego”.

(Polskie Radio Dwójka, 13 kwietnia, godz. 8.15)

(do tego: „zrobiłem do tego zajawkę, taki trajler...”)

*

„...nie nazwałabym to biografią...”.

(Autorka najnowszej biografii T. Konwickiego, Polskie Radio Dwójka, 4 maja, godz. 8.11)

*

„...ich przedstawiciele hołubili narodowym tradycjom...”.

– „...uczelnie węgierskie funkcjonujące w rumuńskim Siedmiogrodzie, dedykowane węgierskiej mniejszości”.

(*Nieznosny ciężar obywatelskości*, „Tygodnik Powszechny, nr 18-19, 30 kwietnia–7 maja)

*

„nie inspirowałam do tego, by napisać...”.

(Polskie Radio Dwójka, 29 maja, godz. 8.01)

*

„...wdrożenie tej implementacji na rynku krajowym jest szczególnie trudne...”.

(*Wiadomości*, Polsat, 8 czerwca, godz. 19.20)

*

„...wszystkie maty były insulowane...”.

(Polskie Radio Dwójka, 12 lipca, godz. 8.25)

*

„Ich przedstawiciele [...] nie zdołali skupić uwagi obradujących na Malcie”.

(B.G. Flavigny, *Joannici. Historia Zakonu Maltańskiego*, wyd. Astra, Kraków 2017, s. 269)

*

„...Dokąd nie pojedzie, tam wygrywa”.

(Dziennikarz TV, *Wiadomości*, Polsat, 8 sierpnia, godz. 19.05)

*

„...jest to miłość nieodwzajemniona z której wychodzi się okaleczonym ale też bardziej dojrzałym...”.

(Wiersz Nike z *Samotraki*, w: *Mój poliptyk sztuki*, Kraków 2014, s. 29)

*

„Jeden z dekretów Trumpa zdjął ochronę z tysięcy małych i średnich akwenów wodnych”.

(*Niedźwiedzie uszy Donalda Trumpa*, „Gazeta Wyborcza”, 2–3 września)

*

Obok sala duszpasterstwa wojskowego, ale – jak zaznacza komendant – w duchu ekumenicznym, bo obok przenośnego konfesjonału czy oryginalnego samochodowego ołtarza polowego, używanego przez kapelana Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, jest modlitewnik żołnierzy Wehrmachtu, czy też obraz przedstawiający mszę polową z czasów I wojny światowej w obrządku mojżeszowym.

(*Pokojowy Szturm na Oleandry*, „Gazeta Wyborcza”, 6 października)

*

„Wspomniany egzemplarz wyposażono w belki dedykowane do podwieszania AGM-65B oraz współpracujący...” (itd.).

(„Lotnictwo”, nr 19, listopad)

*

Minister Jan Szyszko podczas konferencji ujawnił kolejne fakty, dotychczas wstydliwie skrywane pod płaszczykiem poprawności politycznej. „Teren Puszczy Białowieskiej był intensywnie użytkowany w okresie przed chrzestem. I to jest okres przed narodzeniem Chrystusa również” – powiedział. Redakcja ZO[?] przygotowała w tym celu przydatne kalendarium.

(„Gazeta Wyborcza. Kraków”, 8 grudnia)

*

„Ratownicy... krzykali do mnie po czarnogórsku, że mam skoczyć...”.

(„Gazeta Wyborcza”, 15 grudnia)

*

„Moje auto... nie tamowało ruch zarówno na jezdni, jak i na chodniku...”.

(*Prośba o donos*, „Gazeta Wyborcza. Kraków”, 15 grudnia)

*

„...w sztabuchach Czapskiego...”.

(Kurator wystawy Pawilonu Józefa Czapskiego w Krakowie, Polskie Radio Dwójka, 19 listopada, godz. 7.55)

*

„...ta matka ją nie saportowała...”.

(Polskie Radio Dwójka, 20 grudnia, godz. 8.15)

2018

„...zainspirowała mnie do stworzenia pracy dedykowanego tej galerii...”.

(Polskie Radio Dwójka, 4 stycznia, godz. 8.20)

*

„...mięso wieprzowe drobno rozdrobnione”.

(Na wyrobie wędliniarskim z Sokołowa)

*

„...jeśli ktoś założył rodzinę i nadal podejmuje skrajnie ekstremalne wyprawy w Himalaje...”.

(„Tygodnik Powszechny”, 4 marca)

*

„...teraz będziemy słuchać fragment Stabat Mater Poulenca...”.

(Polskie Radio Dwójka, 31 marca, godz. 8.32)

*

„(krzywdy doznane) w dzieciństwie i nastoleństwie...”.

(Polskie Radio Dwójka, 7 czerwca, godz. 8.15)

*

„...odrobina łutu szczęścia...”.

(Polskie Radio Dwójka, 20 lipca, godz. 8.20)

*

„Anette Imsdorf... udzieliła ekskluzywnej rozmowy... (godz. 8.07), ekskluzywnego wywiadu...” (godz. 9.32).

(Polskie Radio Dwójka, 31 lipca)

*

„...malarza Judżina Delacroix...”.

(*Przeгляд prasy*, Polskie Radio Dwójka, 1 sierpnia, godz. 8.37)

*

„on... zaimplementował to... do własnej muzyki...”.

(Rekomendacje kulturalne, Polskie Radio Dwójka, 17 sierpnia, godz. 8.05)

*

„...stosowano się do ogólnej zasady, według której akwen wodny nie powinien się w widoczny sposób kończyć...”.

(*Estetyka chińska. Antologia*, wyd. Universitas, Kraków 2007, s. 311)

*

„Bohaterki obrazów to istoty skomplikowane, którymi szargają miliony emocji”.

(Reklama wystawy malarstwa Karoliny Pawlickiej, „Informator Zakopiański”, wrzesień)

*

„...utwory grane wiele razy przez Jordiego Savalla” [„Jordi” wymówione po polsku, przez jot!]

(Jeden z organizatorów festiwalu muzycznego [!] Wiara i, Polskie Radio Dwójka, 19 października, godz. 8.50)

*

[Do gromady szpetnych językowych dziwolągów, lansowanych – niestety – przez „Gazetę Wyborczą” (jak „tacierzyński”, „konsulka”) przybywa „gościni” (femininum od „gość?”); „Wysokie Obcasy”, 20 października]

*

Pani

Anny Rączki

i

Pani Zofii Główni

najgłębsze wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają

Dyrekcja, koleżanki i koledzy

Zarządu Infrastruktury Komunalnej i Transportu w Krakowie

(„Gazeta Wyborcza”, 25 października)

*

Saudyjscy influencerzy, którzy w mediach społecznościowych mają 100 tys. i więcej osób śledzących, stworzyli wiele hashtagów, które twitterowe boty retweetowały potem tysiące razy, gwarantując im trendowanie.

(„Gazeta Wyborcza”, 3 listopada)

*

„gauchos [wymawiane przez *ch* polskie!], czyli argentyńscy pasterze bydła...”

(Audycja muzyczna, Polskie Radio Dwójka, 22 listopada)

2019

„...pan de Machis (?)... był protagonistą J.J. Rousseau...”

(Audycja muzyczna, Polskie Radio Dwójka, 13 stycznia, godz. 14.20)

*

„...jest to opowieść o źle...”

(*Przeгляд prasy*, Polskie Radio Dwójka, 14 stycznia, godz. 8.27)

*

„W zależności od rodzaju celu będziemy używać najbardziej optymalnych platform przenoszenia środków bojowych”.

(„Lotnictwo”, nr 1-2)

*

„...dwusilnikowy układ konstrukcyjny jest chętnie stosowany w przypadku myśliwców operujących nad akwenami wodnymi...”

(jw.)

*

„Jestem dość ekstremalna, gdy w coś się angażuję”.

(„Gazeta Wyborcza”, 22 lutego)

*

„...nie trzeba zostawiać to na ostatnią chwilę...”

(Polskie Radio Dwójka, 4 marca, godz. 8.25)

*

„do zakończenia koncertu zostało jeszcze niespełna ponad 20 minut”.

(Audycja muzyczna, Polskie Radio Dwójka, 6 marca, godz. 14.30)

*

„...najbardziej optymalna propozycja to przeprowadzenie remontu nocą...”.
(„Gazeta Wyborcza. Kraków”, 8 marca)

*

„...mam dla państwa małą miniaturę fortepianową...”.
(Audycja muzyczna, Polskie Radio Dwójka, 11 marca, godz. 13.02)

*

„...film się ogląda jednym tchem...”.
(Rekomendacje kulturalne, Polskie Radio Dwójka, 13 maja, godz. 8.03)

*

„Jeden z trzech dedykowanych do przewozu towarów Ił-62 MGr, wyposażony...” itd.
(M. Petrykowski, P. Bondaryk, *Iłuszyn Ił-62, seria Samoloty pasażerskie świata*, nr 32, wyd. Edipresse, Warszawa 2019, s. 27)

*

„Oprócz dedykowanej odmiany frachtowej opracowany został wariant pasażersko-towarowy...”.
(Tamże, s. 29)

*

„...były to doraźnie przekonfigurowywane płatowce...”.
(Tamże)

*

„Wprowadzone zostały też nowe grupy taryfowe dedykowane dla odbiorców paliwa gazowego...”.
(Pismo z PGNiG, 22 maja)

*

„...te dwa wiersze Daphne Du Maurier... to nie są żadne juwenalia...”.
(*Przegląd prasy*, Polskie Radio Dwójka, 30 maja, godz. 8.19)

*

„Smutnym produktem ubocznym przesadnego poczucia niższości części Polaków nad zachodnimi sąsiadami jest rekompensowanie go sobie demonstrowaniem równie przesadnej wyższości wobec wschodnich sąsiadów”.
(„Gazeta Wyborcza”, 8–9 czerwca)

*

„...trzeba mieć tę odrobinę łutu szczęścia...”.

(Wywiad z reżyserem spektaklu *Zakłęte rewiry* w Warszawie, Polskie Radio Dwójka, 14 czerwca, godz. 8.38)

*

„Podmiotka wiersza Witkowskiej znajduje się dokładnie tam gdzie martwy motyl...”.

(„Znak”, nr 7-8)

*

„...płatowiec A330 został wykorzystany przez producenta do budowy dedykowanej wersji frachtowej...”.

(M. Petrykowski, D. Bondaryk, *Airbus A 350, seria Samoloty pasażerskie świata*, nr 41, Warszawa 2019)

*

„Święte Jakuby z Morza Północnego”.

(Menu w restauracji Hotelu „Pod Różą” w Krakowie, październik)

*

„MUS z BZU”.

(Ogłoszenie na sklepie spożywczym, plac Wolnica, Kraków, listopad)

2020

Moni Gorzcycy

z powodu śmierci

Taty

Kazimierz Gorczyca

najszczerze wyrazy współczucia

składają

koleżanki i koledzy z redakcji *True Story*

Edipresse Kolekcje

(„Gazeta Wyborcza”, 14 lutego)

*

„...wydany został boks pod hasztagiem...”.

(Polskie Radio Dwójka, 24 lutego, godz. 8.35)

*

„...nieważne, czy jesteś mechaniczką samochodową...”.

(„Wysokie Obcasy”, 30 maja)

*

„...będziemy dalej kontynuować...”.

(Polskie Radio Dwójka, 1 czerwca, godz. 8.40)

*

„...w kolejce czekają już kolejne utwory...”.

(Polskie Radio Dwójka, 8 czerwca, godz. 13.40)

*

„...kolejarze ogłaszają kolejny strajk...”.

(Niedawno, doniesienia TV z Francji)

*

Cytat dnia

Małżeństwo

to związek

kobiety i mężczyzn

i takim

pozostanie

Z konta

@ANDRZEJDUDA2020

na Twitterze

(„Gazeta Wyborcza”, 12 czerwca)

*

„...włączona klimatyzacja, żeby zminimalizować do minimum gorąco...”.

„tak gorąco, że nie idzie siedzieć w tym tramwaju...”.

(Wiadomości, TVN, 16 czerwca, godz. 19.25)

*

„Implikować to będzie zapewne inwestowaniem w rozwój i kolejne modyfikacje...”.

(„Lotnictwo”, czerwiec 2020)

*

„Susza z początku lat 80. była jeszcze bardziej ekstremalna...”.

„...innymi słowy – ekstrema zrobiły się nam bardziej ekstremalne”.

(„Gazeta Wyborcza”, 26 czerwca)

*

[Od paru miesięcy (jest pocz. lipca) szerzy się w języku nowy wirus: słowo taki (taka, takie). Zaczyna pełnić funkcję *sui generis* rodzajnika, wypełniacza zdania, dźwiękowej „waty”. Nie mówi się już, przykładowo, „to jest zupełnie nowy pomysł”, tylko: „to jest taka zupełnie...” itd.].

*

„A mi się zdaje, że już było”.

(Wywiad z ambasadorem Izraela w Polsce, „Gazeta Wyborcza”, 4–5 lipca)

*

„Natura świata i relacji społecznych sprawia, że najbardziej optymalnym uporządkowaniem ustroju społecznego jest...” (itd.)

(„Kronos”, nr 1, s. 306)

*

[„coś jest nie tak”; „póki co...”; „zagwozdka”; „zajawka”; „co by nie mówił...” – itd., itd., te szkaradne rusycyzmy są już tak zadomowione u nas, że raczej nie da się ich wykorzenieć. Rozsiewa je, oczywiście, Warszawa.

Ostatnio doszedł do nich jeszcze jeden, wyjątkowo pokraczny – i wyjątkowo dla ludzi mojego pokolenia wstrętny, bo rodem z *epoki stalinowskiej*, mianowicie ZBIORKOM.

Niestety, propaguje go krakowska edycja GW].

(Lato 2020)

*

„...od samego początku jest dedykowany sprawie wolności Tybetu”.

(*Tybetańczycy bez ziemi*, wyd. Wielka Litera, Warszawa 2020, s. 83)

*

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
w dniu 28.10.2020

Ryszard Pałka

Dobry, serdeczny, rodzinny człowiek.

Rodzinie oraz bliskim
składamy wyrazy serdecznego współczucia
Pracownicy firmy RICHMANN

(„Gazeta Wyborcza”, 30 października)

*

„...to najbardziej perfekcyjna z sonat Schuberta...”.
(Polskie Radio Dwójka, 24 listopada, godz. 14.20)

2021

„Jestem przy nadziei, że Piotr Wawrzyk przejdzie przez Senat” – powiedział nam poseł PiS Leonard Krasulski”.

(„Gazeta Wyborcza”, 23–24 stycznia)

*

„...płytę otrzymają może szczęśliwcy i szczęśliwczynie...”.
(Polskie Radio Dwójka, 1 lutego, godz. 8.00)

*

„Każdy gwałtowny zryw bez odpowiedniej kontroli mięśniowej pretenduje nas
do urazów kręgosłupa”.

(Z Kliniki Rehabilitacji w Łasku, „Gazeta Wyborcza”, 5 lutego)

*

„...mówić tylko o świecie najlepszym ze względu na najbardziej optymalny układ
całej relacyjnej sieci”.

(*Ostateczne wyjaśnienia wszechświata*, wyd. Universitas, Kraków 2008, s. 200)

*

„Z uwagi na fakt, że u Pani/Pana poziom częstej absencji chorobowej jest na wy-
sokim poziomie, informujemy, iż w przypadku utrzymania się w dalszym ciągu

takiego stanu rzeczy będziemy zmuszeni podjąć kroki zmierzające do rozwiązania z Panią/Panem umowy o pracę” – napisała z kolei w piśmie do swoich pracowników i pracownic Poczta Polska w lutym br. Otrzymały je osoby wytypowane podczas „analizy absencji chorobowych”.

(„Gazeta Wyborcza”, 5 marca)

*

„...Pinkertona można też zagrać w dwójnasób...”.

(Artystka z Gdańska, Polskie Radio Dwójka, 10 czerwca, godz. 8.12)

*

„Ja nie będę sędzią we własnej osobie”.

(TVN, 28 lipca, godz. 19.10)

*

„Moim marzeniem, jako kuratorki ale i widzki, byłoby zobaczyć...”.

(„Gazeta Wyborcza. Kraków”, 30 lipca)

*

„Jak widać [...], azulejos mogą wyrażać artystyczną ekspresję”.

(Przewodnik po Portugalii, wyd. Berlitz, s. 31)

2022

„Względy osobiste, na które nie miałam wpływu, spowodowały o mojej rezygnacji z funkcji”.

(„Gazeta Wyborcza”, 21 stycznia)

*

„...zacząłem zajmować się ją...”.

(Z wywiadu z malarzem toruńskim NN, Polskie Radio Dwójka, 13 kwietnia, godz. 8.14)

*

„...dwaj główni protagoniści”.

(Audycja muzyczna, Polskie Radio Dwójka, 14 maja, godz. 14.10)

*

„No tak, nie ukrywam, że znaczna część moich naukowych zajawek wynikała z chęci zrozumienia siebie i pomocy sobie. [...] Miałam wtedy zajawkę na rytm dobowy, posty przerywane [...]”.

(„Wysokie Obcasy”, 30 lipca)

[Ta „zajawka” to oczywiście rusycyzm; po rosyjsku znaczy ona „doniesienie”, „powiadomienie” itp. Co znaczy w powyższym kontekście? Pojęcia nie mam. Swoją drogą ciekawe to zjawisko – proliferacja rusycyzmów w ostatnich latach, w pokoleniu nieznającym już rosyjskiego. „Zajawka”; „póki co”; „coś jest nie tak”; „odpuścić”; „ruski biernik” po przeczeniu (typu „ją to nie interesuje” – nagminnie!); „zagwozdka”; „specustawa”; „speckomisja” itd.; nawet taki dziwoląg jak „zbiorkom” (czyli „komunikacja zbiorowa”) i wiele innych... Z czego się to bierze? Niechże nam to wyjaśnią psychologowie – zwłaszcza w aspekcie naszych skomplikowanych relacji z Rosją i rosyjskością...]

*

„Trzecim elementem jest posiadanie przy sobie życzliwej, wspierającej osoby. Może to być coachycya czy psycholożka [...]”.

(„Wysokie Obcasy”, 30 lipca)

*

„Lizbona, nawet oglądana z daleka, jawi się oczom podróżnika, który zbliża się doń od strony morza...”.

(F. Pessoa, *Lizbona. Co futurysta powinien zobaczyć*, wyd. Czytelnik, Warszawa 2001, s. 134)

[...rzecz w tym, iż „doń” to ściągnięta forma „do niego”, a nie „do niej”]

*

„Z tematem zmierzali się i borykają nadal najwybitniejsi historycy z całego świata, a genezy nazistowskiej maszyny poświęcili opasłe tomy przedstawiciele nie tylko nauk humanistycznych i społecznych”.

(„Gazeta Wyborcza”, 8–9 października)

*

„Mama, nurkini i dogoterapeutka”.

(Notka w tomiku *Dużo drobnych*, wyd. Universitas, Kraków 2022)

[jeszcze jeden pokraczny „feminatyw”]

*

„Boks jako sport krańcowo ekstremalny”.

(„Gazeta Wyborcza”, 30 grudnia)

ROBERT PAPIESKI

Dzień i noc

człowiek dnia
jasny ma wzrok
a czoło z alabastru
bo iskry w sobie
przechować nie umie
i zalega w nim mrok

człowiek nocy
z piętnem sinym nad brwią
szuka iskier okiem zaćmionym
gromadzi je w sercu jak skąpiec
i tańczy w nim płomień

każdy służy
światłu
które rzuca
siedem lamp

Siostry

troski słyshę szept
spokój mnie opuszcza
więc czytam
„Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele,
a potrzeba tylko jednego. Maria obrała najlepszą cząstkę,
której nie będzie pozbawiona”

życie upłynie
i ani się obejrzę
a poczuję zimny na karku wiew
i zapytam
co wziąć w nową drogę
wiem
tajemnicy dotykam
bo ktoś Martą jest
by ktoś był Marią
i cała mądrość w tym
by rozpoznać swoje imię

Pewien chiński mędrzec miał ucznia, który ciągle pytał:

– Mistrzu, co mam uczynić, żeby stać się mądrym?

Mistrz milczał. Tak mijały lata, uczeń wciąż był głupi, wciąż pytał i wciąż odpowiedzią była cisza. Aż pewnego dnia mistrz złapał chłopca za kark, zabrał go do pobliskiej rzeki i zanurzył mu głowę w odmętach wody. Uczeń się dusił i próbował wyrwać szyję z żelaznego chwytu. Gdy mistrz poczuł, że ciało chłopca wiotczeje, puścił go i pozwolił wynurzyć się na powierzchnię. Uczeń chciwie oddychał, a mistrz pytał:

– O czym myślałeś, gdy miałeś głowę pod wodą?

– O powietrzu.

– Czego najbardziej pragnąłeś?

– Powietrza.

– Czy chciałeś czegoś innego?

– Nie, pragnąłem tylko powietrza.

– Mądrości tak pragnij.

nigdy tak nie pragnąłem
mądrości
pragnąłem tak
słów
i objął mnie płomień
i rozpostarłem skrzydła
i nie wiem
płonąć mam
wzbić się do lotu
to jest najlepsza cząstka
która nie będzie zabrana
resztę oddam światu

Wzór metafizyczny

złe słowo zmilcz
ręce wznies do góry
pięść wroga przyjm
dłońmi podpierając mury
słabość
pomnożona przez siebie i siebie
siła

JERZY JANICZKO

Spala mnie czerwcowe słońce, rozbuchana
Zieleń liści i traw, rozedrgane powietrze
I bezmiar błękitu na głowę, w której szumnie
Tętni krew, wino i myśli ogarnięte zachwytem

Wchłonąć w siebie żar rozpalonych dróg
Ukojenie pośród zacięzionych placów i bram
Wypić to wszystko do końca, jak ostatni kielich
Przed rozstaniem, które przecież musi nastąpić

Jeśli czeka nas sąd, jak inni nie jestem wolny od lęku,
Boję się bowiem zapomnieć brzemienną kobietę,
Która dziś przeszła obok mnie w lnianej, zwiewnej
Sukience, i swoje pożądanie i czułość na widok jej brzucha

Boję się, że zapomnę ciemny krąg po szklance
Na naszym stole, radość na widok raniuszka,
Drżące ręce dziadka na klawiszach fortepianu
Zapach twoich włosów i spaceru z synem

Boję się tego zapomnieć, jak tyle razy się zdarzyło
Bo wielka jest za to kara, kiedy usta nie wiedzą
Za co, jak wydobyć głos hymnu i dziękczynienia
A swym milczeniem, bądź słowem, bluźnią istnieniu

Nie wyjdę z tej chwili, aby wrócić do innej
Mogę najwyżej utracić ją bezpowrotnie
Nurzając się w ciepłych wodach nostalgii
Której cierpienie tak znane i oswojone

Nie ma powrotu, nie ma samsary, tajemny krąg
Po którym mknie nasze życie to omamy
Linia prosta jak linia czasu, zdąża do
nieskończoności,
osiąga swój cel za cenę podmiotu

Wszystko jest tak podobne, że zdaje się jednakie
Lato sprzed roku, obecne i przyszłe, a nawet
intymne sprawy, przeżywane w zaciszu,
Jakże śmiesznie wyjątkowe, niby karty pamiętnika

Lipa przy grobie mojego dziadka pije jego
Elementarne cząstki, ale nie poznaje go w niej
Nie bardziej niż w innych drzewach, które
Przedstawiał mi wielokrotnie na spacerach

Podstępna iluzjo powrotu, kiedy w ciepłej od słońca
Korze szukam szorstkiego zarostu przodka.
Każdą chwilę wypełnić, ziścić nim zginie –
Gdzie indziej jest tutaj, kiedy indziej jest teraz

Obmywa nas ciepło światła na niewielkiej łące
Lekko kołysze się trawa głaszcząc nagie stopy
Dotknięty pochylam głowę w zapach młodego ciała
Znad skraju lasu dobiega stukanie dzięcioła

Nic więcej, nic ponad, wszechświat obejmuje
W słowa, a on jak pająk zdjęty ze źdźbła
Po chwili bezruchu na dłoni przebiega przez palce
i na niewidocznej nici miękko opada na ziemię

Kto przeżył taką chwilę rodzi się na nowo
I na nowo wciąż powtarza błędy
Zamknięty w istnieniu rozpiętym między kamień
na leśnej ścieżce i gwiazdy jaśniejące w nocy

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąż (10)

2005

Jan Valtin: *Sans patrie ni frontières*. Wydawnictwo Babel, coedition Actes Sud, 1997, osiemset dziewięćdziesiąt trzy strony.

Amerykański bestseller z roku 1941 o tematyce sensacyjno-politycznej niemiecko-żydowskiego autora, byłego agenta GPU i Gestapo Richarda Juliusa Hermanna Krebsa (1905, Niemcy; 1951, USA). Udowodnił amerykańskiej publiczności i autorytetom politycznym, że to Stalin zmusił niemieckich komunistów do bezwzględnej walki z socjaldemokratami (we współpracy z faszystami), co spowodowało absolutne zwycięstwo Hitlera w Niemczech.

Pierwsza edycja w języku angielskim *Out of the Night*, Nowy York 1941. Pierwsze wydanie w języku francuskim w 1948; niemieckie *Tagebuch der Hölle*, 1957.

Oto moje uwagi czytelnicze z dziennika pisanego w marcu 2005 roku po pierwszej lekturze, kiedy nie znałem żadnych dodatkowych informacji o autorze i relacjonowanych wydarzeniach, tylko tyle, ile zawarł on sam w tej fascynującej, autobiograficznej opowieści. Do przetłumaczenia!

Jan Valtin – właściwie Richard Julius Hermann Krebs – niemiecki komunista, członek Kominternu, jeden z głównych organizatorów ruchu komunistycznego w Niemczech oraz na świecie, szczególnie w dziedzinie przemysłu okrętowego i morskiego, działający w tak zwanej sekcji morskiej w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku. W 1933 roku schwytany przez Gestapo, po trzech latach tortur w więzieniu podejmuje grę z hitlerowskimi służbami. Dostaje zadanie ujawnienia komórek zdelegalizowanej niemieckiej partii komunistycznej, sieci Kominternu w Kopenhadze (to właśnie kopenhaskie biuro wysłało go z samobójczą misją powrotną do III Rzeszy). Informuje swoich towarzyszy o swojej od niedawna podwójnej roli agenta, jego żona jest w tym czasie aresztowana wraz z synkiem, szefowie jednak nie pozwalają na żadną akcję, mającą na celu

uratowanie najbliższych. Zostaje oskarżony w 1937 roku o poglądy antystalinowskie, uwięziony z wyrokiem zsyłki do Związku Sowieckiego na definitywne rozstrzygnięcie sprawy – wymyka się z uwięzienia, podpalając dom nad brzegiem Bałtyku, w którym czekał na sowiecki statek. Dzięki zwykłym towarzyszom ucieka z Danii przez Francję do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej (1938). GPU publikuje jego zdjęcie na całym świecie jako agenta służb Gestapo, które w ten sposób dowiaduje się, że się zdekonspirował, żona ponownie wysłana zostaje do obozu koncentracyjnego, gdzie umiera.

To jest autobiografia ideowego „awanturnika”, zwłaszcza w pierwszej części, kiedy jako dwudziestolatek pokonywał na statkach morza i oceany, aby głosić w portach komunistyczną ewangelię Związku Sowieckiego, idealną ojczyznę proletariatu. Karny, zdyscyplinowany, niesłuchanie skuteczny, wręcz fanatyczny bojownik światowej rewolucji, który po latach stopniowo zaczyna przyswajać sobie krytyczne myślenie o Stalinie, Kominternie, władzy GPU. Z drugiej części wspomnień jasno wynika, że gdyby niemieccy komuniści współpracowali (mogli współpracować) z socjaldemokratami (a tych było naprawdę dużo), to NSDAP przegrałoby wybory, co by zmieniło postać świata tego... Moskwa (Komintern, czyli Międzynarodówka Komunistyczna założona jeszcze przez Lenina, a pilnie rozwijana przez Stalina) nakazywała jednak walczyć wszelkimi sposobami z wrogą komunistyczno-bolszewickiej rewolucji socjaldemokracją. I tak komuniści razem ramię w ramię z faszystami przeprowadzali na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych strajki, walki, bunty wymierzone w Republikę Weimarską – odrzucając przez te dwie wywrotowe, brunatne i czerwone siły partyjne, negujące powojenny porządek w kraju i Europie.

Co łączyło (z punktu widzenia taktycznego, bo strategicznie się nienawidziły) te dwa totalitarne radykalizmy, których policje polityczne, jak Gestapo, GPU, współpracowały taktycznie ze sobą:

1. wiara i doktryna ideologiczna, nowoczesna propaganda oparta na kłamstwie, jednolitym światopoglądzie („wierze”), nowoczesnych środkach przekazu (film, radio, edukacja, presja psychologiczna i manipulacja nastrojami społecznymi), fałszowanie historii i aktualnych faktów, totalny terror, nihilizm rewolucyjny „pozytywnie” tłumaczący radykalne cele, postawy, działania jako wynikające z obranej, słusznej drogi „postępu”; nieustanna ingerencja w całość doświadczeń życiowych ludzi, wspólnot: przejęcie nad nimi kontroli;

2. bezwzględne dążenie do władzy nad światem w imię „wybranej klasy, rasy, narodu, misji” (świecki Kościół);

3. ideologie barbarzyństwa nowoczesnej cywilizacji oparte na „naukowych” dowodach biologiczno-społecznych, a nawet filozoficznych (biologizm, determinizm, teologizm polityczny: bogiem jest wybrany naród, klasa i jej reprezentacja, czyli „święta” Partia i jej wszechmocny Wódz (na wzór Kościoła-mafii-sekty);

4. prezentowanie się obu ideologii jako najlepsze dla najlepszych: raj dla nasyżonych – wybranych, apokalipsa dla wrogów – potępionych; kształtowanie pogardy i uprawianie przemocy wobec odrzuconych, niewierzących, nieprzyjaciół, w tym zdrajców i odszczepieńców „świętej sprawy” (likwidacja kozłów ofiarnych);

5. mocne podstawy doświadczenia gnostycznego (fascynacja złem); kult prymitywnych instynktów człowieka, rekompensata za prawdziwe lub urojone „nieszczęścia” (zemsta); pozwolenie na zło, zabijanie, demonizacja stosunków międzyludzkich.

Jedyna różnica polegała na tym, że hitlerowski faszyzm nie krył się z nienawiścią do wroga, do obcych, do złych, gorszych ludzi, społeczeństw, narodów; określał zdecydowanie cele swojego podboju i walki, a komunizm posługiwał się kłamstwem, nowomową, sloganami humanitarnymi, zamieniając znaczenia pojęć i wartości, oszukując, ukrywając tyranie jednego światopoglądu, jedynej partii, zredukowanej mentalności, ukrywając w totalnej propagandzie nienawiść, kłamstwo, agresję... (diabelski kult kłamstwa).

Totalna wojna Zła ze Złem, III Rzeszy ze Związkiem Sowieckim musiała koniec końców wybuchnąć prędzej czy później, krańcowości się zbliżają, znoszą, upodobniają, nienawidząc w rywalizacji apokaliptycznych spełnień: wojna domowa łże-religijnych totalitaryzmów stała się nieuchronna. Komintern, można chyba zaryzykować taką opinię, swoimi mackami oblepił cały świat od Hiszpanii i USA po Chiny (jak oceniać obecnie *Dolę człowieczą* Malraux?). Lata chaosu, zamętu ideologicznego, wrzenia społecznego, płonąca epoka przejściowa między pierwszą a drugą wojną światową. No i Polska, która stanęła na drodze rewolucji światowego proletariatu! Gdyby przegrała wojnę w 1919–1920, to jako sowiecka republika po referendum (mając ok. 100 tys. km² wokół Warszawy) zostałaby przyjęta w skład szlachtetnego ZSRS, a komunistyczne Niemcy oparłyby się na Wiśle i Narwi.

Jan Valtin (Krebs) stracił wiarę w „Sprawę”, a na pewno w Stalina. Stracił wiarę w światową rewolucję czy w ogóle w proletariacką rewolucję kierowaną z Moskwy? Gdyby taką rewolucję przeprowadzili Niemcy, byłaby to inna rewolucja? Lepsza, mniej krwawa? Przeprowadzili natomiast brunatną, i tak krwawą, czerwona od krwi. Czy na decyzję o odejściu od wiary wpłynęło aresztowanie, gestapowskie złe traktowanie i dobre zachęcanie, lęk o żonę i synka? Przez tyle lat

wysyłał do sowieckiej Rosji „niepewnych ideowo towarzyszy”, zanim sam stał się niepewny. Brał udział w wielkiej historii, w zmaganiach dwóch totalitaryzmów, społecznych ruchów masowych, aż sam wpadł w piekielne żarna, które go fascynowały, którymi sam obracał, zanim został starty, chociaż nie do końca przecież. Przetrwał, ale jakim kosztem? Nie do końca wypaliła się w nim energia rewolucyjna. Jego „awanturnicze świadectwo” świadczy o jego potężnej i niepokornej indywidualności i należy do świadectw podwójnej (albo i potrójnej) tożsamości bardziej znanych od niego agentów komunistycznych, którzy przejrzeni na oczy z takich samych lub innych powodów: od ślepej wiary, karność, doktrynerstwa, stalowej walki „z kapitalistycznym złem”, od nienawiści do wrogów komunizmu do utraty wiary, odrzucenia otumanienia, kłamstwa, do buntu, ucieczki, niezgody. Valtin poświęcił religii proletariackiej wszystko, nawet życie żony i syna. Wyniósł z tej opresji swoje ciało, swój znękany mózg, no i... nietkniętą (czy sprawiedliwą, pełną, niesfingowaną?) pamięć, czyli to niezwykle świadectwo, oskarżenie (ale chyba nie samooskarżenie?). Tragiczny i zawiniony los. Wojna oprawców z oprawcami, a cierpiała cała ludzkość. Czy jeszcze wrócą te bliźniacze ideologie absolutnego zła, jedna przebrana za uniwersalne dobro w imię krzywdzonej przez imperializm proletariackiej części ludzkości, a druga przebrana za rasowo-narodowe dobro w imię krzywdzonego, poniżonego, a najlepszego narodu? Zresztą nazwa partii-kierunku polityczno-społecznego streszczona w określeniu „narodowy socjalizm” chyba celnie wyjaśnia ten diabelski splot zbrodniczych Rosji i Niemiec.

2022

Uzupełniam biogram i aferę Valtina-Krebsa dzięki lekturze opublikowanego w prasie francuskiej kilka lat temu artykułu Guillaume’a Bourgeois:

Po ukazaniu się w Ameryce w 1941 roku książki, uznanej za bestsellero-we świadectwo, pojawiły się (głównie w komunistycznej prasie „Daily Worker”) oskarżenia o oszustwo, że to fikcja, zresztą napisana przez „antykomunistycznych najemników-pismaków”, że autor jest agentem Gestapo, że kiedy za pierwszym razem przebywał w Stanach Zjednoczonych to zamordował w 1926 amerykańskiego Żyda i siedział w więzieniu (prawda była bardziej skomplikowana, ale faktycznie spędził w więzieniu trzy lata i został deportowany bez prawa powrotu), że książka ta została napisana na zamówienie przez trockistów, wrogów Stalina i ZSRS, a sam Valtin/Krebs nie ma prawa pobytu i jest antysemitą. Zresztą wybuchła wojna pomiędzy III Rzeszą a Związkiem Sowieckim, co spowodowało dalszą zmianę optyki w ocenie nie tylko tej publikacji, przynajmniej w kręgu lewicującej

elity intelektualistów. Autor systematycznie był niszczone przez agentów wpływu; Hollywood wycofało się z kręcenia filmu na podstawie brawurowo opisanych wydarzeń. Wreszcie posadzono Valtina do więzienia za agenturalność, ale wkrótce uniewinniono z zarzutów („na słowo honoru”), w sierpniu 1943 roku wstąpił do armii, walczył na Filipinach (napisał o tym mocną książkę), ożenił się powtórnie, w 1947 otrzymał obywatelstwo amerykańskie.

Publikacja wspomnień we Francji wzbudziła w środowisku byłych niemieckich działaczy komunistycznych kolejną krytykę i oskarżenia o gestapowską agenturalność czy brzydkie postępy wobec bliskich mu ideowo ludzi. W odzyskanych dokumentach Gestapo, które trafiły do Moskwy, nie ma stuprocentowej pewności, czy został agentem dlatego, że „zdradził”, czy że „grał na dwa fronty”. Ustalono jednakże, że raczej było to ratowanie życia i szczere zerwanie kontaktów z Gestapo z podjęciem natychmiastowej decyzji, żeby w 1938 roku o tym jak najszybciej poinformować komunistycznych towarzyszy.

Jak się po latach okazało, Valtin sam napisał swoje świadectwo życia, nakłaniany przez urodzonych w Rosji dwóch amerykańskich Żydów (byłych mienszevików), Lyonsa i Levine’a, w tym głównie przez tego drugiego, który zaprosił go do siebie do Norwalk, zmusił do skutecznego pisania, a sam zajął się pilnie redagowaniem i korektą powstającego dzieła. Wiele lat po śmierci autora w otwartych archiwach brytyjskiego wywiadu odkryto liczne strony poświęcone „rewolucyjnym” pobytom Krebsa/Valtina w Anglii jako działacza robotniczej międzynarodówki morskiej. Okazało się, że autor nie fantazjował (o co go też oskarżano), że opisy jego pobytów, zamierzonych działań są wiarygodne i potwierdzone w tych dokumentach.

Tak więc to pozostawione czytelnikom fascynujące świadectwo „robienia rewolucji na świecie” to nie była zwykła „fikcja autobiograficzna” (teza prof. Johna Fleminga z Princeton), jak niektórzy długo utrzymywali, lecz autentyczne i prawdziwe wyznanie kłopotliwego dla dwudziestowiecznych ideologii uczestnika, którego może ponosiła czasami narracja, ale nie kłamstwo.

STEFAN CHWIN

Dziennik 2023

Sobota, godz. 19.31. To przecież musi coś znaczyć!

Na kolacji, na którą do domu na Ujeścisku zaprosiliśmy w minioną sobotę paru naszych znajomych i przyjaciół, zdarzyła się rzecz dziwna, o której najpierw zapomniałem, ale potem zacząłem do niej, nie wiedzieć czemu, powracać, jak by miała jakieś specjalne znaczenie. Znalazła się wśród zaproszonych Emilia S., nasza dobra znajoma z Moreny, która niedawno zrobiła habilitację z biochemii na Uniwersytecie Jagiellońskim – ładna, postawna brunetka, z włosami związanymi w węzeł na czubku głowy, w czerwonej wełnianej sukience zapiętej pod szyją, ze szmaragdową bransoletką na przegubie – która po jakimś czasie, kiedy dania, przygotowane pięknie przez K., zaczęły znikać z naszego stołu nakrytego węgierskim obrusem, a rozmowy po wcześniejszych wybuchach beztróskiego śmiechu nabrały nieco poważniejszego brzmienia, opowiedziała nam o tym, co się jej przydarzyło ostatnio.

– Moja matka umarła w zeszłym roku – Emilia S. na moment zawiesiła głos – w Wielki Piątek, dokładnie o godzinie trzeciej po południu, kiedy Jezus umarł na krzyżu. – Cóż, popatrzyliśmy na nią raczej bez zdziwienia, chociaż wyraźnie czekała na jakąś bardziej zdecydowaną reakcję, bo – tak sobie pewnie pomyśleliśmy wszyscy – w końcu ludzie umierają w różnych porach dnia i nocy, trudno się więc dopatrywać czegoś naprawdę dziwnego w tym, że ktoś umiera akurat w piątek o godzinie trzeciej po południu, nawet jeśli jest to sam Wielki Piątek. Śmierć, jak wiadomo, nie bawi się w omijanie dni uroczystych i świętych, bo – by osiągnąć swoje egoistyczne cele – i w takie dni potrafi uderzać równie mocno i celnie jak w dni najzupełniej powszednie. Znaliliśmy ludzi, którzy potrafili umrzeć dokładnie w wigilijny wieczór, gdy pierwsza gwiazdka zapalała się na grudniowym niebie nad Polską, albo rano o samym świcie w pierwszy dzień Wielkanocy, wprawiając całą rodzinę w konsternację, bo – przynajmniej – trudno uznać takie zachowanie kogokolwiek za rozsądne czy eleganckie.

– ...moja matka umarła w zeszłym roku, ale – kontynuowała Emilia S. Na chwilę wstrzymała oddech – dokładnie o trzeciej po południu w Wielki Piątek w tym roku umarł mój ojciec... – Patrząc na nią, czekaliśmy na dalszy ciąg opowieści, już jakby przeczuwając, co będzie dalej. – Ale to wszystko nic – Emilia S. pokręciła głową – bo najważniejsze zdarzyło się całkiem niedawno, jakieś dwa tygodnie temu, kiedy pojechałam do mojej rodziny w Białej Podlaskiej. Mój dziadek, który tam mieszka, przypomniał mi, że parę lat temu dokładnie w Wielki Piątek o godzinie trzeciej po południu umarła moja babcia – czyli matka mojej matki. – Emilia S. popatrzyła na nas uważnie, jakby sondowała nasze reakcje. – Przecież to wszystko musi coś znaczyć, prawda?

Musi? – Rzeczywiście, wygląda to trochę dziwnie – powiedział Janusz R., spokojny, dobrze ułożony matematyk, którego poznaliśmy u Arkadiusza S., gdy w zeszłym miesiącu byliśmy na urodzinach Janiny w ich domu w Kamiennym Potoku, podobno wybitny gość od jakiegoś rachunku różniczkowego, całkowego czy czegoś w tym rodzaju. – Ale nie przesadzajmy – Janusz R. wzruszył ramionami bez żadnej ostentacji, żeby nikogo nie urazić zbyt pochopnym gestem – takie przypadkowe regularności zdarzają się na świecie. Poza tym, jeśliby to miało coś znaczyć, to właściwie co? – Nie wiem – Emilia poprawiła włosy, spokojnym, miękkim ruchem uniesionej dłoni – Może to nic nie znaczy, ale ta powtarzalność, wie pan, jest jednak jakaś... – Myśli pani, że celowa? – Janusz R. przyglądał się jej uważnie, ale tak, by nie popsuć dobrego nastroju chwili. – Nie wiem, celowa, to może za mocno powiedziane, ale to wszystko jest raczej dziwne, przyzna pan... Dziadek mi powiedział jeszcze – Emilia S. po chwili dotknęła palcami czoła, jakby chciała pomóc swojej pamięci – że tak to już jest w naszej rodzinie, że ja, Emilia, też umrę w Wielki Piątek.

– No, wie pani – Janusz R. wstrząsnął głową na te słowa, które do niego dotarły dopiero po chwili – lepiej sobie dać spokój z takimi przewidywaniami. Po wiem tak. My, ludzie, czy chcemy tego, czy nie, jesteśmy niepoprawnymi istotami, które nader chętnie lubią zmieniać Przypadek w Los. Taka już jest nasza uparta skłonność, co się wzięła nie wiadomo skąd, ale trzyma nas mocno w garści i to jak jeszcze. Ludzie zawsze reagują z niepokojem na wszelkie zjawiska seryjne, chociaż – jako matematyk – mogę panią zapewnić, że przypadek – ten głupi, nieprzytomny przypadek, o którym zwykle myślimy z lekceważeniem – potrafi działać seryjnie. Nasz ludzki umysł broni się jednak zaciekle przed przyjęciem do wiadomości prostego faktu, że w realnym świecie zdarzają się naprawdę trudne do wyobrażenia czyste zbiegi okoliczności, których niczym nie da się wytłumaczyć. Tak, to dla naszego umysłu piekielnie trudna sprawa: uwierzyć, że naprawdę światem,

a przynajmniej wieloma zdarzeniami, w których uczestniczymy, rzeczywiście rządzi po prostu przypadek i nic więcej. – Możliwe – upierała się Emilia, ale już bez wcześniejszej stanowczości. – Ja mówię sobie, że cóż, zdarzają się takie przypadki, ale gdzieś tam, w tyle głowy, wciąż powraca myśl, że to jednak musi coś znaczyć... że to nawet może coś ważnego zapowiada, czy coś w tym rodzaju... – Byłbym ostrożniejszy – Janusz R. nalał sobie wina do kieliszka. – Sam bym się w tym nie dopatrywał niczego specjalnego, chociaż rozumiem panią – mam na myśli pani niepokój. I wcale się nie dziwię. To przecież najzupełniej normalne. Chcemy znać przyszłość, więc chwytamy się, czego się da, żeby znaleźć jakieś potwierdzenie, rozsądną wskazówkę czy zły znak, który da nam odpowiedź na podstawowe pytania, z którymi nie umiemy sobie poradzić. Ale to wszystko jest, jakby to powiedzieć...

Dziwna nie była dla mnie sama opowieść Emilii S., bo nie takie już opowieści w życiu słyszałem, tylko to, co się stało dalej na naszej kolacji. Otóż prawie wszyscy mieli do opowiedzenia podobne historie. I we wszystkich tych historiach, które zaczęliśmy sobie opowiadać, chodziło o dziwne regularności zdarzeń, które chwilami kwitowaliśmy stanowczym śmiechem, jakbyśmy chcieli samych siebie przekonać, że kto opowiada coś w tym rodzaju, powinien się od razu asekurować, że nie do końca w to wierzy, żeby, broń Boże, nie wydać się komuś i samemu sobie po prostu śmiesznym. Każdy wiedział, że lepiej uważać, co się mówi, bo jak się powie coś głupiego, to się potem trudno wycofać... Ale – co nie trudno było spostrzec – zawsze to była asekuracja jakby nie do końca, asekuracja jakby w lekkim zawieszeniu, bokiem otwierająca w nas jakiś inny, chwiejny wymiar uczuć, o którym nie chcieliśmy myśleć, chociaż byliśmy po doktoratach, a nawet habilitacjach.

Jakub, dyrektor miejskiej biblioteki, opowiedział, co mu się przytrafiło, kiedy pojechał do benedyktyńskiego klasztoru w Tyńcu na tydzień rozmyślań, gdzie go zakwaterowano w klasztornej celi, w której stał nieczynny zegar w czarnej dębowej szafie ze złoconą tarczą, martwy i głuchy. Otóż trzy dni z rzędu ten zegar, wyglądający na kompletną ruinę, budził go w środku nocy, jednym uderzeniem wybijając godzinę, chociaż stare wahadło z żelazną kulą, zawieszony pod tarczą, nawet nie drgnęło. Zresztą zegar uderzał niezupełnie o samej północy, ale kiedy uderzał, to potem znowu zamierał na całą dobę. Były też historie o niespodziewanym spotykaniu tej samej osoby – i to kilka razy z rzędu – w tym samym miejscu oraz w tym samym czasie. Marlina W., która niedawno wróciła z Francji, gdzie jest nauczycielką pływania na basenie, mówiła, że co jakiś czas z dziwną regularnością koło trzeciej po południu widzi w oknie domu naprzeciwko – starej kamienicy przy rue de Montfort – jakąś kobietę, która podchodzi do szyby i jest bardzo

podobna do jej zmarłej matki. Zbyszek M. wyznał, że kiedy wyjeżdżał z garażu, śpiesząc się na uniwersytet, przez parę dni co rano przed maską jego srebrnego audi przebiegał czarny kot, który wyskakiwał z zarośli po lewej stronie podjazdu i znikał po prawej... Agnieszka J. dodała, że kiedy w hotelu asytenckim na Polankach pracowała nad doktoratem, parę dni z rzędu światło w żarówce stołowej lampy, przy której siedziała, przygasalo na parę chwil dokładnie o godzinie 22.33...

Byłem poza tym wszystkim, bo żarliwe podejrzenia, nadające znaczenie przypadkowym okolicznościom życia, wydawały mi się mocno naciągane. W końcu szkoda na to mojego czasu – tak sobie postawiłem sprawę. Ale potem nadszedł początek stycznia i się zaczęło. Za pierwszym razem machnąłem ręką. Po prostu dwa razy z rzędu uciekł mi z przystanka autobus i to w identycznych okolicznościach. Przypadkiem wychodziłem z domu o jakiejś tam godzinie i kiedy byłem już niedaleko, autobus, który nadjechał ulicą Rakocznego od strony Emaus, do którego miałem jeszcze jakieś dwadzieścia kroków, odjeżdżał, zostawiając za sobą smugę benzynowego aromatu. Nie sądzę, żeby to była złośliwość kierowców. Byłem zbyt daleko, by widzieli, jak nadbiegam od strony bloku.

Najpierw powtórzyło się to pięć razy. Wzruszałem ramionami, ale potem, kiedy tylko zbliżałem się do przystanka, zacząłem mieć dziwne poczucie, że to się musi znowu zdarzyć. I, niestety, zdarzało się. Autobusy uciekały mi na różnych przystankach w różnych punktach miasta. Po kolei. Piętnaście razy z rzędu. I zawsze w takich samych okolicznościach. Nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Jakby się powtarzała jedna i ta sama męcząca scena z jakiegoś mrocznego filmu z lat czterdziestych. Biegnę, już mam tylko dwadzieścia kroków do przystanka, przyspieszam i znowu to samo... Sen jakiś czy co?

No, przecież gdyby to się zdarzyło dwa razy, trzy razy, no – niech będzie – pięć razy – ale piętnaście?! Dajcie spokój! Coś mi chciało w ten sposób coś zakomunikować, korzystając z pomalowanych na czerwono pojazdów miejskiej komunikacji zamiast z dużo bardziej wyrafinowanych, sugestywnych i pełnych powagi symboli, jak choćby kolorowe karty tarota, które właściwie nie dziwią nikogo? Przeklęte prawo serii! No, nie, przecież to musiało coś znaczyć, przecież to musiało coś znaczyć, prawda?

Sobota, 17.17. Wodny materac nakrapiany gwiazdami

Koło dziesiątej znowu zadzwoniła do nas nasza dobra znajoma, Agnieszka S., z dziwną, gorącą opowieścią o tym, co ostatnio wyprawia jej mąż, starszy już gość, malarz i rzeźbiarz, lat siedemdziesiąt, który mieszka z nią na poddaszu

przy ulicy Świętego Ducha i ma swoją pracownię na parterze w samym śródmieściu Gdańska. Otóż on, ni mniej, ni więcej, głądzi jej w kółko, że codziennie przed zaśnięciem modli się (niby do kogo?!), żeby się nie obudzić następnego dnia. Po prostu – umęczony, wiecznie senny, obolały – chce już umrzeć i martwi się tylko, że razem z Agnieszką nie załatwili sobie jeszcze grobu w jakimś „dobrym miejscu” na cmentarzu Srebrzysko, gdzie – jak zapewnia z ironicznym uśmiechem – wygodnie się spoczywa pod klonami i brzozaami. Ba, jęczy, że wciąż nie opracował projektu granitowej płyty ze stosownym napisem i ornamentem, którą mają go nakryć po śmierci, jakby to miało jakieś znaczenie. Chryste Panie, dzielna ta Agnieszka, że jeszcze od tego wszystkiego nie zwariowała.

– Co ty o tym myślisz? – pyta mnie moja K., odkładając słuchawkę telefonu. – On ciągle jej powtarza, że już nie chce żyć, że ma już dosyć życia, że już – nawet krzyczy – wystarczy, wystarczy, wystarczy! Kładzie się na łóżku w swoim pokoju, zasłania oczy dłonią i leżąc na wznak stara się zasnąć – jak mówi – na wieki! Ale powtarzać w kółko takie rzeczy przy własnej żonie? I to tyle razy? Kto to widział? Jak sądzisz, czy ona nie powinna go po prostu wziąć za twarz i zaciągnąć do jakiegoś dobrego psychiatry? A wszystko to podobno przez to, że on dość głupio przewrwał branie leku na nadciśnienie i stąd te jego migdałowe nastroje. On wciąż powtarza, że ma dosyć życia, że już nie wytrzymuje, że wszystko go drażni, że czuje się tak, jakby w zetknięciu ze światem swędziała go cała skóra. – Co cię właściwie tak drażni? – pyta go Agnieszka, która przyznaje, że już nie może tego dłużej słuchać. – Wszystko! – krzyczy do niej mąż. – Rozumiesz? Wszystko! Każda rzecz, którą widzę i słyszę, każdy widok, każdy dźwięk, wszystko mnie doprowadza do białej gorączki. – To nienormalne. Powinieneś się leczyć – mówi spokojnie Agnieszka, która wie, że musi mocno stać na ziemi, bo jeśli nie ona, to kto może utrzymać wszystko w garści. – Leczyć się? W moim wieku? – odpowiada gniewnie mąż. – Ja chcę tylko jednego, żeby to wszystko już się wreszcie skończyło. Mam dosyć, a to się ciągnie i ciągnie jak ta lepka smoła przyklejona do palców. Codziennie wieczór modłę się, żeby się nie obudzić następnego dnia rano.

– To już mnie nie kochasz? – pyta go Agnieszka najzupełniej sensownie, bo taki wniosek można rzeczywiście wyprowadzić z takiego gadania. – A dajże spokój! – odkrzykuje mąż. – Co ma jedno do drugiego? – Jak to co? – dziwi się Agnieszka. – Gdybyś mnie kochał, to byś tak nie mówił. – Jezus, Maria. – Mąż chwyta się za głowę. – Czy ty naprawdę nie potrafisz myśleć o niczym innym?! Kocha, nie kocha! Też coś! Po prostu czuję, że moje wewnętrzne baterie się wypaliły, rozumiesz? Wy-pa-li-ły! Żyję jak ta martwa kłoda drewna. Wszystko mnie męczy. Bola mnie

stawy biodrowe i kolana. Ledwie wchodzę po schodach. Wszystko mnie drażni. Ja chcę tylko jednego. Żeby to wszystko wreszcie się skończyło, do cholery!

– No i co o tym myślisz? – pyta mnie K. – Co ja myślę? – zastanawiam się przez chwilę, po czym mówię tak: – Wygląda na to, że on wpadł na pomysł, jak uwolnić się od strachu przed podłą śmiercią, która dobiera się do nas ze wszystkich stron. Przecież on domaga się, żeby śmierć przyszła do niego, ot tak, na zawołanie, a tu śmierć przywołana – na przekór jego staraniom – wcale nie przychodzi! On ją przywołuje, wzywa, a ona ma go gdzieś. Wcale nie chce przyjść. Sprytnie się urządził! Pewnie sobie pomyślał, że ona dopada głównie takich, co to przed nią panicznie uciekają? A jak ktoś jest na tyle bezczelny, że wcale przed nią nie ucieka, wcale się przed nią nie broni, tylko – przeciwnie – przywołuje ją do nogi jak psa i ręce otwarte do niej wyciąga jak spragniony kochanek, to ona mu robi na złość i wcale do niego nie chce przyjść? Taki przebiegły? Taki sprytny? Znalazł sposób na covid? Im bardziej prosi, tym bardziej ma pewność, że ona nie przyjdzie?

– No, nie wiem... – K. kręci głową, bo chyba nie za bardzo przekonał ją mój wywód, z lekka zaplątany. – Ja myślę, że to chyba coś dużo poważniejszego. – Niby co? – patrzę na nią z leciutkim zniecierpliwieniem. – Bo wiesz – mówi K. – może to jest tak, że w jakiejś chwili stary człowiek mocno czuje, że rzeczywiście żyje za długo? Że po prostu przesadził? Że już przekroczył jakąś czerwoną kreskę, którą przekracza się w życiu tylko jeden raz i teraz żyje jak ten żywy trup, jedną nogą na Ziemi, z drugą już w grobie? Ja myślę, że my zupełnie nie wiemy, kiedy tak naprawdę umieramy. Zupełnie nie mamy pojęcia, kiedy naprawdę zaczyna się nasza śmierć. Jak tylko pomyślimy sobie o niej, to sobie od razu mechanicznie przypominamy jakieś sceny z sentymentalnych filmów – ostatni oddech, nieruchomienie oczu, ustawianie bicia serca, tymczasem w rzeczywistości wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Wczoraj Agnieszka opowiedziała nam, jak oni razem z mężem spędzili niedawną Wielkanoc. Po uroczystym śniadaniu z dzieleniem się jajkiem z chrzanem pojechali nad morze, do Nowego Portu i poszli sobie promenadą na plażę. Na plaży tłum, a prawie wszyscy bez żadnych antycovidowych maseczek. Jeszcze by czego! Siedzą grupkami na piasku, śmieją się, piją piwo z puszek, palą ogniska, pieką kiełbaski. Głównie młodzi. Dziewczyny boso, w dziurawych dżinsach, w kolorowych bluzkach, chociaż ciepło wcale nie było, bo na wydmowych wiklinach jeszcze ani jednego zielonego listka, a wiaterek lodowaty ciągnie od wody. Agnieszka i mąż ruszyli brzegiem morza z plaży w Brzeźnie w stronę Jelitkowa. Idą tak, idą i coś tam mówią, ale tak jakby w ogóle milczeli. Potem, gdzieś na wysokości mola w Brzeźnie, rozdzielili się. Mąż poszedł do przodu. Jakieś dwieście

metrów za nim Agnieszka. Mąż idzie dużymi krokami brzegiem morza w białej maseczce i głośno gada do siebie, wymachując rękami, sadząc długie, wielgachne kroki, co głęboki ślad w mokrym piasku zostawiają. Płaszcz mu wiatr od morza rozwiewa. Szalikiem czerwonym szarpie. I tak idą sobie jakąś godzinę w stronę Jelitkowa. Agnieszka w swoim brązowo-niebieskim poncho, przed nią dwieście metrów mąż, w czarnym, długim płaszczu, w czarnym berecie, nasadzonym na ucho i bez przerwy głośno coś gada do siebie, tocząc jakiś zażarty spór, nie wiadomo o co i nie wiadomo z kim. – Czy możesz nie gadać tak do siebie? – woła Agnieszka, dobiegając do męża nad samym brzegiem morza, przekrzykując fale, które moczą nadbrzeżny piach ciemną smugą. – Ja już nie mogę tego słuchać. – A co ci to przeszkadza? – odkrzykuje mąż, wzburzony, wielki, z nastroszoną siwą brodą, z rozwianymi włosami, nawet się na nią nie oglądając, macha olbrzymią prawą dłonią we włochatej rękawicy. – Czy ja ci bronię? – podnosi głos, aż mewy zrywają się z niedalekich fal, na których się kołysały, czekając na okruchy chleba rzucające przez spacerowiczów. – Ja gadam? No, to co? Ty też możesz gadać do siebie, tak jak ja, ile chcesz. Ja ci nie bronię. Proszę bardzo. Ja jestem tolerancyjny.

– Ty mi powiedz – Agnieszka powiedziała wczoraj do K. – co się z nami właściwie dzieje? Niby idziemy razem brzegiem morza, a każde jakby zupełnie z osobna. Co to wszystko znaczy? A potem, kiedy wsiadamy do samochodu i wracamy do domu, to cały czas się kłócimy. O co? A o to, że nie zwracamy na siebie żadnej uwagi, chociaż przecież jesteśmy razem. Auto jedzie, długie chwile milczenia się ciągną i nic. Powiedz, czy to nie jest prawdziwy dom wariatów?

Wczoraj mąż powiedział do Agnieszki. – Rozumiesz? Ja się urodziłem do twórczego życia w zupełnej samotności, a nie wiadomo po co założyłem rodzinę i miałem dzieci. Po co mi to było? Ja tak naprawdę to potrafię rozmawiać tylko z samym sobą, rozumiesz? I to mi zupełnie wystarcza. Tak jak wielki Szekspir rozmawiał z samym sobą ustami wrednego Ryszarda III a Beckett ustami żebraków, których zebrał prosto z ulicy i wepchnął do swojego dramatu. Bo on, pisząc te swoje wariackie dramaty o jakimś, za przeproszeniem, Godocie, gadał do samego siebie. Do nikogo innego! Innych miał gdzieś! Tylko do samego siebie! Z samym sobą jakieś dziwne monologi, rozpisane na głosy, prowadził, za które mu potem głupi świat płacił dolarami. A ja? Przez całe życie żyłem życiem nieprawdziwym. O, moje nieprawdziwe życie! Chciałem zamieszkać na zawsze w jakimś niewidzialnym bunkrze, który sobie własnym staraniem budowałem przez całe lata, ale życie mnie z niego cały czas wyganiało. Żeby zarobić na utrzymanie, musiałem leżeć między ludźmi. Inaczej się nie dało. A teraz mam siedemdziesiąt lat i nic mnie już nie cieszy. Ani ludzie, ani rzeczy. Rozumiesz, co to znaczy? Żyję tak, jakbym na

śniadanie, obiad i kolację jadł chleb z kruszącą się tektury. Wszystko wyprowadza mnie z równowagi. Dosłownie wszystko. Każdy najmniejszy dźwięk, każdy krzyk, każdy szmer, każde słowo, które do mnie dociera. Mam już tego wszystkiego powyżej uszu. Zасыpiając, układam się w łóżku niczym w wygodnym, kołyskowym grobie Etrusków, licząc, że wreszcie przyjdzie wieczny sen, z którego – jak chcę wierzyć – nie obudzę się następnego dnia. Czego pragnę? Tylko zupełnej ciszy, moja droga. Żadnych bodźców. Zupelnej, ciepłej ciemności porządnego, wygodnego grobu. Chcę, tylko tego, niczego więcej, rozumiesz?

Oj, biedna ta Agnieszka. Ciekawe, jak sobie poradzi z mężem, który żyje w stanie kompletnego odlotu na cieniutkiej jak włos granicy między życiem a śmiercią, i jeszcze na dodatek wygraża co jakiś czas Kościołowi za – jak to wykrzykuje z wielką mocą – kłamstwa o jakimś „tamym świecie”, którego zupełnie nie ma, bo najpewniej pragnie, by tego świata zupełnie nie było. Dziwny człowiek. Naprawdę nie boi się śmierci, a nawet mocno jej pragnie, by – jak się czasem malowniczo wyraża – spocząć na zawsze w miękkiej nicości, zupełnie przeźroczystej, mięciutkiej i przytulnej jak królicze futerko, w której – taką ma nadzieję – zaśnie snem kamiennym na wieki, bo – jak chce wierzyć – ta nicość, do której tęskni jak do czułej matki, przychylna i dobra, przyjmie go chętnie, delikatnie układając jego zmęczone życiem, strute zmartwieniami, sfatygowane ciało na czarnym, wodnym materacu śmierci, nakrapianym drobnymi konstelacjami roziskrzonych gwiazd i czule otuli mu głowę na zawsze ciemnością dobrą jak leśny mech z lasu pod Kartuzami. I choćby nawet bardzo się starała, nie starga go, lecz oczywiście uwydatni.

Piątek, godz. 15.21.

Rozmowa dwojga polskich inteligentów w ciemności

Kwirynę Z. spotkałem w ciemnościach we środę na przystanku tramwaju numer 12, przy moście, który łączy dwie części kolejowego nasypu. Niebo nachyla się tam nad miastem zimną luną elektrycznych świateł, jakby oczekiwało od mieszkańców podjęcia jakiejś fundamentalnej decyzji. Potem przesiedliśmy się z tramwaju numer 12 do autobusu numer 227, który ruszył w górę, w stronę Moreny.

– Jak myślisz – zapytała Kwiryna Z. – co będzie dalej?

– Wróżyć nie chcę, ale myślę, że Wschodnie Imperium razem z Białorusią niebawem uderzy od północy i od południa. Żadna armia, nawet wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt, nie wytrzyma takiego uderzenia.

– I co wtedy?

– Wtedy Zachód, uświadamiając sobie, że nie jest w stanie wygrać ze Wschodem, porzuci Ukrainę.

– Ukraina zostanie zajęta cała?

– Na to wygląda. A jeśli uderzenie będzie szybkie, zręczne i potężne, pójdzie dalej i dosięgnie Polski. Na Zatoce Gdańskiej pojawi się krążownik z Kaliningradu i zacznie bombardować raketami Gdańsk.

– Zachód nam pomoże?

– Zachód będzie liczył na to, że fala ze wschodu zatrzyma się na Odrze.

– Ale w Polsce wybuchnie opór. Silny opór.

– Może. Ale przede wszystkim od razu powstanie partia prorosyjskich realistów. I to milionowa. Nawet jeśli opór będzie, jak mówisz, wielki. Dokładnie tak samo, jak było w roku 1944. Wtedy dzielnie walczyli żołnierze wyklęci, ale natychmiast do prorosyjskiej PPR zapisało się kilkaset tysięcy Polaków. Dużo więcej niż było tych, co stawiali opór.

– Trzeba jednak pamiętać, że wtedy następowała zmiana ustroju. Reforma rolna była konieczna, dlatego wielu Polaków poparło nową władzę. To nie było zachowanie prorosyjskie. Ludzie chcieli ziemi i pracy.

– Intencje milionów może nie były prorosyjskie, ale fakty były prorosyjskie. Definicja jest, niestety, prosta, choć pewnie nie każdy się na nią zgodzi: Prorosyjski był każdy Polak, który czynnie nie występował przeciwko Rosji. A większość – nie oszukujmy się – czynnie nie występowała przeciwko Rosji, z wyjątkiem antyrosyjskiego gadania w domu przy obiedzie i kolacji. Żyli codziennie dokładnie tak, jak Rosja chciała i to jej zupełnie wystarczało.

– To co będzie dalej?

– Dalej? Partia prorosyjskich realistów od razu zwróci się do Wschodniego Imperium z prośbą, żeby armia rosyjska obroniła prawdziwie niepodległą Polskę przed zgniłym, antychrześcijańskim, zбочonym Zachodem. Potem zostaną przeprowadzone „wolne” wybory do nowego Sejmu, który po wyborach zwróci się do władz na Kremlu z prośbą... dokładnie taką samą... jak wystosowały „parlamenty” Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy jesienią 1939 roku. Pamiętasz, jaka to była prośba?

– Nie wierzę. Polska jest inna. W Polsce będzie wielki opór.

– Opór pewnie będzie wielki, ale po jakimś czasie się skończy.

– Więc co teraz zamierzacie?

– Co? Nie mamy dokąd uciekać. Jesteśmy za starzy. Kto nas nakarmi i da nam dach nad głową? Więc zostaniemy na naszej Morenie. I będziemy czekać w naszym mieszkaniu n... W końcu i tak niewiele nam życia zostało. A trzecia

możliwość? To wszystko, co się dzieje obecnie na świecie, przerodzi w wojnę atomową. A wtedy nic już nie będzie miało żadnego znaczenia... ani dla nas, ani dla kogokolwiek...

Na tym nasza rozmowa się urwała, bo ja musiałem już wysiadać z autobusu 227 na przystanku przy Kolumba, a Kwiryna Z. musiała jechać dalej, do mieszkania przy Arctowskiego, gdzie mieszka jej matka. Chmury zeszły niżej nad Wrzeszcz i zabarwiły na fioletowo zimne, elektryczne światło, które rozkwitło jak czasza spadochronu nad naszym, nadmorskim miastem, spragnionym mądrej ciszy i świętego spokoju. W domu byłem przed dwudziestą.

Wtorek, godz. 17.40. Tchnienie wielkości

Czego szukałem w życiu, płacząc się po świecie w mojej krętej wędrówce przez miasta i pustkowia? Teraz myślę sobie, że chyba – tchnienia wielkości. Bo to o nią w gruncie rzeczy chodziło. Poczuć ją przy sobie, zobaczyć, doznać z bliska. Wiedzieć, że jednak istnieje. Najzupełniej realnie. Dotykalnie. Naocznie. Nie tylko na fotografiach, w albumach i podręcznikach. Poznałem wielu pisarzy, biskupów, reżyserów, polityków, posłów i wiele kobiet. Ale od ilu z nich biło to tchnienie, które pozwala w jednej chwili rozpoznać, z jakim formatem osoby mamy naprawdę do czynienia? Pamiętam największych, których nawet miałem możliwość poznać bliżej – ale czy to od nich biło? Ten powiew, to tchnienie, to promieniowanie?

Definicje wielkości? Kogo obchodzi definicje. To się czuje w jednej chwili, żadna definicja nie jest potrzebna, to się od razu wie. Wystarczy spojrzeć. Nic więcej. Więc czy mogę dzisiaj wskazać kogoś, przy kim poczułem to tchnienie? Przykro mi mówić, zdarzali się ludzie, których podziwiałem, ale niestety, to wszystko nie było to. Pisarze z mojego pokolenia czy młodszy ode mnie? Wybitnych spotkałem wielu. Mądrych. Utalentowanych. Ale wielkość? Prawdziwa, mocna, niewątpliwa? Nawet wieniec noblowski tego nie gwarantował, a widziałem z bliska paru noblistów, więc wiem, o czym mówię. No, może trochę to się czuło przy Josifie Brodskim, którego zobaczyliśmy z bliska w Krakowie, ale wrażenie rozpraszało się natychmiast, gdy dochodziła do głosu jego wrodzona chuligańskość, chamowatość rosyjsko-leningradzka, która chwilami jednak przebijiała spod glamouru amerykańskich uniwersytetów... Tranströmer? A, dajcie spokój. Cień człowieka, nie wielkość. Szymborska? Zawsze spłoszona, niepewna tego, czy Nobel się jej rzeczywiście należał... Nerwowo przygryzająca chudego papierosika w dwóch kościstych palcach... Zagajewski? Zakochany w swoim głosie, kiedy recytował wiersze? Różewicz, kiedy męczył się publicznie na spotkaniu z młodzieżą szkolną w gdyńskim teatrze, zamiast po prostu wstać i wyjść?

Tchnienie wielkości zdarzało mi się czuć przy dawnych aktorach. O tak! Na przykład przy Zapasiewiczu, ale kto dzisiaj pamięta kogoś, kto nazywał się Zapasiewicz? A ludzie pióra? Który? Kto? Dlaczego? No, może była jedna taka osoba. Tak, przy nim poczułem coś takiego. Kołakowski. Dziwne... Nie bardzo go lubiłem, chociaż był bardzo uprzejmy, przychylny, życzliwy, kiedyśmy się spotkali oko w oko w Warszawie. Wcześniej, kiedyśmy się jeszcze nie znali, napisał do mnie prywatny list, w którym pochwalił moją *Esther*. Dostać taki list, dziwne uczucie. Zaglądasz do odrapanej, blaszanej skrzynki przykręconej do ściany na klatce schodowej. Żółtawa, podłużna koperta. Napisy na niej angielskie. W rogu angielski znaczek, chyba niebieski, z królową Elżbietą w koronie. Dopiero na drugiej stronie, jak odwróciłeś, przy naderwanej zaklejkę, pochyłym pismem nazwisko nadawcy. Mocno mnie to zdumiało, kiedy je zobaczyłem, bo książki mu nie wysłałem. K. też nie wysłała. Skądś ją wziął i jeszcze mu się chciało przeczytać oraz do nas napisać własnoręcznie, wiecznym piórem? Dziwne. Zaadresował list wyraźnie (skąd miał nasz prywatny adres, nigdy się nie dowiedziałem). Nakleił znaczek (liżąc czubkiem języka słodkawy klej? Więc do dzisiaj mam na żółtawym papierze starej, angielskiej koperty niewidoczne cząsteczki DNA Leszka Kołakowskiego pod ząbkowaną naklejką?). I jeszcze poszedł na pocztę, żeby wysłać? Czy może raczej kazał sekretarce? A może żonie? Córce? Więc i ich ślady papilarne też na starej kopercie?

Ale kiedy się spotkaliliśmy oko w oko w Warszawie, poczułem to tchnienie. Był wtedy kimś ponad poziomem wybitności... Nieokreślone, niejasne, niepokojące, budzące lęk? Prawdziwa wielkość musi kryć w sobie znamię potworności? Kostny szkielet zupełnie taki jak kostny szkielet Jamesa Joyce'a. Ściśle: figury z czarnego metalu siedzącej przy własnym grobie na cmentarzu w Zurychu, którąśmy zobaczyli z bliska, gdyśmy zaszli tam z K. pewnego dnia, wędrując po jesiennej Szwajcarii. Cienkie, długie kości. Dziwnie rozluźnione, wiotkie stawy. Skręty nadgarstków wbrew wszelkiej logice mięśniowych napięć. Chudość żywego wieszaka, na którym marynarka wydaje się zawsze za duża, nawet jeśli starannie uszyta na miarę. Miał laskę z przezroczystego szkła. Mocno się na niej opierał. Coś w nim takiego było... Rzecz jasna mówię o starym Kołakowskim, którego poznaliśmy. Nie o młodym. Młodego znałem tylko z fotografii. Starość jakby go wywyższyła i wyolbrzymiła. Właśnie wtedy z nim rozmawiałem. Kiedy był już bardzo posunięty w latach. To było poruszające. Ta jawność wysokiego losu przy spotkaniu z chudokościstym szkieletem obciążonym plamkowaną skórą, chuda, żylasta szyja, podłużna twarz, wypukłe czoło, wargę dolną grubsza, jakby obwisła,

niedomykająca się, oczy z nawisłymi powiekami, przecierane chwilami długim, chudym, szponowatym palcem.

Oznaki widome wielkości? To tylko teraz tak próbuję go sobie unaocznic. Ułomnie i pokracznie. Może chodziło o brzmienie głosu? Gest? Sposób chodzenia? Ruch dłoni? Przechylenie głowy? Nie. Na nic wszystko. Ale to było właśnie to. Bardzo mocne. Uderzające. Pewne. Niewątpliwe.

Mocniejsze nawet niż przy polskim papieżu, chociaż papież przeszedł obok nas bliźniutko, dwa kroki, na lotnisku Zaspą pod Gdańskiem w 1987 roku, kiedyśmy byli na wielkiej mszy, na którą ściągnęło milion ludzi. Mogłem go dotknąć w ramię, gdybym tylko wyciągnął rękę, tak był blisko. Aż mnie zaświerzbiali palce, żeby to zrobić. Ale nie dotknąłem. Inni dotykali. Wyciągali ręce. Chwyтали za sutannę. Płakali. Krzyczeli. Klękali. Całowali biały materiał. Wołali: – Zostań z nami! – Stałem. Patrzyłem, jak odchodził. Odpytywał w tłum. Wtapiał się w ludzkie morze zalewające Zaspę od przystanka kolejowego po koniec pasa startowego dawnego lotniska Luftwaffe, gdzie stał ołtarz Kołodzieja w kształcie rzeźbionego średnio-wiecznego żaglowca. Znikał wśród głów. Wynurzał się. Tak, uznanie, podziw – tak, to z pewnością czułem, ale w sumie to nie było to najważniejsze. Może był za-nadto ludowy, ojcowski? Za bardzo podobny do Jana Himilbsbacha?

I nie poczułem tego nawet wtedy, gdy arcybiskup Gołowski przedstawił mu nas osobiście. To było w gmachu oliwskiej Kurii. Przed wejściem do wirydarza. Podeszliśmy. Arcybiskup Gołowski powiedział: – Wasza świątobliwość, pisarz Stefan Chwin z żoną, panią Krystyną. – Przez głowę przemknęła mi niestosowna myśl, którą natychmiast stłumiłem: – Miłosz go szanuje, podziwia, ale uważa... za słabego... poetę... – Papież podał mi rękę. Pochyliłem się. Usta trafiły na złoty pierścień. Zimny rubin w szlachetnym metalu. Papieska dłoń była ciepła. Wysunęła się spod koronkowego mankietu komży. Papież spojrział na nas nieuważnie, przechylając głowę w białej piusce i z dworem dostojników przeszedł dalej krążkami wirydarza, w stronę gotyckiego wnętrza katedry oliwskiej, gdzie czekały na niego tłumy. Do dziś pamiętam jego zapach. Może zresztą to nie był jego zapach, tylko zapach białej sutanny. Ale ziemia, niestety, nie zakofyła się pod nogami, chociaż powinna.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (5)

Blokada, walka i przełamanie. Przemiana? Jakaś jej część? W toku, w głowie i w sercu.

U Hioba i u Sępa: „Bojowaniem jest życie człowieka”.

Pieśń nowa i pieśń stara, jedna wynika z drugiej i na odwrót.

Każde słowo ma w sobie nasz komentarz, który przypisuje mu znaczenie i sens. Każdy widzi po swojemu. Dobry wydobywa z niego dobro, a zły zło.

Być zwycięzcą nie nad innym, ale nad sobą. Kto wtedy jest przegrany?

Czy stosunek do samego siebie nie jest niekiedy ważniejszy od stosunku do kogoś drugiego?

Czy to dobrze, gdy źle o mnie mówią? Zależy kto i jak ma się do rzeczywistości.

Po co smuć się, gdy można żyć w radości.

Bierz słowa do serca i ufaj duchowi, w którym płonie ogień. Trzymaj się miejsca, które zostało ci dane. Coś wyrasta tam, gdzie zostało zasiane.

Duch czysty i duch nieczysty brzmi mocniej niż ciało czyste i ciało nieczyste. Być jak narzędzie, ale w dobrym ręku. I szerzyć zamieszanie.

Wydarzenia, które zamieniają się w księgę. Ich spójność i złączenie z tym, z czego wynikają, tak jak złączenie nurtu i ujścia rzeki z jej źródłem czy górnego biegu z dolnym. Nawet jeśli są ukryte, w końcu wychodzą na jaw.

Dlatego warto wiedzieć, kogo się słucha. I wiedzieć, że najmniejsze może stać się największym, a to co wydaje się wielkie, bez znaczenia. Tak jak to, co nie jest doskonałe, powinno prowadzić do doskonałego.

Sam z siebie czerpie siłę i natchnienie? Idzie osobno, z kimś jednym czy z wieloma? Najmniejszy z nich wszystkich, a jeśli nie najmniejszy to za takiego uważany

przez wielu. Będący tym, kim rzeczywiście jest. Wspomagany. Sam nie zrobiłby nic, co by miało znaczenie. Milczeć i słuchać. Słyszeć i mówić. Jak w białym obłoku lub w czarnej chmurze, tak być. Powierzony, wewnątrz i na zewnątrz, działający, w drodze. We współdziałaniu. Słyszający: Idź! I idący. W zmienności i przemianie. Rozumiejący i nierozumiejący. W drodze i na postojach. Chcący coś zrobić i nie robiący tego, dzień za dniem. Nie wprowadzający słów w czyn, nie odrzucający zła, nie wprowadzający w siebie dobra, kręcący się bez sensu i oszukujący sam siebie.

Jak w zaklętym kręgu. Skończyć z tym. Albo wdajesz się w świat albo bronisz przed jego skażeniem siebie i innych. Nie niewidomy, ale widzący jasno i wyrażanie, nie głuchy, ale dobrze słyszający. Szukający w sobie, według słów i według tego postępujący. Bez działania nawet największa siła nie ma sensu. Po co komu zgniłe, robaczywe owoce lub nasycone chemią albo ich plastikowe atrapy?

Jeżeli przychodzi zło, to odwraca je, przemieniając je i siebie, bo inaczej prędzej lub później zginie. Trzyma w ryzach swoje ciało i mowę. Nie dodaje ulepszczy, siedem razy czyści, czuwa i postępuje naprzód.

Oszałamiający obłok i – głos. On przemienia mnie w siebie. Być łagodnym to mądrość, nie taka jak ta ziemską. Ducha niemego i głuchego wyrzuca tylko wielka moc. Są takie, które osłabić i wyrzucić może tylko modlitwa i post.

On, ja, oni, żywe przykłady tego. Żyć tak, że to ostatni dzień życia, ostatnia godzina. Nie obwarowywać się przed dobrem, a otwierać się na nie, w każdej chwili, iść w świetle. To trudne. Widziałem wielu zadufanych w sobie, zachwyconych swoimi słowami. To ciemność i dół. Wygrywa ten, kto wytrwa. Najpierw uważnie wysłuchaj, co i jak mówi, a potem go chwal albo krytykuj.

Na czym polega zwycięstwo śmierci nad życiem? I tak zawsze jest przegrana.

Po co potrzebne są cisza i milczenie? Po to, żeby słyszeć głos.

Kuszenie – przemienianie się – nawracanie. Jaką mocą działają ich słowa? Darmowa łaska. Najpierw dokonuje się wewnątrz, potem na zewnątrz. Stare i nowe w powijakach. Z nie moją siłą, ale która mnie przenika, już jest wewnątrz i daje jej pole do działania.

Pokój, zamknięte drzwi, w ukryciu. Są dwie drogi i sam wybierasz, którą chcesz iść. Sprawa jest jasna, trzeba zaprzeć się samego siebie i naśladować. Stawka jest największa, jaka może być. A wystarczy, na początku, tylko trochę posłuchać i otworzyć się, głowę i serce, a duch ożywi się i zacznie pracować.

Oczyszczać się, codziennie, tak jak codziennie się myje. Inaczej jest brud. Trzeba wiedzieć, co jest stratą czasu. Jesteś w drodze, nagroda jest przed tobą.

Jest albo on, albo nikt, albo wszystko, albo nic, choć nie raz idzie się na kompromis.

Bez Boga nie ma opowieści o człowieku, tak jak trudno jest mówić o Bogu bez człowieka. Jesteś na pustkowiu i tylko on może cię nasycić.

Pod jakim idziesz jarzmem? Komu grozisz palcem? Mówisz jasno i prosto czy zawile i przewrotnie?

Czy to nie cud, gdy po ciemności następuje światło? Czy nie jest nim choćby tylko jeden błysk w ciemności? Pomyśl, co jest źródłem światła. I co jest jego początkiem.

Prastare zwaliska, pod nimi piwnice, lochy i fundamenty. Zostawione wyłomy wśród odnowionych uliczek.

Czy już wiesz, co to jest szczęście i rozkosz w duchu? Komora i w niej celnik Lewi. Każda chwila na wagę złota. Słowo jest zawsze blisko mnie i we mnie, w głowie i w sercu. Na kuszenie najlepiej odpowiadać zdaniami z Pisma. Uderzać w to, co najważniejsze albo lekceważyć, wymazywać, omijać lub być na opak tego, w ferworze lub udawanym spokoju.

Nie sam, ale zawsze współdziałając, po swojej stronie. Tylko głupiec lekceważy stojące przy drodze znaki lub ktoś beztroski, nieuważny.

To co krzepi, uczy, raduje i olśniewa. Duch i życie, bez jednego nie ma drugiego.

Mówią, że najważniejsza jest miłość. Ale czy jest jej jakiś wzorzec, czy dla każdego jest identycznym przeżyciem, czy może jednak dla każdego na jego miarę?

Gdy mówię Sąd Ostateczny, wiem, czym jest, ale nijak go sobie nie wyobrażam.

Czy słowa dokonują tego, czego chcę w innych i we mnie? Patrz, jak na świecie nawet najmniejsze cząsteczki służą innym i jakie jest to cudowne. Czy tak samo jest we wszechświecie? Czy słowa działają tam tak samo lub podobnie?

Ten, który upada jest blisko Boga czy Bóg jest blisko niego, jak najbliżej.

Forma jest ważna i treść jest ważna, jak dwie szale równoważonej wagi. To ciągle się waha, przeważa w jedną lub w drugą stronę, ale trzeba to równoważyć i pilnować tego.

Zrobić coś zaraz, natychmiast, a zrobić później, odwlekać. Sama łaska nic nie zdołała bez współpracy z nią. Ktoś taki jak Jonasz i ktoś od niego większy.

Po śladach, obok niego, za nim.

Dwa znaki łączące się w jeden. Stary znak i nowy, dopełniający poprzedni i otwierający nową przestrzeń.

Czy można nie kochać kogoś, kto nas kocha? A czy można nie kochać kogoś, kto kocha nas jak nikt inny na świecie i poza nim?

Co mamy robić? Prosić, szukać i kołatać. I tyle wystarczy? Bez wątpienia.

Jeśli jesteś na złej drodze, to jak najprędzej zawróć. A jeśli na dobrej, to z jeszcze większą determinacją idź naprzód, codziennie, posuwaj się do przodu.

Czy miłość matki Mohla do niego nie usprawiedliwia jej, a nawet uświęca? A czy jej miłość do niego nie usprawiedliwia go i nie stawia w dobrym, świetlistym kręgu? Czy może być złe i niesłuszne postępowanie kogoś, kto mnie kocha? Nawet gdyby moje postępowanie było złe i niesłuszne?

Węzeł zasług i węzeł win, w jednym suple złączone.

Nie, zaraz koniec, ale, zaraz początek, nowe.

Coś, co dzieje się z serca i z duszy i z całego serca i z całej duszy. Rosnąca moc.

Nie ma przemiany bez pokuty, ale może być pokuta bez przemiany.

W ciemności – lęk, ale w śnie – już nie.

Wiara to moc, opieranie się na czymś i na kimś, pełne zaufanie. Wzór i naśladowanie go. Dyscyplina i przyjmowanie słów. Podobieństwo. Przemiana kłęski w błogosławieństwo.

Kłamstwo, zabójstwo – jak w amoku, jak w złym śnie.

Nie ma wiary bez nadziei, ale może być wiara wbrew nadziei, przeciw niej.

Jeżeli usłyszysz głos, który woła ciebie po imieniu, odpowiedz: „Oto jestem”.

Psalm 103 – perła Psalterza.

Pod obłokiem, duchowa skała.

Żeby wskazywać drogę innym, trzeba niekiedy zejść na największe manowce. Czas wzrostu i czas owocowania. Jak się ma twój figowiec?

Mocne zawory bram.

Do miłości przychodzić z nienawiścią. Do nienawiści iść z miłością.

Jeremiasz przekazuje, co mówi Bóg: „Słuchajcie głosu mego”. (7, 23)

Mówisz do nich, ale nie słuchają. Pytasz, ale nie odpowiadają. Czy to wszystko przepada, zanika? Bałwochwalcy, służący bożkom.

Psalm 95: „Obyście dzisiaj usłyszeli głos Jego”. Słuchanie.

Byłem niemy i zacząłem mówić. Dziwili się. Zły duch siedział we mnie? Teraz mówię. Czyją mocą? Wystawiony na próbę. Nie bez pomocy. Słuchają uważnie, żeby mnie na czymś przyłapać, wykazać moją daremność.

Patrzą, co ten ktoś mówi, co i jak. Z dobrą czy ze złą wolą? Duch skruszony czy rozbity na miazgę?

Moc działającej w smutku radości. I siła smutku w radości.

Przy Owczej Bramie sadzawka z pięcioma krążgankami nazwana po hebrajsku Betesda.

Pan mówi, że ci umarli, którzy usłyszą jego głos, będą żyć i dodaje, że wszyscy, którzy są w grobach, usłyszą głos powołujący ich, w zależności od ich czynów, na zmartwychwstanie do życia lub na zmartwychwstanie do potępienia. Mówi: „Ja sam z siebie nic czynić nie mogę” i dodaje: „Szukam bowiem nie własnej woli, lecz woli Tego, który mnie posłał”.

Wahania, pytania, niepewności i wątpliwości. Zapominamy o tym czego doświadczaliśmy? Nie ma w nas wdzięczności?

Nigdy nie jest się w sytuacji bez wyjścia, nawet w pętach otchłani. Uwięziony we własnych wyobrażeniach. Siedzący wśród śmieci, jakby nie wiedział, skąd przyszedł i dokąd idzie. Nie sądzi nikogo, jakby nie był z tego świata, nie oddaje pokłonu złotemu posągowi, ratuje, co się da. Idący naprzód. W milczeniu i wśród roju słów, z obłokami nad głową.

I znowu w swoim zakamarku, jak na wojnie, wewnątrz i na zewnątrz. Świadomy tego, co się staje. Nie raz grzmiący jak pusty dzwon, na cztery strony świata.

Zapatrzony w obłoki i jakby dążący do nich, nie do tego co na ziemi. Broniony przed działaniem złego, nie raz uratowany. W zdumieniu i zachwycie, w przedziwnym świetle, wystukujący kroki.

Wracający i odchodzący, skierowany i kierujący się w drugą stronę. Uwolniony czy jeszcze nie uwolniony od złych duchów w nim. Dręczony przez nie i wzmacniany, z drugiej strony. Oczyszczony, nieczysty i znowu oczyszczony. Mający pokój w sobie i niemający pokoju.

Stwarzany jakby na nowo, na starych fundamentach. Samotny i współdziałający, bez sensu i z sensem. Potępiony i zbawiony. Jakby bez jasnego przekazu, ale przecie jasny, najjaśniejszy z nich.

Piszą, piszą i wpisują się w kozi róg. Robią dobre miny do złej gry i grają larum. Nie do źródła się kierują, ale do ciemności, w czern.

O czym ty mówisz? – pytają. Jeden, drugi, trzeci. Wystarczy zobaczyć i posłuchać o czym oni mówią i do czego zmierzają.

Wychodzenie z donośnym krzykiem duchów nieczystych z opętanych. Widzimy to, obserwujemy.

Czyj to głos? Anioła? Ducha, a może ducha – czystego czy nieczystego?

Dziesiątki, setki, tysiące głosów – w głowie i na zewnątrz.

Ja jestem w nim, a on jest we mnie. Mówię jego słowami, jego składnią, tonem a może nawet stylem, na moją modłę. To on mówi przeze mnie, nie ja, bez niego milczałbym jak grób. Tak, jestem w nim, od lat, a on jest we mnie. Nie widać tego? Nie słychać? Dlaczego jednak ciągle zwlekam? Dlaczego nie wyruszam w drogę niezwłocznie? Wskrzyszony, a nie zmartwychwstały. Wśród jego słów i z nimi w sobie. Wybrany i dopełniony, spełniający się. Słuchający głosu i chcący stać się z nim jednym. Nie sam od siebie mówię, to jasne, nikt nie mówi sam od siebie.

Kłucza w głowie. Znaki?

Otworzył przede mną drogę i jest ze mną. Przybywał, wracał, przechodził, docierał, wchodził, siedział, wstawał, mówił i odchodził. Znajdował i trzymał się tego. Był wysłannikiem i dobrze wiedział, kto go posłał.

Słuchał i starał się wypełniać. W łasce i w grzechu, z nią złączony. Czy był dobrym pośrednikiem? Nie jemu o tym sądzić. Starał się, robił, co mógł, wiele, niewiele. Powołany i wybrany? Umacniany, ale czy umocniony? Oskarżany i atakowany, ale otoczony szańcem. Stanowiący jedno z tym, którego słucha słów, zespolony z nim w jedno, w duchu i w miłości. Otwarty na niego i na jego dary, działający. Winny i znowu niewinny. Schnący i znowu rozkwitający i owocujący.

Miłość, która odwróciła wszystko do góry nogami. Zamęt i jej siła i moc. Zachowywanie słów. To, że nie jestem sam. Z niego biorę i jemu oddaję wszystko, w każdej chwili. W nim i na zewnątrz, w smutku, radości i gdy jedno przemienia się w drugie. Już otwarcie, bez kołowania i sztukowania. Wsluchując się w głos, każdego dnia.

Na ścieżce życia. Zespoleony w miłości. W niej, w sobie, w nim. Pycha, która jest odrzuceniem, znak diabła. Słuchanie – pilne słuchanie. Wyjście w duchu na zewnątrz. Miejsce suchych kości i miejsca ich kwater. Mówienie do nich, do ich ducha. Przybywa z czterech wiatrów.

Sny i widzenia. Spodziewa się i czeka. W niemocy znajdując moc i siłę w słabości. Energia oczekiwania i czuwania. Szum, wiatr i ogniki na niebie. Życie według ciała i według ducha. Złączeni cielesnie i duchowo i złączeni z Nim, na dobre i na złe, w strumieniu miłości. Tak pocieszeni, w ogniu i świetle, w łasce, litości, współczuciu, miłosierdziu. Nie lęk, ale miłość – ratunek i wybawienie, przywrócenie.

Chwieją się, potykają i upadają, ale wiedzą, że nie są sami i że nie służą Baalowi. Czy są ze świata? Raczej wycofują się z niego, coraz mniej chcą z niego być. Bez siebie nie znalazły miłości, nie byłoby niej tak blisko jak nigdy przedtem.

Głos, który jest ciszą, na zewnątrz i wewnątrz, cisza i natchnienie.

Są coraz bardziej spokojni i pewni, nie byli tacy wcześniej. Uważają na złe duchy. Jego miłość jest w ich ciałach i w duchu. Spirala dobra i spirala zła. Śmiertelne ciało, nieśmiertelny duch i wspólne Zmartwychwstanie.

Idą dalej razem. Mieszają się ich duchy i przechodzą na siebie. Są w ukryciu i wiedzą, że są widziani. Stają się jak jedno, coraz bardziej. Otwierają się im oczy i uszy. Moc działa w ich sercach i głowach, dziwna siła. Zespalają się w jedno, żeby wspólnie iść dalej. Ona w nim i on w niej i dalej, w głąb siebie i tajemnicy. Zdają z tego sprawę, dziwiąc się, że to tak się układa. Jakby byli wybrani, w łasce. Nie martwiąc się na zapas i razem znosząc troski. Żyją tak, jakby wszystko od nich zależało, choć wiedzą, że wszystko zależy od kogoś innego. I chcą stać się nim, nie samymi sobą. Siebie się zaparli i dostali wszystko – kierunek, drogę, cel i dążenie. Jakże ciasna była ta brama i jak wąska droga. Weszli w nią i poszli dalej. I idą. Na zatrąć czy ocalenie? Poznają po owocach. Rozszyfrowując i rozeznając, umierając i rodząc się. Nie umiejący mówić i mówiący, nie swoimi słowami, w sobie. Obwarowani, w swoim schronieniu, jak w twierdzy. Przeniknięci i wydani, przygotowani. Na wyspach, utajeni i czynni. Znający swoje słowa, myśli i serca. Utkani w jedno,

w jeden kształt, do głębi. Milczący i mówiący, z rozwiązanym językiem. Wydający się na pastwę, ale nie przekreśleni. Wspierający się mocą i wspierani nią, głodni i nasyceni. Odchodzący i wracający. Zakorzeniający się. I wydający owoce. Podobni do siebie i niepodobni. Dopełniający.

Czy mogliby być razem, gdyby się znali? Czy byliby radośni, nie mając siebie? Czy mówiliby tak, nie będąc wypełnieni? Czy nie podnieśliby się bez siebie? Czy nie dążyliby do siebie, gdyby nie byli w pułapce? Czy rozbijaliby coś, gdyby to było dobre? Czy nie tkwiliby dalej w czymś, co rozpoznawaliby jako szczęście?

Byli spustoszeni, żeby zostać wskrzeszonymi? Z popiołów powstałi czy z ognia? Czy miłość może być klęską i zagładą, występkiem i zniszczeniem? Czy może być złem? A to naprawdę jest miłość. Mali i ograniczeni wzrastamy i uwalniamy się – w Nim. W ogołoceniu i w ufności. Zdumieni i zachwyceni tym, co się dzieje i co się staje. Kochani. Kochający. Kochający się. Uważni i spieszący się. Bez wytchnienia. Wzmacniający siebie i wzmacniający się. Jakby wracający z powrotem. Prosząc o przebaczenie i wracając, jak uzdrowieni, nawróceni.

LESZEK SZARUGA

Świat, w którym żyłem (8)

20.

Już w roku 1945, zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej, interesujący, choć dziś chyba niesłusznie zapomniany poeta awangardowy Jerzy Zagórski pisał – starając się ogarnąć szok, jakim było ujawnienie popełnionych w tamtym czasie zbrodni – że w istocie, mimo grozy, jaką niesie to doświadczenie, w zasadzie w świecie nic się specjalnie nie zmieniło i, odwołując się między innymi do zniszczenia Kartaginy (a jak wiadomo, Kartagina musi zostać zniszczona, jak bowiem podkreślał Katon, *Cartagina esse delendam*, co się ziściło dosłownie poprzez zburzenie miasta stanowiącego dla Rzymu zagrożenie, terenu zaś, na którym zostało pobudowane, zaoranie i zasypanie solą) – że nawet z totalnego unicestwienia można się podnieść i że dla ogarnięcia współczesnej katastrofy i wydobycia się z niej ku nowemu ładowi przyda się „łacińska kotwica”. Tego samego zdania był zapewne mój ojciec, gdy cierpliwie podsuwał mi zarówno dialogi Platona w smacznych nawet dziś przekładach Witwickiego, jak też *Żywoty równoległe* Plutarcha czy *Paideię* Jaegera, nie mówiąc już o *Mitologii* Parandowskiego, a wreszcie namawiając mnie do wyboru w liceum łaciny jako drugiego, obok obowiązkowego rosyjskiego, języka obcego, co sprawiło, że wciągnął mnie w przestrzeń spraw dotyczących życia publicznego, w szczególności zaś kwestii politycznego urzędowania społecznego ładu zarówno w wymiarze lokalnym, jak i międzynarodowym.

„Łacińska kotwica”, o której pisał Zagórski, okazuje się niezwykle przydatna na wzburzonych falach historii – nie tylko stabilizuje, ale pozwala na znalezienie dystansu. Nie jest też przypadkiem opublikowanie przez Michała Komara – którego prozy i eseje czytam od lat z wielkim dla siebie pożytkiem – szkicu zatytułowanego *Jedyny taki naród* opowiadający o imperialnych ambicjach Peryklesa, „który od wielu lat z powodzeniem kierował mocarstwową polityką demokratycznych Aten, sławny w całej Helladzie autor praw i łupieżca, budowniczy

Partenonu i Propylejów, szczodry przyjaciel Sofoklesa, Herodota i Fidiasza". Jednym z dylematów, przed którym ów wódz „demokratycznego państwa” stanął, sformułował w mowie do ludu w obliczu nieszczęść, które spadły na Ateńczyków w dobie klęski pogłębionej zarazą: „Zostać tyranem wydaje się rzeczą niesprawiedliwą, jednak przestać nim być jest na pewno rzeczą niebezpieczną”.

Zapewne... Ale jeszcze bardziej niebezpieczne wydaje się doprowadzenie do sytuacji, w której w „demokratycznym państwie” dochodzi do przekazania władzy tyranowi. Rzecz w tym, że tyran, nim władzę posiadzie, najczęściej na tyrana się nie zapowiada, a często sam nie wie, że pragnie nim zostać. Dopiero gdy nim zostaje, nie jest już skłonny do jej oddania i tym samym podporządkowania się regułom demokracji, które w istotny sposób ograniczają jego możliwości działania. Bywa też, że nie tylko owe ograniczenia nie pozwalają mu bez obaw zrezygnować ze swej pozycji, a to dlatego, że czyny przezeń popełnione mogą stać się powodem oskarżeń o nadużycie władzy, szkody zaś przez te nadużycia spowodowane podstawą oskarżenia o działania niezgodne z prawem, którego reguł działanie zablokował. Tak czy inaczej odejście od tyranii jest rzeczą bardziej niebezpieczną dla samego tyrana niż dla państwa. O tym wszelako wprost Perykles w swych mowach nie wspomina, podobnie jak nic nie mówi o negatywnych skutkach tyranii.

W *Państwie* Platona perspektywa powstawania tyranii wydaje się nieunikniona:

„– A czy demokracja nie określa pewnego dobra, którego do syta mieć nie może, i przez to ginie?

– A ty myślisz, że ona co określa?

– Wolność – odpowiedziałem. – O tym możesz w demokratycznym państwie usłyszeć, że jest to największy skarb, i dlatego tylko w tym państwie godzi się żyć człowiekowi, który ma wolność w naturze [...]. Więc czy to nie tak – ciągnąłem – jakem przed chwilą zaczął pytać; nienasycona żądza tego dobra i zaniedbanie dóbr innych przekształca i ten ustrój i przygotowuje na potrzebę dyktatury? [...] Wtedy, myślę, gdy państwo demokratyczne cierpi na pragnienie wolności, a ma przypadkiem na czele złych pod czaszych, zaczem się, więcej niż potrzeba, upija wolnością nierozcieńczoną, a rządzących, jeśli nie będą bardzo łagodni i nie będą mu dawali dużo wolności, karami ściga, zarzucając im, że to lotry i oligarchowie [...]. Nadmierna wolność, zdaje się, że w nic innego się nie przemienia, tylko w nadmierną niewolę – i dla człowieka prywatnego, i dla państwa. Więc to naturalne, że nie z innego ustroju powstaje dyktatura, tylko z demokracji; z wolności bez granic – niewola najzupełniejsza i najdziksza”.

Jak widać, ten paradoks demokracji rozpoznany został już u zarania cywilizacji europejskiej i od bez mała trzech tysiącleci nic nie wskazuje na to, by mógł on być przewyżniony. Więcej nawet: rozpoznanie zagrożenia dla demokracji, jakim jest ona sama, w najmniejszej mierze nie przyczynia się do znalezienia możliwości jego neutralizacji. Choć w zasadzie takie rozwiązanie istnieje, lecz jest mało prawdopodobne, by mogło być wprowadzone w życie.

Rzecz w tym, że o ile demokracja oznacza otwarty dialog, o tyle tyrania jest monologiem nieznoszącym wielogłosowości. Oczywiście – wielogłosowość sama w sobie wartością nie jest: dość wyobrazić sobie zbiorowisko, w którym jeden gada przez drugiego, w efekcie wszyscy wszystkich zagłuszają i nikt nikogo nie jest w stanie usłyszeć. Nie ma większego sensu czytanie jednocześnie Sofoklesa, Szekspira, Dostojewskiego i Joyce'a, podobnie jak koszmarem musiałyby być jednoczesne słuchanie Bacha, Beethovena, Strawińskiego i Lutosławskiego. Taka wielogłosowość to po prostu kakofonia czy bełkot i choć bez wątpienia może stanowić demonstrację wolności, w istocie jest jej zniesieniem. Nie dziwi zatem, że w takiej sytuacji większość skłonna jest powierzyć głos komuś, kto nad tym harmidrem potrafi, choćby stosując przemoc, zapanować. Ten ktoś wszelako, opanowując ten bałagan, najpewniej zaprowadzi swój własny ład i nie będzie skłonny dopuszczać do głosu tych, którzy ów ład chcieliby podważyć.

Wyjściem jest zastąpienie tak pojmowanej wielogłosowości w rozmowę, o czym zajmująco i dla mnie przekonująco pisze Marcin Król w wydanej pośmiertnie książce *Pakuje walizkę*: „Rozmowy w naszych czasach właściwie nie prowadzimy. Rozmowa trwa długo, a jej uczestników może być od jednego do trzech [...]. Rozmowa jest zawsze poważna, choć jej temat nie musi być poważny. Zgoda na rozmowę oznacza niezbędne skupienie na jej temacie, a przede wszystkim na rozmówcy. Rozmowa może być na określony temat lub bez tematu. Może mieć cel praktyczny lub w ogóle nie mieć celu ani konkluzji [...]. Sens rozmowy polega na rozmawianiu. Nie ma utylitarne go charakteru. Z rozmowy bowiem nic nie wynika [...]. Rozmowa to pożywka dla ducha. To okazja do przebywania w innym świecie, w którym drugi człowiek jest naszym dramatycznie istotnym towarzyszem. Bez niego, bez rozmowy, nie potrafimy żyć. Bezinteresowność jest warunkiem istnienia dobrej wspólnoty. A kluczem do bezinteresowności – rozmowa [...]. Rozmowa jest więc dobrem sama w sobie, ale wymaga od nas wysiłku. Zgoda na rozmowę to jak zgoda na istnienie drugiego człowieka. Kiedy nie rozmawiamy, stajemy się egoistyczni, samotni, głupi i interesowni. Ten, kto nie rozmawia, nie rozumie”.

W gruncie rzeczy takie pojmowanie rozmowy wypełnia kantowskie rozumienie sztuki, o której w filozof z Królewca pisał w *Krytyce praktycznego rozumu*, że jest ona swobodną i bezinteresowną grą władz umysłu. Ale też jest oczywiste, że dla tyranii taka swobodna rozmowa jest niebezpieczna – podobnie zresztą jak sztuka: dość wspomnieć o tym, co ze sztuką, zwłaszcza awangardową, czyniły reżimy nazistowski i bolszewicki – a niebezpieczeństwo to wzrasta, gdy ta rozmowa staje się przedmiotem uwagi publicznej i jej przebieg wskazuje na możliwość podważenia racji tyraństwa, rysując perspektywę zastąpienia jego monologu przez dialog, a tym samym zburzenia ustanowionego przezeń ładu.

21.

Wojna rosyjsko-ukraińska, rozpoczęta w 2014 roku dokonaniem przez „zielone ludziki” Putina *Anschluss* Krymu, a od 24 lutego 2022 kontynuowana przez inwazję Rosji w Ukrainie ma także literackie konsekwencje. Przy tym nie chodzi mi o utwory powstające zarówno w samej Ukrainie jak poza jej granicami, a poświęcone rozgrywającym się obecnie wydarzeniom – z pewnością będzie ich sporo, już dziś powstają antologie poezji tej kwestii poświęconej – ale o dążenie do zerwania z Rosją i kulturą rosyjską wszelkich związków. To oczywiście pierwsza reakcja, lecz niezależnie od tego, jak się dalej sprawy potoczą, będzie ona miała swoje mniej lub bardziej dramatyczne konsekwencje.

Jak na razie sporo jest gestów symbolicznych – takich choćby jak pisanie o Rosji i Rosjanach małą literą: „rosja”, „rosjanie” (tak nawiasem mówiąc, w tym drugim wypadku po rosyjsku tak się pisze). I znów – *nihil novi sub sole*: po zakończeniu II wojny światowej też pojawiła się tendencja pisania małą literą o Niemczech i Niemcach. Rzecz skądinąd zrozumiała, ale raczej niemądra. Nie da się ani Rosji, ani tym bardziej rosyjskiej literatury wygumkować z obszaru kultury europejskiej i światowej, podobnie jak to się miało z Niemcami i kulturą niemiecką – co prawda czas jakiś wielu twórców niemieckich, także niemających osobiście z nazizmem nic wspólnego, jak choćby Richard Wagner, skądinąd antysemita, było zakazanych, ich utworów nie wykonywano, lecz z czasem przecież z podobnych praktyk należało zrezygnować.

Warto może, na marginesie tych notatek, odwołać się do słów wybitnego żydowskiego dyrygenta, Daniela Barenboima, który w rozmowie z Edwardem W. Saidem zapisanej w tomie *Paralele i paradoksy*, odnosząc się do poglądów niemieckiego kompozytora, którego muzyce się jako wykonawca poświęcił, powiedział: „Ryszard Wagner jako osoba jest absolutnie odpychający, podły. W pewnym

sensie bardzo trudno skojarzyć go z pisaną przez niego muzyką, która często wywołuje wręcz odwrotne uczucia. Jest szlachetna. Wspaniała. Ale zaczynamy tu dyskusję na temat, czy muzyka jest moralna, czy nie. A na potrzeby naszej rozmowy wystarczy powiedzieć, że antysemityzm Wagnera był koszmarny. Często używa on powszechnej wówczas terminologii antysemityzmu, który by można nazwać salonowym. Użył też strasznych sformułowań, które w najlepszym razie można uznać za wypowiedziane pod wpływem chwili, np. że Żydów powinno się spalić. Nie ma wątpliwości, że był strasznym antysemitą [...]. Po nocy kryształowej w listopadzie 1938 roku orkiestra, która do dziś zarządzana jest kolektywnie przez muzyków, zdecydowała, że z powodu tych skojarzeń – posługiwania się muzyką Wagnera przez nazistów, co doprowadziło przecież do palenia książek – więcej Wagnera grać nie będzie”. Orkiestra ta, o czym warto tu wspomnieć – orkiestra Filharmonii Palestyńskiej – założona została przez Bronilawa Hubermana (1882–1947), urodzonego w Częstochowie światowej sławy wirtuoza skrzypiec, który w broszurze *Vaterland Europa* pisał, że nie istnieje alternatywa „federacja europejska lub państwa narodowe”, lecz że „zjednoczenie Europy to nie pretensje idealistów, lecz *conditio sine qua non* przyszłego życia narodów europejskich”.

Póki co, jak wiadomo, zjednoczenie Europy, choć jakoś w formie załazkowej zaczyna funkcjonować, jest konstrukcją niezwykle kruchą i wciąż poddawaną nowym próbom – od powstania po współczesność Unia Europejska trzeszczy w szwach, ale można też powiedzieć, że kryzysy stały się jej siłą napędową. Obecna wojna w Ukrainie, choć poza granicami Unii, jest jednak wojną, która Unii dotyczy, w istocie bowiem Rosja toczy wojnę z Ukrainą aspirującą do członkostwa we wspólnocie, a sama wspólnota jest przez Kreml traktowana jako byt zagrażający jego istocie. Inaczej mówiąc – mamy obecnie do czynienia z wojną Rosji z Unią Europejską, choć póki co Rosjanie na terytoria unijne nie wkroczyli, co nie znaczy, że nie mają takich zamiarów. Ważne wydaje się podkreślenie tego, że samo istnienie suwerennego państwa ukraińskiego, w dodatku deklarującego chęć przystąpienia do europejskiej wspólnoty stanowi dla Rosji *casus belli*. Ale też *casus belli* stanowi dla Rosji system wartości, które stanowią fundament europejskiej wspólnoty.

To wszystko wszakże – nawet w obliczu zbrodni popełnianych przez państwo rosyjskie i jego żołnierzy – nie stanowi powodu, dla którego należy odrzucać literaturę rosyjską, nie mówiąc już o opróżnianiu półek bibliotecznych z dzieł rosyjskich autorów, a o takim właśnie przypadku już słyszałem.

Olga Tokarczuk, której twórczość śledzę z uwagą i pożytkiem od debiutanciej *Podróży ludzi Księgi*, w przededniu publikacji swej nowej, pierwszej po Noblu powieści, w jednym z wywiadów, nawiązując do wojny rosyjsko-ukraińskiej, powiada: „Właściwie zastanawiam się, czy ta moja książka ma teraz w ogóle jakiś sens. Bo jak mają się toczyć wszystkie te nasze przedwojenne dyskursy, kiedy rozstrzeliwuje się ludzi i gwałci się dzieci?”. I choć doskonale rozumiem, o co pisarce chodzi, to jednak nie rozumiem. Świat bowiem, w którym żyjemy, jest światem, w którym raczej wojna niż pokój jest zjawiskiem normalnym. Od dnia mego urodzenia nie było ani jednej godziny, w czasie której gdzieś na planecie nie toczyłaby się jakaś wojna. W czasie wojen ludzie strzelają do ludzi, a gwałty, także na dzieciach, są wydarzeniami naszej, ludzkiej codzienności. Czy będzie to w Syrakuzach, gdzie w roku 212 przed naszą erą żołnierz rzymski przebił włócznią ciało Archimedesza, czy w Austrii, gdzie w roku 1945, już po zakończeniu działań wojennych, amerykański żołnierz przypadkowo zastrzelił kompozytora Antona Weberna, jednego z głównych przedstawicieli drugiej szkoły wiedeńskiej.

Ani dnia, ani nawet godziny bez wojny w moim życiu na tej planecie nie było i w zasadzie nie ma powodu, by w tych okolicznościach zastanawiać się nad sensem powstających w tym czasie dzieł sztuki. Bo choć okoliczności ich powstawania – w planie globalnym, a w końcu taki nam jako osobnikom świadomym obejmować przystoi – raczej nie skłaniają do czegoś, co patetycznie określa się jako wiara w człowieka, to przecież właśnie dlatego, że tworzone są mimo tych wydarzeń, mają one sens. Łacińska formuła powiada, że *inter arma silent Musae* i, jak wiadomo skądinąd, nie jest to formuła prawdziwa, lecz niestety, pokrewna jej maksyma – *inter arma silent leges* – prawdziwa jest do bólu.

Gdy zdaję sobie sprawę z tego, ile milionów ludzkich istnień – a zatem: milionów światów – zginęło w tych wojnach toczonych codziennie w czasie mojego życia, wówczas myślę, że powinno to sparaliżować jakąkolwiek myśl o dumie z człowieczeństwa, tym bardziej że wiele z tych śmierci, co najmniej setki tysięcy, poprzedziły straszliwe zbrodnie na tych ludziach popełniane. To są bodaj najistotniejsze realia świata, w którym żyłem i żyję. One stanowią nieusuwalne tło naszej egzystencji i jak to tło, bywają ignorowane, stają się niedostrzegalne tak, jak niedostrzegalne są wszystkie oczywistości, które nam stale towarzyszą. W tych okolicznościach zadawanie sobie pytania o sens pisanie wierszy czy powieści wydaje się w istocie bezprzedmiotowy, podobnie jak pytania o sens wszelkiej innej kreatywnej działalności ludzkiej. To w końcu zrozumiałe, że odpowiedzią na tezę

Theodora Adorno mówiącą, że pisanie wierszy po Auschwitz byłoby barbarzyństwem, stało się arcydzieło Paula Celana, jakim jest *Fuga śmierci*, co, rzecz jasna, zrozumiałe nie jest i zrozumiałe być nie może zgodnie z puentą wiersza *Oświęcim* Juliana Przybosa powiadającą, że o tym nie można ani mówić, ani milczeć. To formuła paradoksalna, ale być może paradoks jest – poczynając od poszukiwań mistyków – jedyną znaną nam istotą naszego bytowania w kosmosie i właśnie dzięki sztuce, jak w namalowanym i milczącym *Krzyku* Edwarda Muncha znajdujący swój niewyraźny wyraz.

Sądzę zresztą, że właśnie Olga Tokarczuk, autorka opowieści o ludziach Księgi – a żadna Księga nie stroni przecież od paradoksów – wie o tym doskonale, lecz dzisiaj, stając w obecności okrucieństw dokonywanych w Ukrainie przez Rosjan, przez chwilę mogła zwątpić w sens opowieści. Nie tylko zresztą ona ma podobne wątpliwości, które sprawiają wrażenie, że wobec tego, co się dzieje właściwie – za sprawą mediów – na naszych oczach, problemy sztuki zdają się czymś nieistotnym. Z drugiej jednak strony właśnie sztuka kreuje przestrzeń ludzkiej wspólnoty, jest gwarantem możliwości dialogu i – jednak, mimo okoliczności, w jakich powstaje – porozumienia, być może nie do końca możliwego, ale jednak pozwalającego żywić nadzieję na powstanie lepszego świata.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (69)

Bez tytułu i daty (LVIII)

Warszawa to miasto wron siwych, jest ich dużo i są mało płochliwe. Trudno je zobaczyć w Zamościu – tymczasem w ciepły i wilgotny ranek 2 listopada obserwowałem ożywione, żerujące w centrum miasta gawrony. Duże stada gawronów zamieszkują wysokie drzewa na terenie dawnych koszar, jak czarne najeżone patykami kule wiszą wśród gałęzi ich corocznie odnawiane gniazda. Nie wiem, czy były to gawrony miejscowe, czy przybysze z Północy, szukający cieplejszych środowisk do przeżycia.

Miał zauważony debiut, ale w następnych latach napisał hektary wierszy. Są wśród nich i dobre. Ale jak je w tej obfitości znaleźć?

Od czasu, gdy zacząłem czytać (i kupować, jeśli była możliwość) miesięcznik „Twórczość” – a mógł to być rok 1978 – obowiązkowym punktem lektury pozostawał drukowany pod koniec numeru *Felieton poetycki* Jerzego Kwiatkowskiego. Nie w każdym wszelako numerze znajdował się pilnie wypatrywany przeze mnie tekst wybitnego krytyka; zapewne nie lenistwu autora należało przypisać nieobecność felietonu jego pióra – swoje wiedziała i pilnie swych racji strzegła ówczesna cenzura... Niezrównana przenikliwość, smak literacki, wiedza, pozwalająca swobodnie poruszać się autorowi *Kluczy do wyobraźni* po rozległym terenie literatury – bo nie tylko poezji – wreszcie zalety stylu, a więc swoboda, przejrzystość, elegancja, skromność i zarazem pewność sprawiały, że formułę felietonu – tekstu osobistego i „niezobowiązującego” – Jerzy Kwiatkowski z właściwą sobie lekkością nagminnie przekraczał. Niewielkich rozmiarów – żadnego gadulstwa, a tym bardziej nudy – jego felietony cechowały się aktualnością i ważkością merytoryczną. Autor nie pochlebiał nawet wpływowym zoilom. Przykładem polemiki z Arturem Sandauerem: „Gafy Artura Sandauera dostarczyły mi kiedyś materiału do sporego felietonu”, pisze, polemizując z publikowanym w odcinkach w „Polityce” w 1979 roku tekstem Sandauera, zatytułowanym *Ewolucja poezji*

polskiej 1945–1968 (debiuty powojenne), czy wytknięcie obskurantyzmu Edwardowi Redlińskiemu, który w rozmowie w 1977 roku z Teresą Krzemień na łamach tygodnika „Kultura” zżyma się na „klasyczną ramotę” w teatrach, czyli „wystawianie relikwii, ekshumowanie czcigodnych trupów Szekspirowskich, Fredrowskich, Słowackiego, Wyspiańskiego i wielu innych”. Takie to były czasy, o takie to sprawy wówczas się spierano. Nie zagubił mi się podczas przeprowadzek tom *Felietonów poetyckich* Jerzego Kwiatkowskiego opublikowany w 1982 roku. Właśnie po raz kolejny wpadł mi w ręce, kartkuję go i zachłannie czytam. Zdarzyło mi się powiedzieć do znajomych krytyków i poetów, że bardzo w naszym obecnym piśmiennictwie – bo przecież nie sposób nazwać go życiem literackim – brakuje kogoś takiego, jak właśnie Jerzy Kwiatkowski. Uważny, czujny, darzony rzeczywistym autorytetem. Jest ktoś zdolny go zastąpić?

Hańba domowa, jedna z najważniejszych książek, jakie powstały po wojnie. W 11 numerze „Twórczości” z 2022 roku ciekawy szkic Wiesława Ratajczaka o Jacku Trznadlu i *Hańbie domowej* właśnie. Tadeusz Konwicky odmówił Trznadlowi udzielenia wywiadu, dlatego w książce świeci nieobecnością. Odnosząc się do swojej odmowy, Konwicky miał po latach powiedzieć, cytując za Ratajczakiem: „kiedy zobaczył Trznadla we własnej osobie: – Nie lubię mężczyzn z grzywką”. Jeszcze teraz słychać rechot tych, którzy uznali, że Konwicky zabłysnął dowcipem i że taka szpila Trznadlowi za „kwestionowanie autorytetów” się należała. Bo przeszłość może być jasna, ciemna, mętna, brudna – niech sobie będzie, jaka chce – byle jej nie ruszać, nie dociekać, jaka była naprawdę, prawda to bowiem niebezpieczna sprawa.

Higiena języka (w mowie i piśmie) i higiena ciała. Czy są od siebie odległe?

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (14)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Zmarł Charles Simic. Jeden z poetów, po którego wiersze (rzadziej) i tom *Wonderful words, silent truth* (niekiedy z podejrzaną regularnością) przez wiele lat ochoczo sięgałem, tak mnie cieszyła ta lektura... Teraz leży on na biurku mojej córki, właśnie go jej na chwilę zabrałem, pod postacią *Madonn z dorysowaną szpicbródką*, w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka i wydaniu a5 z 1992 roku. W okolicach końca ubiegłego stulecia i na początku obecnego takie gnomiczne tudzież inspirujące formuły magiczne Simica, jak na przykład ta: „Los poety to los duszy w każdym mężczyźnie i kobiecie”, pozwalały mi odczytywać świat jako konieczny gwarant nadziei na wyrost i jako ustawiony we właściwym miejscu, w jedynej do przyjęcia perspektywie, mesjańskiej. Ta lekcja subtelnego *sfumato* dobiegła jednak końca – szybko, tak jak wszystko, co (jest) dobre. Ten urodzony w 1938 roku w Belgradzie serbsko-amerykański poeta zapisał również taką, niespodziewanie optymistyczną glossę: „Notatka dla przyszłych historyków: Nie czytajcie starych numerów »New York Times«. Czytajcie poetów”, ale tu już nie trafił, moim zdaniem, w dziesiątkę na tarczy w barze, gdzie podaje się w gąsiorach czerwone wino i knedle ze śliwkami, tylko w samo (widoczne i obnażone) czarne serce poety, który gdy chce dziś zwrócić uwagę na własne wiersze, nie może już tego uczynić, pisząc np. epopcję, lecz deliryczną odezwę, jak to uczynił urodzony trzydzieści dwa lata po Simicu Major Tom, który sprzedał świat, albo którego, jak w filmie braci Coenów, nie było. Po tym ostatnim poecie-kapitanie z popularnej piosenki, formuła autora wiersza *Charles Simic*, i taki wiersz bowiem, kończący się wykrzyknikiem i kleksem, Simic zostawił nam w spadku na czas nieokreślony, musiałyby brzmieć mniej więcej tak: „Notatka dla filantropów, polityków i aktywistów: Czytajcie stare numery »Gazety Wyborczej«. Nie czytajcie poetów”. Oto jest pytanie: jak połączyć żabę, która czuje się najlepiej w garnku, na letnich wodach przyszłości?

Próbka stylu zdesperowanego poety-renegata, pobrana z lokalnej prasy, ma taki wynik: „Do wszystkich posłanek i posłów, którzy zostaną wybrani w 2019 roku do Sejmu. Szanowni Państwo, obojętnie jaką opcję polityczną reprezentujecie, pamiętajcie, że czas, w którym przyjdzie Wam zasiadać w Sejmie, będzie czasem wyjątkowym w historii Ziemi, i że to, co postanowicie, będzie decydowało o życiu i zdrowiu Waszych dzieci i wnuków. To najbliższe lata pokażą, czy chcemy zatrzymać nadchodzący klimatyczny kataklizm. To, co zrobicie w czasie Waszej kadencji, a także i to, czego w tym czasie nie zrobicie, będzie odczuwane przez młodych. Także przez tych zbyt młodych jeszcze, aby w tej chwili głosować, tych, którzy będą dorośli w czasie katastrofy. Pamiętajcie o tym, co im zostawiacie. Każde kolejne drzewo, które wycinacie, rośnie nie tylko w Waszym ogrodzie, rośnie także w ogrodzie Waszych dzieci i wnuków. Nie jestem ich głosem, ich głos jest donośny, a będzie jeszcze silniejszy. Słysząc go już teraz w każdym kraju, mówi: Ratujmy planetę. Okażmy solidarność, tylko solidarność może nas ocalić”.

Ten sam lokalny dziennik przynosi także wywiad z artystą, jakiego mu udzielili. Oto fragment: „Temat zmian klimatycznych został bardzo upolityczniony i jeśli ktoś zabiera głos w tej sprawie, to jest automatycznie postrzegany jako osoba, która opowiedziała się po jednej ze stron sceny politycznej. Miał pan taką refleksję z tyłu głowy? – Ach, oczywiście mam to w nosie. Kiedyś poeta Josif Brodski powiedział: »Nie mam poglądów politycznych, tylko nerwy«. To mnie akurat wnerwia w tej całej sprawie. Nie można być ślepym albo udawać ślepego, albo twierdzić, że coś jest czarne, gdy jest białe i odwrotnie. Nie można chociażby wycinać drzew, bo każde z nich rośnie dziesiątki lat i każda taka strata jest nieodwracalna. Nie pomoże nawet posadzenie nowego, choć to szlachetne. Oczywiście, nie znam się na klimacie, ale czuję to skórą i prawdopodobnie zaraz znajdzie się w Polsce tysiąc specjalistów, którzy zaczną kpić i udowodniać coś zupełnie przeciwnego. Są u nas tacy mędracy, którzy kpią z Greta Thunberg. Nie będę tego komentował, bo wydaje mi się, że ci ludzie nie zasługują na żadne słowo. Poza wszystkim to jest taki zakład pascalowski. Możemy udawać, że nic się nie dzieje i czekać na katastrofę, albo możemy coś zrobić. Nic na tym nie stracimy, a możemy tylko zyskać”...

Zgadzam się, nerwy mogą być przyczyną wielu groźnych chorób, szczególnie jeśli w ich podstępną sieć wpadnie cała planeta. Ale dlaczego o tym pisze ja? Bo mi pierwszy raz poeta współczesny zaimponował obywatelską postawą. I tym, że był w stanie w jedną wypowiedź, skądinąd szlachetną w charakterze, gdyż w obronie – całkowicie bezbronnej bez ingerencji ludzkiej – planety A (bez

planety B), wstawić Brodskiego, którego poważam, obnażony nerw duszy własnej, niemytej i nagiej, albo, jak w scenie *Maratończyka*, nerw oderwany od zęba mądrości, bo w tejże, wiadomo, czyste utrapienie; zaraz potem drzewo symboliczne oraz – w charakterze tancerki na piętrowym i ekologiczno-biologicznym torcie, który podnosi ciśnienie armatorom wieżowców pływających po Wenecji – Thunberg, Gretę ze Szwecji, zaraz przed twórcą *Myśli*, w oryginale: *Pensées. Si! Yeah! Oui!* Tak! Zakład pascalowski jako *modus operandi* w walce z ociepleniem? *Chapeau bas!* (Prosimy przez moment wstrzymać oddech z zachwytu!) Ten jednak Pascal, Blaise, który zakładał się z niezmordowaną córką śpiewaczki operowej o byty i niebyty dręczonego globu (w purpurowym błękitcie) w jednej niepodzielnej wypowiedzi wyrwanego z jawy przez bezdech pieśniarza, co może warto przypomnieć, miał wyjątkowo czujny sen i – wbrew pozorom – poglądy polityczne.

„Talmud. »Wedle naszej tradycji, kiedy Mesjasz przyjdzie, dom Boży, przeznaczony na rozpowszechnianie Jego słowa, będzie pełen plugastwa i nieczystości, a mądrość pisarzy będzie skażona i zgniła. Ci, którzy będą się lękali zgrzeszyć, będą potępieni od ludu i obwołani jako szaleńcy i bezbronni«”.

Blaise Pascal, *Myśli*, tłumaczył Tadeusz Żeleński (Boy)

Co do Mesjasza, to, wiadomo, widziano Go już w Samborze... (Więc jest nadzieja). Gretę też zauważono, tyle że po tej stronie świata bez szans na odkupienie, w Lützenrath. Była całkiem jednak *up to date* i na czasie (jak to dobrze, że Major Tom nie przykleił się butaprenem do *Dziewczyny z perłą* w Mauritshuis! Ma teraz szansę nadrobić zaległości i zagrać wyżej, np. przybijając się do *Sądu Ostatecznego* w wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych – będzie miał bliżej na elektrycznym rowerze). Wróćmy jednak na chwilę do aresztowania Greta Thunberg przez niemiecką policję, jakie odbyło się tydzień temu ku uzasadnionemu oburzeniu wolnego świata. Akcji zatrzymania tej najbardziej znanej aktywistki dokonano w Nadrenii-Westfalii, dokąd przybyła, zapragnąwszy wesprzeć autorytetem i czynem aktywistów protestujących przeciwko uruchamianej przez koncern energetyczny RWE kopalni. Aresztowania dokonano, twierdzą teoretycy spiskowi spod znaku Alberta Einsteina i ciemnej gwiazdy jego młodszego brata, Ezechiela, dwukrotnie, urządzając najpierw sesję zapoznawczą i zdjęciową, chwilę zaś po niej – filmową. Najpierw odbyła się więc próba generalna aresztowania, podczas której dobrodusznicy policjanci i wścibscy dziennikarze mogli uwiecznić Gretę, przytrzymaną bez śladu przemocy za ramiona przez mundurowych, posługując się

telefonami lub aparatami, w świetle dziennym lub przy pomocy fleszy. A to – do woli. Potem, ale już podczas właściwego spektaklu, przy włączonych kamerach telewizyjnych, nieustraszona bojowniczką o wolność i demokrację została wyniesiona z otwartego pola semantycznej rozgrywki przez świadomych obowiązków stróżów prawa, o czym świat się dowiedział z głównego wydania wieści – tam zaś aresztowania (*Verhaftung*), jak zapewniają praktycy spiskowi z telewizji publicznej ARD i ZDF, dokonano z przekonaniem, na całe serio, bez mrugnięcia trzecim okiem kamery oraz z antyczną precyzją sceniczną, zachowując jedność bez strat: miejsca, czasu i akcji. Kto widział obie relacje, winien otworzyć usta ze zdumienia i zapytać, myślę sobie skromnie, pomiędzy Scyllą a Charybdą, w jaką *katharsis* się tu gra? Maczała w tym pozbawianiu nas ślebody palec wskazujący niewidzialna ręka farbiarza czy doświadczenie (*Erfahrung*) pszczelarza, który chce spryskać królową życiodajnym, jak widać, mRNA? *Deep fake*? Ręka rękę myje? Czyja? Kogo? Kiedy? Jak? Gdzie? W każdym razie, Greta, za którą stoi się (murem) i idzie na *skolstrejk för klimatet* (jak za mundurem), po traumatyzujących jej młodą duszę utęsknioną wydarzeniach udała się pod Alpy, do Davos, zacierając (*selbstverständlich*) trop węglowy za sobą, na obrady Światowego Forum Ekonomicznego, ażeby dokonać tam samokrytyki, która jest niewątpliwą składową zrównoważonego rozwoju. Sprawa jest jednak nazbyt poważna (*ernsthafte Lage*), by wyłącznie kpić i o drogę ani razu nie odważyć się zapytać, gdyż bowiem w jakąś stronę takie praktyki, bez dwóch zdań podzielonych i sprzecznych, zmierzają.

„Skończyło się dzieciństwo. Baczość! – mówi pani”. (*Jetzt ist aber wirklich Schluss*). Dzięki apokaliptycznemu legionowi pożytecznych influencerów, którzy są podobni w wyrazie do naszego twórcy, utalentowanego i wiedzącego, skąd się wiatr bierze, będący odpowiedzią, a którzy ze świadomością tego, co czynią, lub bez tej świadomości (co gorzej, bo to wykracza poza zwyczajną działalność zawodową i zmusza do pogłębionej refleksji nad charakterem), są uwiarygodnione interesy jednego procenta najbogatszych ludzi na świecie, którzy (kto bogatemu zabroni?) postanowili poddać dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji zresetowaniu w ramach konieczności dziejowej, która się im odsłoniła i nadal odsłania – jako IV Rewolucja Przemysłowa (nie czepiam się, przestaję być złośliwy, nie zazdroszczę, przepraszam, mój skromny talent nie na takie wykony). Żeby nie był tu źle rozumiany: niektórych ambicje sięgają dalej i po znacznie więcej niż moja. Nie wypada tych ambicji lekceważyć. Zostałem wychowany w duchu tolerancji, przede wszystkim religijnej, a ochrona klimatu przed zmistyfikowanym ociepleniem oraz związane z tym ruchy, również kwestionujące wspólne

dobro, jakim jest słoneczna energia czy światło, bo jest ono szkodliwe dla Ziemi, co ma *hic i nunc* miejsce, jak się usłyszy z polityczno-decyzyjnych ust, by na tym poprzestać i nie przedstawiać tu litanii pomnożonych bez potrzeby bytów, staje się neopogańską religią o odwróconych znakach. Wątpię, czy będziemy po tej religii płakać, jak Herbert po Albogensach w poruszającym eseju, co chuchając na lód wypowiadam, albowiem wychodzę z założenia, że mimo tego, iż będzie to trudne, ocalejemy pod tą wzbierającą nam nad głowami falą. Tolerancja, o jakiej przed chwilą wspomniałem, nie zabrania jednak pełnego dostępu, nawet do banału, który tu ku pokrzepieniu odnotowuję: najróżniejsi poeci są pośród nas... Jedni z nich preferują wieczory autorskie po dobrej kolacji u przyjaciół w domu, inni pragną jak Cisowianki spotkania autorskiego – a czemu nie? – w Davos, bądź w Splügen, który poprowadzi Harari w autorskim programie pod tytułem *LOVE IS LOVE*. A może: niezrównana Natalie Portman, bo jako była studentka Jorie Graham wie, co to natchnienie?

Bjørn Lomborg żadnego spotkania autorskiego poecie nie poprowadzi, jest przewodniczącym Konsensusu Kopenhaskiego i gościem w Instytucie Hoovera Uniwersytetu Stanforda, a także autorem książki *False Alarm: How Climate Change Panic Costs Us Trillions, Hurts the Poor, and Fails to Fix the Planet (Fałszywy alarm: jak panika związana ze zmianami klimatu kosztuje nas biliony, szkodzi biednym i zawodzi, jeśli chodzi o naprawę planety)*. Kilka dni temu zabrał głos na łamach „The Wall Street Journal” w artykule *Partyzanczy „weryfikatorzy faktów” rozpowszechniają dezinformację, która dotyczy zmian klimatycznych*. Oto jego fragment:

„Opublikowałem solidne statystyki dotyczące populacji niedźwiedzi polarnych, a Agence France-Presse nazwała je »wprowadzającymi w błąd« [...]. Na początku tego miesiąca napisałem rzetelny post na Facebooku o rosnącej populacji niedźwiedzi polarnych. Post podciął alarmistyczne narracje klimatyczne, więc został błędnie oznaczony jako fałsz. Aktywiści od dziesięcioleci wykorzystują niedźwiedzie polarne jako ikonę apokalipsy klimatycznej, ale dokładne dane pokazują, że ich liczba nie maleje, tylko rośnie. Oficjalne szacunki wiodących naukowców, badających te zwierzęta – Grupy Specjalistów ds. Niedźwiedzi Polarnych w ramach Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody – określają obecną populację na świecie na 22 000 do 31 000. To więcej niż 5000 do 19 000 niedźwiedzi polarnych, co naukowcy oszacowali w latach sześćdziesiątych”.

Bjørn Lomborg, *Partisan 'Fact Checkers' Spread Climate-Change Misinformation*, „The Wall Street Journal”, 26.01.2023

Patrząc z niemieckiej perspektywy, tę ich IV Rewolucję łatwo uznać za pewien model czy – roboczą, ale przecież: do przyjęcia – definicję państwa całego; globalnego, bądź, bo na dwoje babka wróżyła, światowego – i dobrze się ta IV rewolucja przemysłowa z I, II, III i – wreszcie – IV Rzeszą po niemiecku kojarzy. Takie państwo w języku panów (*Herrenvolk*) to nie wyłącznie rzeczownik o tysiącletniej ambicji (*das Reich*), bo to również ogromne bogactwo w przymiotniku (*reich*), który prostuje się przed nim w szeregu, znając swoje miejsce, wartość i przeznaczenie, zwarty i, niczym Prusak w spiżarni, gotowy. I jak tej rzymskiej czwórki nie pokojarzyć z Davos, gdzie króluje profesor Schwab, do którego w gościnę zajeżdża ponad tysiąc atletów, ba, któremu hołdy od lat składają ministrowie, kancle-rze, myśliciele i konkwistadorzy (także w tym roku), artyści, szejkowie, menedże-rowie, wizjonerzy i aktorzy, *männlich*, *weiblich*, *diverse*, i gdzie tyle objągającej się o uszy mowy o wirusach, depopulacji, transhumanizmie, kontroli, ba, podskórnej inwigilacji (*Unter deiner Haut, Schatz*), terapii genowej, czyli szprycy, mającej powstrzymać dżumę, wyczipowywaniu, podłączaniu do internetu (najpierw rzeczy, potem ciało i dusz), pieniądzu cyfrowym w jednym banku, jako jedynej godnej miana wolności drodze do słusznego przebycia, świadomości roju, sztucznej inteligencji, nowej religii i czego tam klimatycznego nie omawia się jeszcze...? Kiedyś trzeba było poprosić wyrocznie o znak, dzisiaj Schwab niepytany odpowie, że masz w najbliższych dwóch latach do przeżycia niespodziewany *cyberattack*, mocny jak rakija w Primošten (bydlęta klękają, no, cuda ogłaszają). Wiadomo, postęp jest i nauką, pracą i zachowaniem – służymy tobie ojczyzno! Ot, taki bez narodów, ale narodowy socjalizm 2.0 i w pierwszym programie. Oni – rasa panów. My – podludzie (*Untermenschen*). Oni – aśmiertelni, jak się postrzegają sami, gdyż wszystko poza mózgiem przeszczepić i przetoczyć się da, będą, jak wysypał się niedawno Bezos, właściciel Amazona, ciągnąc i po osiemset lat. My – ledwie może siedemdziesiąt, podpięci, mokre twarde dyski, do sieci *metaverse*, którą wysiaduje Zuckerberg. Luz-blues. W niebie same dziury. Nie szczepisz się, to nie bądź bezpieczny, Bill Gates pamięta, nawet jeśli teraz mówi, krótko po sprzedaży akcji Biontechu, że szczepionki to błaga. Nie weźmiesz jednak dawki w ramię („jeżeli zapomnę cię Jerozolimo, niech zdrętwieje prawica moja”), córa Babilonu wleje ci ją do zupy... Mówiąc wprost: cała działalność Światowego Forum Ekonomicznego (WEF) to właściwie całkowicie transparentna, jawna i poważna ekspozycja, koordynacja i planowa realizacja idei rewolucji przemysłowej, czy, jeśli ktoś ma alergię na określoną terminologię, Wielkiego Resetu, w oku którego znajdujemy się od kowidowego AD 2019 – ten cyklon, jeśli powiedzie się ordynowana dewastacja, bez której nie wyłoni się (takie to *ordo ab chaos*) Nowy Porządek Świata (NWO),

ustanie w 2030 roku, o czym można poczytać, ale trzeba ze zrozumieniem... Ważnym czynnikiem w tej przyjętej strategii będzie, w jakim stopniu idee zrównoważonego rozwoju pozwolą się dzięki nam wprowadzić w życie – a jesteśmy, by bezradnie przypomnieć, siłą, buforem, demosem albo najzwyczajniej i niezwykle: czynnikiem ludzkim. Ich pomysłem na nas jest pieniądz cyfrowy z ograniczoną datą przydatności do spożycia, chorobowy paszport cyfrowy, bez którego nie wyjdziemy za szlaban na strzeżonym osiedlu, *lockdown* dla obrony klimatu i opodatkowane oddychanie oraz: *smartcity*, szczepionki w kredycie i na abonament, puszka zmodyfikowanej Pandory na pocieszenie, wywłaszczenie (*Enteignung*) i, konieczny w raję na ziemi, niepojęty, ale z roku na rok coraz to bardziej doskonały, nadzór nieskończoności, w skromnym skrócie: AI. Jeśli oni nie chcą za żadne skarby, z wojną włącznie, zmarnować tego kryzysu, nie zmarnujmy go dla nich my – usłyszałem kilka dni temu od stojącej za mną w kolejce do kasy pani, kiedy, ku jej zniesmaczeniu, płaciłem kartą. Gotówka to nasza wolność, niech pan zapamięta, mówiła mi w plecy... ale kto słucha o tej porze świata córki Priama do końca, nawet jeśli jest jak Anna Magnani w oczach Stempowskiego?

Wprawdzie wytężone prace nie ustają, by zdążyć na czas implementować tę Agendę, jednak odnotować należy, że realizacja tego niebywałego w historii *homo sapiens* planu się opóźnia – nie jest przy tym istotne, że opóźnienie to sugerują takie programy unijne, jak „Fit-for-55”, lecz to, że wskutek procesów deglobalizacyjnych, nie do końca przewidzianych, prace nad *Artificial Intelligence*, czynnikiem kluczowym dla pomysłowości wdrażanego projektu, uległy znacznemu opóźnieniu. Jacek Dukaj, niewątpliwy znawca tematu, obstaje w wywiadzie z Jackiem Bartosiakiem w ramach thinktanku *Strategy & Future*, że opóźnienie to wyniesie, szacunkowo, około dwadzieścia lat, będąc, w moim sceptycznym przekonaniu, optymistą... Obym to jednak ja miał pomyłkę, a on – rację! Według tego szacunku bowiem mamy trochę czasu przed całkowitym zniewoleniem, gdyż głupcem jest ten, kto twierdzi, że AI nie zostanie użyte przeciwko ludzkości. Jeśli na poważnie weźmie się w tym kontekście pod uwagę owe procesy deglobalizacyjne, to, również moim zdaniem, nie należy się cieszyć, gdyż to, co, być może, nie powiedzie się globalnie, wejdzie inaczej w nasze życie – obywatelom Unii Europejskiej, jak robak, podczas głębokiego snu pod lipą, w niedosłyszające ucho... Dowodów nie trzeba długo szukać, wystarczy posłuchać, o czym mówił się tej zimy na Alpach w Davos – i kto mówił najgłośniej. Swoją drogą: ciekawe, że tak mało kto poświęca temu uwagę? A przecież pierwsza dama Unii Europejskiej, Ursula von der Leyen, według strony WEF i w tłumaczeniu z angielskiego,

to Członek Rady Powierników Światowego Forum Ekonomicznego; przeciwko niej toczy się dochodzenie w związku ze sprawą jej niesławnych prywatnych esemesów, które wymieniła *pro publico bono* z kolegą Albertem Bourlą, szefem Pfizera. Esemesy zniknęły, a o miliardach w dobrym towarzystwie się nie dyskutuje. Za to dużo miejsca poświęca się wolności słowa, czyli cenzurze, której szczególne zasługi na tym polu z nieodpartą swadą omówiła Czeszka, Věra Jourová, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej i komisarka od *Spraw Wartości i Transparencji* (sam Szwajk by się w tej terminologii pogubił). Słyszałem też kanclerza Niemiec, Olafa Scholza, który zaproponował Niemcy na przewodnią siłę, która jako jedyna, zdolna będzie uleczyć wszystkie przeszłe, terażniejsze i nadchodzące choroby na terytorium Unii (*Viren raus!*). I co: nie miał racji? Że wolność to niewola? Ano miał. I to nie jedną. Bo jedna prawda w języku Horacego, Lukiana i Wergiliusza nazywa się *acheta domesticus*, druga zaś *alphitobius diaperinus*. Będziemy obie jeść, te pełnobiałkowe prawdy, bo innego końca świata nie będzie, garściami. Człowiek jest tym, co je – mawiał Feuerbach, o czym UE zdaje się też wiedzieć. Dzięki temu, że nie trawimy chityny, będziemy chorować, na skórę, płuca i raka jelit, alergicy odjadą, odpadną weganie, dystopia i atopia zrobią z kłamstwa, spoko, jak mówi kafkowski K., istotę porządku świata. I wreszcie będziemy się mieli z pyszna. Taka nasza *modernità liquida*, utopić się można, wystarczy łyżka wody lub do połowy pełna szklanka robaczywego piwa. Ale są też dobre strony tej odgórnego regulacji – na pewno ilość dwutlenku węgla, jaki emitują Chiny, Stany Zjednoczone i Indie, solidnie się obniży, kiedy będziemy papusiać smaczne insekty. A może również i jakiś odważny partyzant prawdy na pamiątkę tej regulacji machnie ze trzy oktawy albo wiekopomną odę?

„Robaki w makaronie, świerszcze w pizzy: to będzie możliwe w przyszłości. Nowe przepisy UE zatwierdzają w styczniu dwie nowe formy dla owadów jadalnych. Jedni są zniesmaczeni, inni chwalą jedzenie przyszłości [...]. Owady są postrzegane w UE jako nowa żywność. Jeśli firmy chcą je sprzedawać, składają wniosek o pozwolenie. Następnie Komisja Europejska poddaje je intensywnej ocenie bezpieczeństwa przez Europejski Urząd do spraw Bezpieczeństwa Żywności (EFSA). Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) ponad 2100 gatunków owadów jest uznawanych za jadalne dla człowieka. Dwa z nich od 2021 roku są zatwierdzone jako żywność w Unii Europejskiej: mączniak i europejska szarańcza wędrowna. Teraz, wraz z nowymi przepisami UE, dodano świerszcza domowego i chrząszcza pleśniaka zbożowego [...]. Zasadniczo żywność z zawartością owadów jest uważana za zdrową i jednocześnie za żywność przyszłości [...].

Ekspert konsumencki Krehl ma nadzieję, że rozwój będzie szedł w tym kierunku. »Jako żywność bogata w białko i składniki odżywcze mogę ją tylko polecić«. »To zrównoważona żywność, która wytwarza mniej emisji CO₂, na przykład«. Zaznacza jednak również, że bardzo wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Należą do nich na przykład regulacje dotyczące farm owadów w celu zapewnienia, że hodowane tam zwierzęta nie trafiają do środowiska, czy też regulacje dotyczące tego, czym karmione są świerszcze lub koniki polne przed ich przetworzeniem”.

Focus-online, *Nowe owady zatwierdzone w żywności – co musisz wiedzieć*, 24.01.2023

Wywiązać się z wiersza

Tom Urszuli Koziół *W płynnym stanie* wydany w roku 1998 – potwierdza na swój sposób tezę o osobnej wrażliwości „pokolenia 56”, którego najbardziej interesującymi przedstawicielami wydają się dziś Stanisław Grochowiak, Halina Poświatowska, Andrzej Bursa czy Joanna Pollakówna. Jest też wyraźnym znakiem przesilenia czy zmiany perspektywy poetyckiego widzenia świata – czego sygnałem jest mocny dwuwiersz z cyklu migawkowych, przywołujących technikę haiku utworów:

raz po raz usiłuję wywiązać się
z wiersza
który mi się uchyla

Ten dwuwiersz uruchamia istną lawinę skojarzeń, zanurza nas w samym środku, w centrum debaty o literaturze, o poezji przede wszystkim. Bo cóż to znaczy tylko to: „wywiązać się z wiersza”? Wywiązać się z obowiązku napisania wiersza? „Wywiązać się”: uwolnić z pęt mowy związanej jaką jest wiersz (co przypomina marzenia Miłosza o „formie bardziej pojemnej”, coraz zresztą żywsze i u innych twórców, by tylko przywołać Macieja Cisłę)? A jeśli to tylko „wywiązanie się z (obowiązku napisania) wiersza”, to wobec kogo? Wobec niego samego? Wobec publiczności? Wobec historii literatury? I dzieje się to wszystko „raz po

raz” – wysiłek, próba, zadanie są wciąż na nowo podejmowane: czyż nie przypomina to postulatów Przybosa o wciąż nowym początku poezji i w poezji? Ale tu nawet początek nie jest możliwy, gdyż wiersz temu, kto sprostać mu usiłuje, „się uchyla”. I co oznacza owo „uchylanie się” wiersza komuś? Czynić unik? Otwierać się, ale niezupełnie (jak drzwi, które się uchylają)? To, oczywiście, tylko pierwsze pytania uruchamiane przez lekturę tego wiersza, który nie jest wierszem, gdyż ciągle, raz po raz, staje się wierszem, jak w zakończeniu innego utworu, *Pliszki*: „Nie umiem dokończyć tego wiersza // dokończ go za mnie” – wiersz realizuje się w jakimś „pomiędzy”, w napięciu między, nazwijmy to uczonymi terminami, nadawcą i odbiorcą. I tak oto odnajdujemy się w środku kolejnego pytania zapisanego w otwierającym tom utworze zatytułowanym *Znakiem wody*:

Czym jestem trwając płynnie w Pomiędzy niestałym?

Pytanie iście heraklitejskie i zapewne nie od rzeczy byłoby w kontekście odwołującej się do potęgi żywiołów pierwszych – do owej *prote hyle* poszukiwanej przez starożytnych – poezjozofii Koziół przywołanie imienia tego właśnie myśliciela. To „płynne trwanie” zapewniające ciągłość tego, co przemijalne, stanowi o swoistym, nie wyzbytym wszak lęków, optymizmie poznawczym tej liryki. Z kolei

jej ciągnięcie ku formom krótkim, aforystycznym, „fragmentarycznym” – to jakby nawiązanie do spuścizny presokratyków: spuścizny zresztą wciąż za sprawą losu uzupełnianej – właśnie trwa w Niemczech rekonstruowanie wielkiego poematu Eurypidesa *Fizyka*, którego tekst w niemal sproszkowanej formie został przypadkiem odkryty w jednej z bibliotek.

W przestrzeń pamięci przyszłych przemian wprowadza tom *Przelotem* (2007). W poincie tytułowego utworu czytamy:

rozdzielę się ze sobą
już nie będę osobą
a me imię bez brzmienia
zmielą wargi kamienia.

Nim jednak to ostateczne pożegnanie ze sobą wybrzmi w milczeniu kamiennej mowy, wciąż jeszcze trzeba rozszyfrowywać nadawane przez świat komunikaty zapisane jednocześnie „na skrzydłach motyla” i „w nierównych zmarszczkach [...] kałuży”, odgadywać sensory snów – tym bardziej że „sen wyrusza na łowy / ciemnej materii”, która (jak powiadają nas naukowcy) tworzy niepoznawalną wciąż dla nas masę wszechświata. I nic nie szkodzi, że „coś chwila po chwili / wymazuje mnie cierpliwie z *praesens*” i wystawia „za próg / wiadomego” – w gruncie rzeczy już tu i teraz potrafimy dostrzec to, co „niewiadome”, co skryte w niewidzialnej strukturze kosmosu:

przez srebrne płoty galaktyki
skaczą niczyje czarne koty
z ich oczu bije gwiazdny blask

Ten kosmiczny wymiar naszej egzystencji, niedostrzegany na co dzień, zakorzeniony jest jednak w detalach doświadczeń powszechnych, które tylko niekiedy ujawniają swoją niezwykłość – i wtedy nagle potrafimy dostrzec „piękną główkę / gwoździa / wbitego w deski sopockiego mola”. Nad tym wszystkim jednak króluje *thema regio*: „wymazywanie się z bytu”. Tu następuje zniesienie wszystkich sprzeczności:

noc zrównała szczyty gór
z głębią doliny

Rzecz w tym, że to wszystko rozgrywa się w przestrzeni wiersza, w poetyckim uniwersum, którego reguły zdają się odmienne od tych, które rządzą w świecie „poznawalnym”: „słowo zakreśla przestrzeń / między wyrazami // w tę przestrzeń wnikają myśli / kreśląc asymetryczne znaki zapytania”. Te znaki zapytania są hieroglifami, zapisem niepokoju, niepewności tego, co będzie „potem”. Odsłania się bowiem nagle „przes- / twór niebieski / monstrum”. Póki co, trwa – „skrajem wiersza” – nasz „przelot” przez życie. Być może wszystko to jednak „znikopis” (neologizm z wiersza otwierającego tom). Ale nawet jeśli tak jest, to przecież poezja, zmagająca się z (ciemną) materią języka, jest nieustannym, bez końca, dochodzeniem do siebie.

Kolejny zbiór Urszuli Koziół, *Ucieczki* (2016) to tom złożony z dwóch konstelacji utworów, z których pierwsza, *Brzegiem* – pomijając wiersz książkę otwierający – jest lamentem, trenem poświęconym zmarłemu mężowi, druga zaś, *Ucieczki*, kondycji współczesnego świata. Pierwszy

cykl kontynuuje długą tradycję polskiej liryki żałobnej, do której, już współcześnie, należą takie zbiory jak *Biały rękopis* Anny Kamieńskiej czy *Strzęp całunu* Andrzeja Mandaliana. Intensywność przeżycia wymaga tutaj szczególnej dyscypliny artystycznej, skupienia pozwalającego na wyrażenie owego przeżycia tak, by stało się zadaniem nie tylko emocjonalnym, lecz również intelektualnym dla czytelnika, tego więc, kto ma w nim współuczestniczyć. Tak też jest choćby w wierszu *Ni mniej ni więcej* relacjonującym specyfikę relacji, jakie po śmierci bliskiej osoby wciąż pozostają żywe:

To co było
trwa nadal
ale jest jakieś inne

inne jest to
albo my
staliśmy się jakoś inni

Zarówno „to”, jak i „jakoś” pozostają nieokreślone, niepochwytny, ale zarazem dojmująco realne, tyle że owa realność wymyka się jej umiejscowieniu w czasoprzestrzeni: „to trwa jakby inaczej / jakby gdzie indziej // jakby nie tu i nie teraz”. Owo „jakby” jednakże sprawia, że „nie tu i nie teraz” jest jednocześnie *hic et nunc*. Mamy do czynienia z przenikaniem się dwóch realności, z których jedna jest oczywista i pochwytna, druga niedookreślona, co sprawia, że narratorka musi ze swoim „ja” przejść na „ty” – „i mówić o sobie »ona«”. Ten wiersz – podobnie jak większość pozostałych składających się na ten cykl – jest przykładem poetyckiej

wirtuozerii, dyskretnej gry lingwistycznej prowadzonej na granicy życia i śmierci. Ta granica okazuje się też przenikalna w doświadczaniu doraźnej egzystencji, jak w wierszu *Zapatrzanie*: „jestem bezmowna bezimienna / jest mi dalekosiężnie / bezbrzeżnie / ponieważ jest mi bezgniewnie i bezgranicznie // wypełnia mnie nieistnienie / i bezistotność”.

Tym poszukiwaniom towarzyszy w drugiej części zanurzenie w tym, co doraźne, lecz przecież, mimo świadomości, że i to przemienie, bolesne, a często trudne do zrozumienia: ogrom zła (terrorizm, uchodźcy), epatowanie pozornymi prowokacjami („Niektóre poetki rozpisują się o waginie”). W tytułowym poemacie tomu, *Ucieczki* pojawiają się ci, którzy „zbiegli z Syrii zbiegli zewsząd”, ich los zaś jest tożsamy z losem wszystkich uciekinierów i bieżących ostatnich stu z górą już lat:

jedynie mur i morze
potrafią zmienionych w dym w cień
i plusk
pochować
no i Ten gdyby był
jedynie On
mógłby okryć ich płaszczem
swojego miłosierdzia
i ustrzec przed złowrogą godziną
w której
„człowiek człowiekowi zgotował ten
los”

Ten poemat jest swego rodzaju kontynuacją wcześniejszych utworów Koziół, takich jak *W rytmie słońca* czy *W rytmie korzeni*, w których próbuje poetka wpisywać aktualne doświadczenia

w szerszą panoramę ludzkiego losu ogólnie pojmovanej współczesności.

Z kolei *Klangor* (2014) – to poświęcony zmarłemu mężowi poetki cykl utworów żałobnych dokumentujących nie tylko utratę, lecz przede wszystkim samotność. Zamykający książkę *Epilog* świadczy o kreowaniu swego rodzaju, rozpisanego na poszczególne liryki, poematu. Nie jest to w twórczości tej poetki zjawisko nowe – dość przypomnieć głośny tom *W rytmie słońca* czy, jeszcze wcześniejszy, *W rytmie korzeni*. I przyznam, że z pewną nieśmiałością przystępuję do omówienia tego zbioru po przeczytaniu jego słów ostatnich:

czy dusza
czy tchnienie
czy całe moje ego
także podlega prawom rozkładu
podobnie jak ulegają roztrząsaniom
i rozbiorom
słowa
zescibolone w ten choćby wiersz?

To pytanie fundamentalne dla całego tomu: nieodgadniona kwestia istnienia „górných rejestrów bytu”, ku którym odsyłają dotykalne jak Hagia Sofia czy osmański barok „pomniki światłego ducha” w wierszu *Z podróży na Wschód*. Ku tym rejestrom kieruje człowieka refleksja nad przemijaniem, zarówno imperiów, jak i jednostek – z nadzieją, że się odnajdzie, jak w znakomitym *Wygaszaniu*, w przestrzeni, którą określa poetka jako „wielkie / i niepojęte NIC”. To, rzecz jasna, Nic mistyków, Nic, które jest wypełnieniem i spełnieniem. Poezja – gdy modlitwa nie daje pocieszenia (*Lizbona II*) – jest

jedną z tych dróg, która pozwala wierzyć w możliwość oczyszczenia się z doczesności i odnalezienia w obszarze pozornej anonimowości. Jeśli w jednym z wierszy odnajdujemy deklarację o pragnieniu zapomnienia własnego imienia, to dopełnia ją sytuacja naszkicowana w wierszu *Z wizytą*: „pukam do siebie / nikogo // dobijam się / nikt // dzwonię / nic”.

Klangor to jednostajny, głośny dźwięk, który wydają lecące wysoko żurawie. W tytułowym wierszu tomu dźwięk ten staje się rodzajem zaśpiewu żałobnego i wyrazem bólu: „boli mnie twój grób”, „boli mnie stół / skoro już bez vis-à-vis”, „boli mnie wiersz Hölderlina / w twoim przekładzie”, „boli mnie moje ciało / bez twojego ciała”. Kumulujący się, spiętrzający się ból – dopowiedzmy: w ostateczności jest to ból duszy – szuka pełni wyrazu, jest tropem medytacyjnym, za sprawą którego można odnaleźć „całe moje niebo / zakopane głęboko w ziemi”. Klangor staje się pieśnią o takiej intensywności odczuwania, która pozwala wyrwać się, wyzwolić z teatru doraźności, w jakim zajmujemy się „odgrywaniem wyuczonych aż do znudzenia roli / że się jest”, podczas gdy owo bytowanie okazuje się iluzją jedynie.

Dopiero życie w obecności śmierci kogoś bliskiego pozwala w pełni uświadomić sobie iluzoryczność bytowania i zdać sobie sprawę także z konieczności nieufnego traktowania słów, o czym mowa w wierszu *Inne oblicze* słowa: „miej się na baczności przed / słowem / wiersza nie da się pisać dzień w dzień od ósmej / do dwunastej / choć się go pisze nawet wtedy gdy się go nie / pisze / ale nie da się go pisać od tak byle pisać /

czasem / trzeba uciekać od słów". Pozostaje milczenie, w którym wiersz uzyskuje pełnię wyrazu.

W otwierającym tom *Momenty* (2022) wierszu *Melomonolog* powraca kwestia dwoistości poetyckiego – ale też egzystencjalnego – „ja”, która już w chwili narodzin nie musi być sprawą ślepego losu, lecz może być wyborem świadomym:

Wybrałam znak Bliźniąt
na styku z Rakiem
żeby się znaleźć i tu i tu
być w tym i w tamtym
z otwarciem oczu pojęłam też
że odtąd nigdy nie będę sama
bo na zawsze będziemy we dwie
ja widzialna i niewidzialna ja
ja i ja współistniejące

Owa dwoistość wyznacza pole subtelnej relacji pozwalającej na odkrycie innej osoby, a tym samym zdialogizowanie własnej egzystencji, co ma, rzecz jasna, przełożenie poetyckie: utwór okazuje się narracją wydobywaną z „bezsłownej magmy”. Druga „ja” „podpowiada mi wiersze / które tak piszę / jakbym nie ja je pisała / jakbym z bezsłownej magmy / pod czyjeś dyktando / spieszenie je przekładała / na znaną mi mowę”.

Być może owa „bezsłowna magma” jest stanem przedjęzykowej, uniwersalnej pramowy zdolnej pochwycić niewyraźną prawdę o świecie, jej „przekład” zaś stanowi owej prawdy językowe odzwierciedlenie, przy czym wiersz staje się zapisem tego, co – by posłużyć się formułą Barańczaka – zostało „ocalone w tłumaczeniu”. Konstruuje tu Koziół

przestrzeń dialogu wewnętrznego pozwalającego w sobie odnaleźć dla siebie samej kontrpartnera wytrącającego „ja” z poczucia stabilności i pewności, a samą poezję czynić dwu- lub nawet wielogłosową narracją. Podkreśla to pojawienie się trzeciego „ja”:

ja widzialne i niewidzialne
nie potrafią już
obejść się bez siebie
obie lubią przebywać ze sobą
ale u schyłku życia
skąd się wzięła ta trzecia
obca
złowroga [...]
raz chciałam
próbowałam oswoić ją wierszem
machnięciem ręki
na powrót wtłoczyła mi go
w zaciśnięte gardło

„Ta trzecia”, której obcość oznacza zakłócenie relacji i budzi niepokój otwiera przestrzeń lęku i niepewności, unieważnia poezję. Pojawia się pustka, próżnia, „która nas połyka / kęs za kęsem / [...] tu gdzie nikt mnie nie szuka / i nikt mnie nie woła”. Ale to nie oznacza nicości egzystencji tu i teraz, w świecie, którego realność przytłacza i który wzywa do otwarcia się na doświadczenie innych, jak w *Wyznaniu*:

Najwyższy czas żeby się ocknąć
Zbudzić
Najwyższy czasoprzestrzeni
Żeby oddalić się od samej siebie
Najwyższy czas wesprzeć tych którzy
są dzielni
Wesprzeć Ukrainę

Wiersz datowany jest na 28 lutego 2022 roku, cztery dni po inwazji wojsk sowieckich w Ukrainie. I choć ta wojna trwa od roku 2014, dopiero w tym momencie, gdy istnienie niepodległej Ukrainy stało się *casus belli*, kwestie dotyczące sensu egzystencji oderwane od kontekstu sytuacyjnego, dochodzą do głosu. Skupienie się na sobie jest snem, poezja jest złudzeniem, z którego budzi wezwanie w puencie utworu:

Najwyższy czas żeby być
RAZEM
OBYWATELE ODWAGI!

Żyje się w rytmie słońca, w rytmie korzeni, ale też w rytmie historii, a to oznacza nie tylko powinność „wywiązania się z wiersza”, ale też postulat wywiązania się wiersza i wierszem z powinności uczestnictwa w życiu, zaangażowania.

Leszek Szaruga

Urszula Koziół, *Momenty*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

Poezja jest partyturą

Krematoria III to siedemnasta książka poetycka Krzysztofa Siwczyka. Poprzednia, *Krematoria I / Krematoria II*, wyszła rok wcześniej (2021). Jak na tytuł zbioru wierszy, nazwa jest niekonwencjonalna, nawet niepokojąca. Na okładkach obu tomików widzimy fotografie kopalnianych hałd; dominują tu szarość, czerń, brąz i granatowo-fioletowe światło pochmurnego nieba. Autorem zdjęć jest sam poeta, który najnowszą

publikację zamyka dystychem pod tytułem *Szczytowe osiągnięcie*:

Powrót na Krematorię
Jak do siebie.

Krematoria nie jest tutaj rzeczownikiem rodzaju nijakiego w liczbie mnogiej, lecz rodzaju żeńskiego w liczbie pojedynczej. Występował w tej postaci w poprzednim tomie:

Zasłony do połowy
Ciemni żeby móc widzieć
Nad parapetem co się święci
Na Krematorii
[...]

(*Tymczasem*)

Nie tylko tytuł obu tomików przyciąga uwagę. Ich ciemne znaczenia stopniowo konkretyzuje poetyka inna niż we wcześniejszych książkach. Krzysztof Siwczyk nie jest poetą łatwej lektury – jego wiersze wymagają czujnej uwagi i niespiesznej wnikliwości. Kumulacja słów, intensywność skojarzeń, natłok obrazów, gęsta narracja wierszy, a w prozie również obficie zmetaforyzowana, wymagają uwagi szaradzysty. Autor debiutanczych *Dzikich dzieci* (1995), późniejszych *Zdań z treścią*, *Jasnopisu* czy *Median*, jest późnym wnukiem Tadeusza Peipera, po drodze praktykował też u Różewicza i Wojaczka.

Pokrewieństwo z poezją autora *Niepokoju* jest nie tylko wizualne i stylistyczne – również na poziomie ontologicznym *Krematoria*, podobnie jak Różewiczowski „śmietnik”, *zawsze fragment*, powstała z odpadów, resztek, okruchów.

Szczególnie na przełomie tysiącleci wiersze Różewicza dwukrotnie prowokowały tytułem *recycling*, pisany małą literą.

Prócz Tadeusza Różewicza obecny jest tu również duch Rafała Wojaczka, somatyzm jego poezji, brutalistyczna fizjologia, ironia i drwina mająca drażnić czytelnika, zatrzymać jego uwagę, przełamać estetyczny opór. Poezja Różewicza czyniła to głównie w trybie oznajmującym – mówiąc nieco metaforycznie – wiersze Wojaczka w trybie rozkazującym.

Na mapie poezji *Krematoria* leży w tym samym obszarze, co *recycling*. Wchodzi się do tej krainy przez *Trudny las*. Łatwo w nim zabłądzić, zwłaszcza że widoczność utrudniają *Słoje zadrzewne*. Lecz nie dajmy się zaskoczyć i zmylić, choć na początku drogi natknijemy się na *rozkład jazdy*, który nie ułatwi nam nawigacji.

Przeczytajmy inicjalny wiersz najnowszego zbioru Krzysztofa Siwczyka:

Udar

Myśli

Wiertło do szpiku

Szepcze

Jest

To szczyt wszystkiego

(*Krematoria III*)

Każdy wers jest osobnym obrazem, odrębnym komunikatem. Połączony w dystych, nabiera drugiego, metaforycznego, otwartego znaczenia. Podobnie jak w poezji Karpowicza, Różewicza, Wojaczka czy Stanisława Barańczaka. Znajdujemy się w przestrzeni mowy, którą determinuje nakaz

precyzyjnego wyrazu w możliwie klarownej postaci, niezanieczyszczonej retorycznym ornamentem.

Szkicuję pobieżnie ten już swoicie historyczny, choć aktualny kontekst, by wspomnieć, że jego najważniejszym słowem jest, bezpośrednio wyeksponowany niegdyś przez Tymoteusza Karpowicza, „rozkład”. Umieszczony w tytule programowego wiersza, stał się zwornikiem tej niezwyklej, inspirującej i w istocie niepojętej twórczości. Rozkład, a może ściślej rozpad.

Krematoria I / II była trudną próbą znalezienia wyrazu dla jednego z trzech ponadczasowych, dla ostatniego doświadczenia egzystencjalnego, które zawsze, jak poprzednie, nie jest procesem wyłącznie jednostkowym. To książka odważna nie tylko literacko, tak jak *Krematoria III*, kontynuująca wysiłek choćby śladowego zapisu tego doświadczenia. Przedmiotem notowanych rozmyślań, wyznań, także strzępków rozmów-nierozmów z odchodzącym, jest umiarkowanie, dla którego człowiek nie może znaleźć słów – poeta i analfabeta zarówno. Ktoś się obruszy: przecież są treny, wspaniały, niedościgły. Napisane dawno i niedawno, w starożytności w i naszej współczesności, *Treny* Kochanowskiego i Szymborskiej *Kot w pustym mieszkaniu*. Ostatecznie pozostaje medytacja nad żalonym ochędóstwem:

Okazał się zatrzymanym zegarem
Reduktorem który zatarły lata i żwir
Ładunkiem bólu dla dwóch tragarzy
[...]

Szlaban zapadł za karawanem
Świtało w bocznym lusterku

Jako żywo cykała kolarka

(*Stopnie*)

Po medytacji, prowadzącej do wiedzy uniwersalnej –

Między Tyranią a Krematorią

Jest układ

Słoneczny

(*W planetarium*)

– następuje milczenie.

Przytoczyłem tu trzy krótkie wiersze z najnowszego tomu oraz fragmenty dwu innych i na tym poprzestanę, obie *Krematorie* bowiem trzeba czytać jako całość. Równie istotnym jak słowo składnikiem poetyckiej relacji jest w nich pauza, zamilknięcie.

Kiedy poeta milczy, czytelnik, którym również jest recenzent, nie powinien zagłuszać ciszy nadmiarem zawsze niedopasowanych wyrazów. Pauza, cisza, pustka białej stronicy są skuteczniej wymowne. Żałobie przystoi *sacrum*, lecz codzienna *logorea*, nie tylko medialna, wyparła je z naszej przestrzeni. Wypływające ze znaczeń słowa czynią taki harmider, że przerwać go może tylko nagła, niespodziewana cisza. Poetyka milczenia wydaje się jedyną techniką utrwalania kontemplacji; ta, z natury, obywa się bez sformalizowanej werbalizacji. To paradoks wiersza, który ma zatrzymać chwilę. Utrwalić jej ulotną emocjonalność, z natury jednorazową i nietrwałą, zapisać moment.

Poezja jest partyturą – z niej pamięć spróbuje odtworzyć cząsteczkę przeszłości. Inna zaś, cudza świadomość

odczyta komunikat, dla którego odnajdzie analogię w swoim doświadczeniu.

Krzysztof Siwczyk to poeta o znacznym i znaczącym, wyrazistym dorobku literackim. Jego wcześniejsze książki, zarówno poetyckie, jak i prozatorskie, znamionuje innowacyjność językowa: leksykalna, stylistyczna, narracyjna. Sygnalizują to już tytuły: *Bezdech*, *Osobnik*. Ich autor zdecydowanie poszukuje „formy bardziej pojemnej”. Dotarcie do tworzącej *Krematorie* ascezy też jest odmianą tej „pojemności”.

Niekoniecznie trzeba oczekiwać od autorów, by stale trzymali się jednorodnej poetyki – odmiennosc form, różnorodność gatunków, nawiązania i parafrazy są niezbędne, gdy trzeba wyrazić rozmaitość treści, refleksji, emocji, nastrojów. W drugiej połowie dwudziestego wieku może zanadto przyzwyczailiśmy się do monochromatycznej dykcji, upowszechnionej zwięzłości wiersza różewiczowskiego – było to nieuniknione i naturalne. Wyrażało głęboką żalobę pokoleń, którym druga wojna światowa głęboko, na kilka pokoleń, przeorała egzystencję.

Jednak dopiero Nowa Fala, a jeszcze bardziej pokolenie, które przyszło po niej, usłyszało powojenny apel Czesława Miłosza, by poezja nie była tylko „płaczką żalobną” – i zmieniło dykcję. Kilkanaście książek poetyckich Krzysztofa Siwczyka, podobnie jak jego biografia, o której nie wystarczy powiedzieć: literacka, trzeba uściślić, że także artystyczna i społeczna, dobrze tę zmianę reprezentuje. Jeden gatunek, jeden rodzaj twórczej komunikacji nie wystarcza temu pisarzowi, który potrzebuje poszerzyć wyraz również poprzez film czy publicystykę, mocno

zarazem utożsamiając się z muzyką swojej generacji. „Mentalnie – wyznaje – byłem chyba lepszym materiałem na punka niż na metala. Od funeraliów i mitologii woli mocy wołałem społeczną refleksję drugiej fali punk rocka” (*Złogi wyobraźni*, „Dwutygodnik.com”, 12/2021).

Można poczuć się zaskoczonym taką autodefinicją. Jednak po chwili już pamiętamy o równoległości i symbiozie tych dwu odrębnych jedynie w teorii rodzajów ekspresji, jakimi są elitarna, podobno, poezja i masowa, ponoć wyłącznie, muzyka lat dziewięćdziesiątych. Pamięć zaczyna odczytywać listę poetów wypowiadających się również na koncertach. Olga Drenda zapytała Krzysztofa Siwczyka o obecność kontrkultury w jego biografii. Powiedział: „Staram się – choćby za pomocą pisania – pamiętać o tym, że pewne estetyki twórcze, jakiś melancholijny dukt, jakim podąża mój język poetycki i eseistyczny, zawdzięczam fantastycznemu splotowi zjawisk na scenie muzycznej i literackiej lat dziewięćdziesiątych” (*Złogi wyobraźni*).

Ów „fantastyczny splot”, kontrkulturowe brzmienie, widać i słycać zarówno w tomach wierszy, jak i w prozie poetyckiej (wspomniane *Osobnik* i *Bezdech*), ostatnio w eseju *Sygnal w zenicie*, pisany również prozą poetycką. Czytałem go przed rokiem, na przełomie stycznia i lutego 2022, na chwilę przed wojną, która ogarnęła Ukrainę.

To opowieść na pograniczu opowiadania, eseju biograficznego i wspomnienia o ambicjach dokumentalnych. Nie ubiegam się w tym momencie o literaturoznawczą klasyfikację, lecz próbuję choćby w przybliżeniu nazwać tę

indywidualną, niepowtarzalną formę. Ma wiele wspólnego z poezją. Nie różni się od niej zasadniczo i nie uważam, że powinna. Zdania wypełnione skondensowanymi obrazami o mocnych, ekspresywnych barwach. Otwarcia poszczególnych epizodów powtarzają się i nadają narracji dynamikę, mocny, niespokojny i uparty rytm. Odtwarza on charakter bohatera tej swoistej relacji, szybkie zaś zmiany planów wysyconych realiami pozwalają uzmysłowić nam integralność świadomości bohatera i rzeczywistości, do której należy.

Wyrażam się skrótowo, co zapewne sugeruje natura prozy, którą próbuję przedstawić. Doskonale uchwycił tę oryginalność Marek Bieńczyk, pisząc w blurbie: „Między esejem a poezją leży słabo znany ład, na którym Krzysztof Siwczyk wyznaczył brawurowo swoje *on the road*”.

Sygnal w zenicie czytałem na przemian z wydanym wówczas *Długiem metafizycznym* Ireneusza Kani. Obie książki opowiadają o tym samym, choć odmiennymi językami. Kania jest konsekwentnym filozofem, poznał Biblię i kabałę, wczytał się w pisma Greków, Arabów i Hinduśców minionych trzech tysiącleci i bez filtra złudzeń widzi, że świat jest w końcu cyklu dziejowego: „żyjemy w »czasach ostatnich«, czyli w takich, w których nieodwołalnie, albo na długie wieki, umierają dotychczasowe wartości, postawy, formacje kulturowe, wreszcie pojęcia [...]”.

Przeczuwa to również narrator opowiadania Krzysztofa Siwczyka. Porusza się w kole czasu, świadom uwięzienia, lecz napędzany energią protestu:

„Wciąż to samo, ekumeniczne przeświadczenie, że to jednak równościowa

trzoda, siostrzeństwo i braterstwo za drutem kolczastym, w dybach, które zrzuć może duchowa rewolucja i wyobrażenia, na jaką niestety nie stać już nikogo w warunkach tego postsynchronu, którym okazał się świat, dogrywający jedynie ścieżki dźwiękowe śmiechu do wcześniej odegranej, z góry wyreżyserowanej pantomimy stracenia w dole z wapnem, truskawką i czekiem [...]. Ogień nie płonie już dalej. Dalej zbliżyło się”.

Krematoria III, jak wcześniej *Krematoria I / Krematoria II*, z przydeptanym gardłem, prawie milcząc, stara się wyartykułować te same obawy, ból i przejmującą pewność.

Andrzej Zawada

Krzysztof Siwczyk, *Krematoria III*, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2022

Pomiędzy

Najnowszy, dziesiąty już tomik wierszy Jacka Dehnela ma zagadkowy tytuł, który w połączeniu z niepokojącą zimową okładką (obrazem samego autora) budzi raczej mroczne i posępne skojarzenia. Ich zasadność potwierdza zamieszczone w miejscu motto czy też dedykacji wyjaśnienie – *Bruma* (z łaciny) oznacza przesilenie zimowe, a także zimę i zimowy chłód. Dehnel od zawsze w swoim piarstwie dba o perfekcyjną harmonię między formą a treścią, to też w tym przemyślanym w najdrobniejszych szczegółach – z odautorskim układem graficznym wierszy włącznie – tomiku znajdziemy utwory, które

wyrażają i wywołują wrażenia, emocje i refleksje może nie wyłącznie chłodne, ciemne i ponure, ale tak czy inaczej powiązane z pewnym zawieszeniem, rozdarcie, oczekiwaniem czy przesileniem właśnie. Oczywiście to wszystko nie dotyczy sfery li tylko, że się tak wyrażę, atmosferycznej, ale jednym z bardziej sugestywnych i niebanalnych wyznań wydaje mi się to z wiersza bez tytułu:

Czekałem na ciebie, nie wiedząc, że
czekam,
niespecjalnie nawet pamiętając,
dopiero teraz widzę,
dopiero teraz poznaję.

Powiem ci,
że nawet w środku lata takie nie było,
styczeniowe światło.

Ten wiersz można by zresztą, mam wrażenie, analizować jako przykład i kwintesencję stylu i postawy poetyckiej Dehnela. Jest w nim liryzm, czułość, świadectwo głębokiej wrażliwości i refleksyjności poety, a przy tym pewna żartobliwa, ironiczna lekkość, żeby nie powiedzieć dezynwoltura, którą Dehnel zakłada, trochę od niechcienia, niczym maskę, nasadzoną niedokładnie, na część twarzy jedynie, żeby łatwo można było zza niej wychynąć i ukazać na serio swoje prawdziwe uczucia, o ile oczywiście uzna się, że warto.

Dehnel kilkakrotnie skądinąd w *Brumie* mówi wprost o swoim podejściu do bycia poetą – w otwierającym tomik wierszu pod przewrotnym w swej dosłowności tytule: *Odpowiadając pani która na spotkaniu autorskim zadała pytanie jak*

wygląda praca poety pisze: „Praca poety polega na tym że rano siada za biurkiem / i przegląda wiadomości szeleszczące cudzymi życiami. // Praca poety polega na tym że je sobie wyobraża / wchodzi w nie jak w cudze ubrania. / Ubrania piją. Ubrania chcą pić ubrania chcą jeść ubrania mają nadzieję”. Ten konkretny i bardzo dramatyczny wiersz dotyczy przywdziewania przez poetę nie tylko życia, ale i śmierci, chociażby „ciała kobiety o nie-słowiańskim wyglądzie” oraz „trójki [jej] dzieci w wieku od 7 do 15 lat”, a także innych uchodźców na granicy Polski z Białorusią, i nawiązuje do trwających tam ciągle wstrząsających aktów łamania praw człowieka, z kolei w innych utworach Dehnel odwołuje się do wojny w Ukrainie, empatycznie wnikając w doświadczenia jej ofiar, jednak tę wizję i misję literackiego odtwarzania wyczytanych czy w inny sposób poznanych historii i osób można rozszerzyć na stosunek Dehnela do rzeczywistości i pisanie w ogóle. Nie trzeba być ofiarą wojenną, żeby zostać ogarniętym jego empatyczną wyobraźnią, można być berlińską staruszką, która wygląda przez okno pociągu, albo starą handlarzką z Naschmarktu, albo... Paolo Veronese, który „pisze i drze list do inkwizycji”, czy też bliską poecie zmarłą osobą. Tu także pojawia się pewne rozdzarcie, zawieszenie i szukanie równowagi pomiędzy tym, co zewnętrzne, publiczne, a co wymaga (domaga się!) poetyckiej uwagi, i tym, co osobiste, prywatne, intymne, co znajduje wyraz w takich wierszach, jak *Mruczando*: „Kiedy zasypiając / mruczę ci tę nie wiadomo skąd się biorącą piosenkę [...] to nie mam mięsa ani skóry ani rąk ani nóg

i jestem tylko / małym różowym płatkem unoszącym się na falach strumienia”.

Poetycka uważność Dehnela osiąga zresztą nie tylko ludzi, wiśniowy sad w listopadzie przypomina mu dzieci z zerówki, które stoją posłusznie, „śmiejąc wokół siebie żółtymi / papierkami od cukierków”, a obrazki na porcelanie bywają równie kuszące, co świat w książkach, który wydaje się „lepszym światem”, gdzie dopiero moglibyśmy być prawdziwie szczęśliwi.

Można odnieść wrażenie, że Jacek Dehnel potrafi słowem wniknąć dosłownie wszędzie, w każdy zakamarek istnienia i każdy jego przeblýsk uchwycić i ustawić w poetyckim szyku, chociaż poeta przestrzega również w pewnym sensie być może samego siebie przed apoteozą porządku, niechęcią, lękiem wobec wszystkiego, co nieuchwytnie, pomieszane, niechlujne, niejednoznaczne, inne, wobec tego, co jak kredka wychodzi poza linię, bo z nadmiernego umiłowania reguły i porządku, z nadmiernej wiary w owe reguły i porządek może zrodzić się fanatyzm godny Kościeja-Madeja z rosyjskiej bajki, który chciał, „żeby granica rozdzielała dokładnie narody, języki, płcie i religie”, a ilekroć cokolwiek się nie zgadzało „wpadał w złość okrutną, domy burzył, drzewa wycinał, języki wyrывał”.

Tymczasem najważniejsze jest właśnie to, co „pomiędzy”, to co się wymyka wszelkim odgórnym systemom, nawet językowi, jak pisze Dehnel w wierszu pod takim właśnie tytułem:

Wyrazy są za małe, żeby objąć rzeczy.
Liść się nie mieści w „liściu”, a w „mieczyku” – mieczyk.

[...]

To jednak, co pomiędzy słowami, jest wielkie,
obejmie galaktykę i potu kropelkę,
ciebie, mnie i to wszystko, co pomiędzy
dzy nami:
przerwy mówią najwięcej. Piszę się
spacjami.

Cóż za przewrotność – wyrazić bezradność języka w regularnych strofach! (Krystyna Rodowska zdumiała się kiedyś: „niepojętość także trudzi się w języku?”) U Dehnela zresztą przewrotność jest wszędzie, podobnie jak wszędzie jest jakieś „pomiędzy”, dzielące światło i ciemność, dobro i zło, życie i śmierć, chaos i porządek, wiarę i zwątpienie, a w tym kontekście tytułową brumę można uznać – przewrotnie, a jakże! – za symbol nadziei, bo najmroczniejsze „teraz” jest jedynie przerywnikiem, stanem oczekiwania na jaśniejsze „potem”.

Katarzyna Bieńkowska

Jacek Dehnel, *Bruma*, seria Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, tom 119, Wydawnictwo a5, Kraków 2022

Poezja w obrotach podrażnionej wyobraźni

Nowa książka Bogusława Kierca zatytułowana została *Był sobie* i ma być pierwszą częścią dyptyku. Pod względem kompozycyjnym jest to autorska

sylwa i z tego powodu można ją zestawiać z wcześniejszym podobnym dziełem Kierca, czyli *Bazgrołami dla składcza modeli latających* (2010). Pisarz zapowiada na spotkaniach z czytelnikami, że częścią drugą rozpoczętego dyptyku będzie zbiór wierszy.

Poeta w ostatnim czasie pracuje literacko nader intensywnie. Wydaje kolejne tomiki niemal co roku, a przy tym nie ustaje w swojej pracy aktorskiej oraz reżyserskiej. To zresztą było zawsze znakiem firmowym jego twórczości – ciągle opieranie się w liryce na doświadczeniach wynikających z praktyki scenicznej oraz wykorzystywanie odkryć poetyckich w autorefleksji i kreacjach aktorskich. Widać to było na samym początku jego drogi pisarskiej, kiedy pierwszym tomikom lirycznym towarzyszyła książka o Przybosiu oraz zbiór *Teatr daremny*. W jego twórczości uderza naturalna potrzeba poezji, bez której nie jest możliwa samowiedza artystyczna, Kierc myśli często kategoriami podawanymi przez istotnych dla niego twórców, czyli Mickiewicza, Przybosia i Wojaczka, stale na nowo zgłębia ich znaczenia, odnajduje nieznanne wcześniej aspekty.

Równie wierny pozostaje kręgowi osobliwie sformułowanych, ważnych dla jego biografii duchowej problemów. Niedawno wydany pokaźny wybór wierszy *Tyle na chwilę* pozwalał zauważyć owe ciągłości pewnych fascynacji oraz obsesji pisarskich. Karol Maliszewski zauważał je w posłowniu i wiązał z obrazem „spływu” oraz „płynięcia” łączącego poszczególne wątki. Do owych figur podstawowych Kierca należy postać chłopca wraz z bogactwem problematyki dzieciństwa,

które nieustannie pozostaje aktualnym rezerwuarem motywów tej twórczości. Z chłopcem łączy się niestandardowo opisywana i przeżywana erotyka. Z uwag biograficznych poety wynika, że nigdy nie przymuszany do wstydlivosti w tym względzie pozostał przy przekonaniu, iż nagi chłopiec nie jest niczym stabuizowanym, ale też nieokreśloność jego seksualności powoduje, że łączy się u Kierca z problemem hermafrodytyzmu oraz homoseksualności. Sprawy nie mają się jednak wcale tak prosto, gdyż poeta utrzymywał zawsze, że podobnie widziana cielesność to warunek przeżycia religijnego, stąd liczne wątki ciała mistycznego, ciała boskiego, wchodzenia w nadprzyrodzoność przez to co somatyczne oraz erotyczne. Już takie połączenia tematyczne wystarczyłyby z naddatkiem na zarys oryginalnej architektoniki twórczej, lecz Kierc dodaje do tego co rusz narastające zainteresowania malarstwem (tom *Karawadźje*), dramatami Szekspira (z *Burzą* na czele), poezją Rilkego, baśniami Andersena i tak dalej. W ostatnich książkach, jak zauważał wspomniany Maliszewski, nasilała się fascynacja zjawiskiem bycia osobowego jednostki w stanie rozmnożenia na „ja” i bycie owego „ja” w innych. Najnowsza książka podejmuje to zagadnienie od nowej strony.

Był sobie to dość swobodne połączenie w całość różnych typów zapisu. Mają one jednak dość wyraźne spoiwo, jakim jest ukazywanie różnych aspektów „sobości”, tego dziwnego bycia podmiotu, które wydaje się nieco wyobcowane z „ja”. Poszczególne części nazywane są „aspektami” podmiotowej „sobości”, jest ich w tomie dziewięć, a zamknięciem

kompozycji okazują się rozmowy z pisarzem przeprowadzone przez Marka Smołańskiego. Na początku czytamy wiersz na temat formuły bajkowej „był sobie”, następnie pojawia się „aspekt”, w którym „sobość” oglądana jest jako obecna w przedstawieniu teatru lalek, co prowadzi do „aspektu”, jakim okazuje się sztuka dla dzieci na temat niejakiego Laluna i jego małoletnich przyjaciółek i przyjaciół. Dalsze „aspekty” to poematy, utwór dramatyczny opisujący zawikłane relacje w starym małżeństwie, minizbiór wierszy, zapiski autorefleksyjne i autotematyczne. Otrzymujemy zatem wieloaspektową próbę uchwycenia – za pomocą różnych rodzajów literackich – fenomenu „sobości” oraz jego powiązania z mitologią artystyczną Kierca.

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, na czym to powiązanie polega. Jak dotąd zresztą, krytycy i krytyczki raczej dość dobrze opisywali owe niecodzienne i stale wracające figury twórczości Kierca, dużo bardziej kłopotliwe było wyjaśnienie, co je ze sobą skupia w jedną, bardzo przez dekady trwającą konstelację. *Był sobie* pozwala na kilka domysłów na ów temat. W podsumowującym całość *Aspekcie IX* pisarz zastanawia się, czy słusznie zestawia ze sobą pewien obraz Caravaggia z płótnem Balthusa. W odpowiedzi powiada, że „w tych moich obrotach podrażnionej wyobraźni obie się przywołują”. Dość niespodziewanie mechanizmem jego procesu twórczego okazuje się stan podrażnienia, nieco nerwowego pobudzenia i nowy tom rzuca dzięki temu dość nieoczekiwane światło na architektonikę głównych motywów tej twórczości. Podrażniona wyobraźnia

okazuje się jednym z powodów, dla których może okazać się w ogóle możliwe tak ważne i dla tej książki doświadczenie transformacji chłopca w dziewczynę, młodzieńca w starca, człowieka w rybę (by przypomnieć sentencję Empedoklesa wykorzystywaną w *Był sobie*). W sytuacji rozdrażnienia pękają bowiem tamy racjonalności, z lekkim gniewem dokonąć można wielu emocjonalnych i empatycznych przekroczeń. Co ważne, etymologicznie podrażnienie łączy się z przedrzeźnianiem, a to ważny wątek prowadzący do odkrywanej przez Kierca ekonomiki podwojeń i rozdwojeń. Zaraz po zacytowanych słowach autor przywołuje opinię, wedle której oszukiwany i oszukujący ze znanego dzieła Caravaggia byli namalowani na podstawie ustawienia tego samego modelu, stąd poeta uznaje to za ukrytą zasadę każdego artystycznego „droczenia się”. Zbliżenie między odległymi od siebie osobami możliwe okazuje się z powodu irytacji, przedrzeźniającego papugowania naszego zachowania przez kogoś, kto zaczyna odgrywać rolę sobowtóra. W gruncie rzeczy chyba nie chodzi o to, że realnie spotykamy sobowtóra, raczej podrażnienie poczuciem bliskości drugiej osoby pozwala w swej dynamice odkrywać możliwość jej denerwującego podobieństwa do nas samych, tak natarczywego, że prowadzi do manifestacji nieoczekiwanego sposobu bycia naszej „sobości”. Utwory poety śledzą zatem rewelatorskie odkrycie siebie w innym, czyli coś, co w nieco heideggeryzującym żargonie nazwał niedawno poeta „Cię-mnością”. Tym razem jednak najważniejsze staje się doznanie przyciągającego odpychania, jakim jest

owo podrażnienie, to ono dokonuje obrotów, jest zasadą obrotu ciał ludzkich i niebieskich w poezji Kierca.

Podobnych nadmiernych bliskości, wielorakich i przemożnych natarczywości drugiej osoby w książce znaleźć można bardzo wiele. W jednej z części słuchamy przydługich dialogów pary małżeńskiej szczepionej w nierozzerwalnym i skomplikowanym węźle miłości-nienawiści, szacunku-pogardy, namiętności-obojętności. Dynamika większości sytuacji scenicznych z tego tomu może być tak analizowana, w tym także rozmowy dziecięcych bohaterów *Laluna*, gdzie przeważają stychomytie spinające w dublety ludzkie kolejnych rozmówców. Tędy też, czyli w środowisku gorących podrażnień, zachodzą nieustające konwersje emocjonalne i niezwykle oryginalna, innowacyjna erotyka utworów Kierca rodzi się i z tego nieoczywistego źródła. Być może zasadniczy dramat miłosny nie jest wcale związany z pytaniem o to, czy dominuje tutaj miłość homoerotyczna czy heteroerotyczna, co niekiedy bywa tematyzowane w utworze. Zresztą bohater zwykle unika mapowania intymności w podobnej siatce pojęciowej. Osobliwe narodziny nagiego chłopca z ciała dorosłego mężczyzny, nawroty do obrazu stworzenia Ewy z „żebra” Adama i inne motywy mogą przecież wynikać z podpowiadanej w zakończeniu gwałtowności i sprawczości podrażnień. Erotyzm rodzi się wtedy z irytacji, która uległa modulacji emocjonalnej w pociąg miłosny. Rozdrażnienie oraz chęć oddechnięcia partnera/partnerki bywa stadium procesu prowadzącego do nagłego przyciągnięcia jego/jej, łapczywego

pragnienia, by przeskoczyć jeszcze przed chwilą odczuwaną barierę między osobami i ciałami. Ten właśnie moment aktywnego rozdławiania w pragnieniu erotycznym, stale pracującej w rozkoszy kontrsiły odpychania powoduje, że bohater Kierca miewa często paradoksalne wrażenie, iż w akcie miłosnym stale objawia mu się w innym/innej ja-chłopiec, czyli jawiące się nieustająco drażniące podobieństwa do niego drugiej osoby, z którą się zespala cielesnie.

Zaskakujące „obroty” ciał dokonywane przez „podrażnioną wyobraźnię” objaśniają dodatkowo rolę, jaką w nowej książce zyskała lalka oraz doświadczenia teatru lalkowego. Lalka posiada bowiem zdolność materialnego stykania się, naciśnięcia ciał lalkarzy, rozdrażniania swą fizyczną niezależnością z powodu posiadanej swobody i pewnej nieprzewidywalności. Tym samym staje się modelem odciskania się obcej materialności oraz fizyczności w cielesnym „ja” bohatera. Wyobraźnia widza teatru lalkowego pobudzana byłaby zatem nie przez proste zachwyty iluzją, nie przez immersję w świecie spektaklu, lecz przez bardziej złożony proces podrażniania, w którym lalka zachowuje swoją odrębność i umowność wobec efektów scenicznej niby-realności. Kierc powiada w którymś miejscu, że w lalce działa także mechanizm rozdławiania, lalka przedrzeźnia postać, którą gra, ale i irytująco naśladuje różne działania i gesty widzów znane im z ich życia. Fascynacja lalką wywodziłaby się zatem z mnogości podrażnień, jakie wywołuje, co stanowiłoby najsilniejszy mechanizm wyobraźniowy publiczności. Skoro jej udziałem stają się „obroty

podrażnionej wyobraźni”, to właśnie inscenizacja, liczne ukazane naocześnie zwroty i obroty ciał lalkowych na scenie są wprowadzeniem do refleksji nad ludzką „sobością”.

W analogiczny sposób rozwijany jest w *Był sobie wąż* baśni Andersena o księżniczce na ziarnku grochu. Pisarza interesuje w niej między innymi słynny zaskakujący test „prawdziwości” księżniczki, która potrafi wyczuć niewygodę wynikającą w nacisku ziarnka grochu na jej ciało poprzez wiele zakrywających poduszek. Odczuwająca tak dyskretny nacisk jako autentyczną przykrość księżniczka zdaje test prawdziwości, gdyż na tym polega wedle Kierca reguła prawdziwego miłosnego odnoszenia innego/innej do „siebie”. Inna/inny ujawnia się jako odciskanie się, naprzykrzanie się, podrażnianie „ja”, najdrobniejsze fenomeny owego poirytowania są jak niewyczuwalny dla wielu osób ucisk ziarnka grochu, ale to z takich mikropodrażnień rodzi się możliwość miłości, erotyki, związku z innym, w którym odczuwa się wyobcowaną i bliską zarazem własną „sobość”.

Poeta kilka razy podkreśla, że baśń Andersena może być pomocna w opisanii naszych wtajemniczeń w doświadczenie religijne. Warunkiem owego przeżycia metafizycznego jest jak najbardziej fizyczne odczucie podrażnionej cielesności „ja”, które może dzięki temu odkrywać, iż inny jest możliwą „ekstazą”, emanacją ciała w inne ciało lub w innym cielem. Podobnie, jak zauważa, oddziałują materialnie obecne „cudowne” obrazy – nie są bóstwami, ale dzięki odciskaniu się w naszej wrażliwości z powodu swych unikalnych parametrów fizycznych, swej

frapującej namacalności, stają się możliwościami ekstaz, emanacji tego, co boskie, w naszym somatyczno-przedmiotowym świecie.

Tom *Był sobie* okazuje się zatem niezwykle inspirującym nowym wglądem w proces twórczy pobudzający twórczość Bogusława Kierca. Innowacyjność koncepcyjna, nieoczekiwane spotkania liryki, epiki z dramatem ujawniają zdumiewającą siłę oddziaływania czegoś, co poeta nazwał „obrotami podrażnionej wyobraźni”, a przecież wykorzystana została przeze mnie tylko jedna z wielu podobnych formuł, których znaleźć można w utworze dużo więcej. Nie można też wykluczyć, że druga część dyptyku okaże się artystycznym „droczeniem się” z *Był sobie* i tym sposobem zapewni tej książce dodatkowe istnienie w innym dziele.

Tomasz Mizerkiewicz

Bogusław Kierc, *Był sobie*, seria Forma 21, Wydawnictwo Forma, Dom Kultury „13 Muz”, Szczecin Bezrzecze 2022

Tiekuczka przetykana précieuses blessures

Józef Czapski był postacią wielką – także fizycznie (ponad dwa metry wzrostu, stąd żart, że jest „największym malarzem w Paryżu”) – ale też, co dzięki kolejnym odsłonom jego intymistyki, listom i dziennikom, staje się coraz bardziej oczywiste – dlatego, że był człowiekiem z krwi i kości także w pisaniu. Dzienniki

prowadził przez większość dorosłego życia, jest to gigantyczny korpus tekstów, które po kawałku będziemy otrzymywać zapewne przez wiele jeszcze lat. Sam dziennik okresu wojennego, zaczynający się krótko po opuszczeniu Starobielska (ten wcześniejszy okres jest nam oczywiście znany z pism autobiograficznych Czapskiego), jest ogromny, to ponad sześćset stron, stąd moja próba metafory dziennika jako ciała; ale także dlatego, że jest on pisany właśnie przez podmiot „z krwi i kości”.

Rzecz jasna, co jest zaletą w sensie filozoficznym, niekoniecznie musi nią być w aspekcie czytelniczym. Mówiąc wprost, naprawdę liczne partie tych notatek nużą. Myślę, że mogą one interesować historyków drugiej wojny światowej, a tu szczególnie badaczy dziejów Armii Andersa, ci może wyłapią jakieś nieznanne sobie wcześniej szczegóły, tego nie wiem, któż bowiem wie, czego nie wiedzą historycy. Pomijając biografów Czapskiego, dla których każdy nowy szczegół i fakcik – mówię tu Mironem – może stać się tworzywem, także gdyby ktoś siłił się na portret psychologiczny Czapskiego, potrzebowałby sięgać również i po nudne zanoty (mówię Mironem). Oczywiście opublikowanie wyboru nie byłoby dobrym rozwiązaniem także z perspektywy innych humanistów – literaturoznawców, historyków sztuki, badaczy dzienników i innych form autobiografii, nigdy nie ustalibyśmy bowiem w podejrzeniach, że pominięciu podległ jakiś fragment, który dla nas mógłby się stać nader istotny.

Oczywiście bowiem dzienniki te nie były prowadzone z myślą o ich oficjalnej

publikacji, były najzupełniej prywatne. Musiał się natomiast Czapski liczyć z ewentualnym czytelnikiem niepożądanym, to znaczy z sytuacją, w której jego zapiski wpadłyby w tzw. niepowołane ręce – mniejsza już, czy swojskie, czy wrogie (polskie czy rosyjskie); to także wpływa na kształt niektórych notatek, zwłaszcza miłosnych (o czym dalej). A paradoks, o którym mówię, polega na tym, że w dziennikach obrobionych, literackich, otrzymalibyśmy więcej może przyjemności czytelniczej – ale kosztem mniejszej obecności „krwi i kości”. Fragmenty, o których myślę, sam Czapski nazywał „tiekuczka”, od rosyjskiego *tiekuczka zajedajet*, od „kapania”, „przepływania” życia, powiedzmy, przez palce, ale angażującego tak bardzo, że brak czasu na refleksję czy koncentrację myśli, działalność artystyczną, obróbkę. „Bieżączka pochłania”, „spalenie się w bieżączce”, może tak bym to spolszczył. W tych fragmentach pada mnóstwo nazwisk, zarysowywane są różnice zdań, konflikty, spory ambicjonalne – wszystko skrótom, który czytający nawet po latach autor zapewne szybko rekonstruował. My dzisiejsi mamy oczywiście znakomite przypisy. Tylko rozgryzanie skrótów „tiekuczki” jest na ogół jałowe. Spójrzmy na dowolny fragment: „Intendentura (mleko dla drukarzy, fundusze dyspoz.). Szef sztabu (artykuły, sprawa Tołstoja), kwatermistrz (sprawa orkiestry Wrewskiej i jeszcze coś), Krogulski, Dwójka, 5-iątka, mianowanie i jeszcze, i jeszcze, i ludzie, ludzie na gali i tysiąc drobnych, ale ważnych spraw, od których zależy funkcjonowanie całej maszyny i życie ludzkie nawet”. Tak wygląda więc mniej niż połowa dziennika. A winić

o to nie można, jak wskazałem, nikogo, ani Czapskiego, ani edytorów. Zresztą sam Czapski, skłonny i zdolny do samooceny, w pewnym momencie także to zauważył i skomentował na łamach dziennika. Początkowo waha się, czy notować całą „tiekuczkę” w dzienniku, skoro nawet jemu jest obojętna: „czy naprawdę mam pisać o tym, gdzie papierki dziś koncypowałem, i że rano na 8 mam być u Generała, i że przyjechał Rubel, i walcuje się sprawa redakcji, i że Rublowi postawił ultimatum, że musi być w ścisłym Komitecie redakcyjnym itd. Kiedy właściwie mi to wszystko obojętne”. W innym miejscu opisuje paradoks, ma świadomość, że dziennik wypełniają jego „jałowe stękania”, trudno o lepszą formułę na te rozterki rozmaite, a zarazem opisywanie ich pozwala mu się odłączyć od bycia z ludźmi, daje jakiś komfort psychiczny, nawet jeśli nie prowadzi do syntezy, refleksji filozoficznej: „muszę się siłą odrywać od tych stron, w których piszę tak bardzo wiele zupełnie jałowych stękań czy uwag nie domyślanych do końca, nie doprowadzonych do jasności, banalnych, bo nie dokreślonych, ale na to nie ma czasu, to jest ciągle tylko ucieczka od tłumy w siebie”. I podobnie, pod sam koniec dziennika (zresztą te metatematyczne uwagi nasilają się pod koniec dzienników, czyli przy świadomości, że i wojna idzie ku końcowi, i pewien etap jego wojskowej pracy na Bliskim Wschodzie dobiega końca): „Dziennik w całości kompozycyjnie nie do zniesienia – ciągle powtarzanie tego samego, ale w rezultacie czytanie mi pomaga, dodaje otuchy, że kropla żłobi kamień, że moja świadomość jest przecie ustawiona monotennie i stale w pewnym

kierunku, wbrew jękom i histeriom". W innym miejscu podaje wytłumaczenie się z płytkości owych rozważań, w którym uwzględniana jest perspektywa potencjalnego czytelnika – tego, o którym wspomniałem wyżej jako o „niepowołanych rękach”: „Dlatego taka potrzeba we mnie dziennika, notatek, w których jak piła to samo powtarzam, piszę same »filozoficzne« banały, ogólniki, w najlepszym razie cytuję innych, bo nie chcę, żeby ktośkolwiek wiedział o moich uczuciach cokolwiek konkretnego”. To prawda, sporo tu w dziennikach wypisanych cytatów, powtórzonych myśli po jakimś pisarzu. Jednak nie tłumaczy to wszystkich „płytcizn”, bo właściwie akurat fragmenty miłosne – a nie jest to najliczniejsza grupa notatek, choć bardzo ważna – wcale płytkie nie są, a to do nich stosuje się zasada „obawy o wpadnięcie w niepowołane ręce”. W pewnym momencie natomiast Czapski zastanawia się, co by było, gdyby te dzienniki wydano – kiedyś, kiedyś, jakby się okazał cenionym malarzem. Przewidział więc swoją obecność w świadomości polskiej dzisiaj – i w naszych (czytelniczych) rękach. Krytycznie. „Może kiedyś po mojej śmierci ktoś się zabierze do moich naskrobanych niewyraźnie dzienników. Jeżeli dojdę do czegoś jeszcze w malarstwie, zacznie to być interesujące i może tu są strony, które będą warte czytania, ale ileż, ileż stron pisanych dlatego tylko, żeby siebie ratować od trudnych, drobnych przeżyć, drobnych ranek i ukłuć codziennych”. Dlatego też i ja nie czuję się malkontentem, gdy wypunktowuję lekturowe momenty *ennui*.

Kiedy natomiast Czapski nie zajmuje się diarystyczną „tiekuczka” z życia armii,

ale zdobywa się na krótkie, acz przenikliwe wnioski i syntezy na temat Polaków i sytuacji wojska, to robi się ciekawie. Podstawowa obserwacja to ta, jak łatwo człowiek się przyzwyczaja. W tej chwili obserwuje, oczywiście, to łatwe przyzwyczajanie się do lepszego. *Gros Armii Andersa* to ludzie po ciężkich sowieckich więzieniach, łagrach, obozach NKWD. Ludzie po przejściach. Tymczasem szybko zaczynają się ujawniać choroby – można by pomyśleć – przesytu i luksusu. Czapski nazywa je ładnie „polską tandetą”: „Jak tylko ubrać trochę, odkarmić te kobiety z kirpicznych zawodów – z dalekich zesłań – jak tylko ci mężczyźni wynędzniali w fufajkach z Kołomy czy Workuty nałożą mundury, podjedzą, wyłazi ta sama stara polska tandeta. Flirty, wódka – brak myśli, inteligencji, zarozumiałość i bezmyślność bezgraniczna”. Oczywiście być może to nie jest wielkie odkrycie natury psychologicznej człowieka – tylko zapis przeciwko zmityzowanej historiografii i upiększającej literaturze. Bardzo podobny charakter mają luźne i niemoralizujące uwagi Białoszewskiego o obozie w Pruszkowie, gdzie flirty, i to ze strażnikami, klótnie i tak dalej. Jeżeli podstawowym pragnieniem osób prześladowanych, poddawanych traumatyzującym doświadczeniom jest „powrót do normalności”, to i z takimi konsekwencjami. I zaiste, cały dziennik Czapskiego nie daje w zasadzie świadectw strauatyzowania, zresztą także własnego. Dziś wiemy, że działanie traumy jest opóźnione. Dodatkowo jako pozytywny *boost* euforyny działa tu w wielu przypadkach (także chyba samego diarysty) kwestia organizacji armii, wyjścia z ZSRR, nadająca sens i perspektywy

na przyszłość (choć Czapski akurat parokrotnie zapytuje sam siebie, czy nie staną się „białą emigracją”, czy jeszcze wrócić do Polski, bo ma wątpliwości – i nie był tu *falsus vates*). Jedynym takim miejscem poświadczającym strauumatyzowanie, nierozwinięty (niestety), jest krótki jednozdaniowy zapis: „Samobójstwa – dużo wariuje – ktoś jest pewny, że jesteśmy tu wykańczani umyślnie, że Sikorski był zamordowany, że jesteśmy niewygodni, że to dalszy bieg San Domingo i Katynia”. Przeważają obserwacje pijaństwa, etosu „szlachciurskiego”, kłótnie („Każdy na każdego wygaduje, że łajdak, że świnia albo o wiele wytworniej, ale nie mniej dobitnie, że gubi Polskę”), opisy załatwiania spraw „po znajomości” (co Czapski nazywa „na Tadek i Władek” i ocenia krytycznie), przejmowanie brytyjskiej postawy kolonialno-orientalizującej wobec Persów („[Kalinowski] musi z Persami mieć »dystans« i kłaniać się im mniej grzecznie niż oni jemu, bo jest Europejczykiem”), czy wcale nierzadkie poglądy antysemityczne, i to wśród wysokich rangą dowódców (czyżby należało uznać, że mimo wiedzy, co równolegle na ziemiach polskich się dokonuje – wiosną, latem 1943 roku – żołnierze polscy nie potrafili sobie zupełnie tego wyobrazić? Może, to nie byłoby psychologicznie niespotykane). Władze armii próbowały wręcz „korygować” postawę Czapskiego jako zbyt przychylną Żydom: „Ile mnie kosztuje taka rozmowa, że jestem pod wpływem Żydów, że muszę wziąć kurs bardziej antysemityczny i najwyklesze mętne zarzuty – którymi mnie obrażają, moje człowieczeństwo i to, co naprawdę szanuję i czczę, stosunek do człowieka, nienawiść

do tych ogólnikowych polskich on dit i to jeszcze w sosie takich superlatyw co do mnie, wprost »admiracji« czy »tkliwości« i ideowości”. Ciekawa tu jest myśl Czapskiego, że pobyt polskich żołnierzy w Jerozolimie i Palestynie może pomóc przezwyciężyć owe odruchy antysemityczne (jeśli jednak uznać brak dalszych obserwacji na ten temat za brak takich korekcji, to nawet Jerozolima nie pomogła). Czapski dostrzega te cechy szybkiego przestawienia się na tryb „normalność” u innych, ale i z czasem u siebie. Gdy w jakimś anty-Proustowskim geście wspomina delectowanie się kostką cukru w Griazowcu (analogiczne wspomnienie, także z kostką cukru, która „wtedy coś znaczyła”, zawarł Białoszewski w *Pamiętniku*), przechodzi do stanu obecnego, acz nie na swoim już przykładzie: „[w Griazowcu] zwykle sam, żeby rozmowa nie przeszkadzała mi w dozowanym ssaniu kawałka cukru, a teraz Hryniewicz z Workuty urąga, że znowu ma jajecznicę z wątróbką. Jak szybko przychodzi przyzwyczajenie i obojętność”. Po jakimś czasie i dłuższym zaniec „targania rozterkami”, czy pojechać samochodem i zobaczyć Morze Martwe, czego kiedyś chciał, czy nie, bo teraz właśnie mu się nie chce czy nastrój ma nie taki – konstatuje, jakby po włączeniu się super-ego, albo wyobrażeniu sobie szerszej publiczności, która słucha tych utyskiwań (niezależnie od tego, z jakich pobudek to robi, to jest zawstydzenia przed potomnością, czy z impulsu autorefleksji i autooceny, są to momenty niezwykle ciekawe): „Świat się wali, bolszewicy zajmują Równie i Łuck, są o 90 km od Lwowa, a ja kroję na czworo włos i nie mogę wybrnąć w sobie z jakiejś płataniny

żałów, goryczy, upokorzeń, poczucia samotności, własnej śmieszności – »zostaniesz na to, żeby papierki przekładać«, mówi mi pocziwie, ironicznie Józio. Ale piszę umyślnie, żeby nie tłumić w sobie tego wszystkiego, przewentylować nieprzewietrzone zakamarki”. Czapski nazywa niekiedy ironicznie cały przemarsz Armii Andersa przez Bliski Wschód „wakacjami” i w istocie, gdy się czyta jego relacje, pojawiają się skojarzenia z takimi tekstami kultury jak *MASH* czy *Paragraf 22*, a nawet *Jarhead*, nie ze względu na styl, tylko na obraz wojny. Ale też mówimy o armii, która się ewakuowała, a nie walczyła (nie żeby Czapski odnotował rozmowy o wielkiej chęci walki, raczej jakieś pijackie bełkoty, jak to my im jeszcze dowalimy i tym podobne). Zestawiane obrazki z owych „wakacji” z innymi, także polskimi, doświadczeniami w istocie mogą budzić (zbyt łatwy) odruch moralizatorski. „Podczas tropikalnej przerwy godzina w basenie Anglików – kafle niebieskie, woda turkusowa – tłum Anglików i naszych, oficerowie, kilka ładnych kobiet, uśmiechy, flirty i radość życia”. Albo: „I jeszcze jedno – zapominamy o wojnie, o najbliższych w Polsce. Te wakacje – czuję naprawdę inteligentnie – albo i do nich nie mam prawa. Wojsko, choć siedzi w namiotach, ale te stoły zastawione, pałace hotelów i te rozmowy o fotografovaniu – o pięknych zamkach – i ruinach, i pejzażach – to wszystko jest niegodne chwili. Nikogo nie winię, siebie, tych ludzi – widzę nie w pracy, a w chwili wytchnienia, ludzi, których przeważnie wcale nie znam, bo jest uwaga skierowana do siebie. – *On rentre trop facilement dans les vieux plis* [do starych nawyków – P. S.]”.

Tak, również notatki dotyczące Maryni (siostry, Marii Czapskiej) czy Ludwika (Heringa), przebywających w kraju, raczej potwierdzają, że w kompletnie odmiennych okolicznościach bardzo jest trudno wyobrazić sobie i przeżyć, odczuć grozę okupacji niemieckiej (por. jedyną taką jednozdaniową notatkę: „Maryni list o Oświęcimiu” – czy wnosić po tym, że Czapski nie może zrozumieć bądź odczuć prawdy o grozie obozów – czy też że nie chce zapisać swoich myśli na ten temat w dzienniku?, nie wiadomo).

I jeszcze na koniec – owe momenty autooceny nie pomijają także opisów samego siebie jako złego wojskowego: „Jeżeli chodzi o mnie, to o pracy wysokiej klasy nawet nie mogę marzyć. Chaotyczność, brak zmysłu organizacyjnego, brak wprost fachowości i beznadziejny brak talentu do całej strony biurokratycznej, papierkowej w całej masie działów doprowadza do tego, że mogę marzyć tylko o drabinie narastania całkowitości wysiłku”. W poczuciu absolutnego zrozumienia tej postawy wobec biurokracji, zaśmiałem się wręcz przy jednym z takich samooskarżeń: „Moje zasadnicze błędy dowodzenia: wydaję rozkazy mętne i kilku osobom naraz”. Niewykluczone, że tu autokrytyczny zwykle Czapski trochę się jednak „wybielił” i miał na myśli, że wydaje sprzeczne rozkazy kilku osobom naraz. I tu już nie jesteśmy tak daleko od Josepha Hellera czy *MASH*.

Do ważnych scen w dzienniku, wykraczających poza „tiekuczką”, ale i niewpisujących się w „mashowy” (auto) krytycyzm, należy spotkanie z Anną Achmatową. Nie ze względu na wielkość pisarki i temu podobne. Przeciwnie.

Fragment na ten temat w dzienniku bowiem zaprzecza konwencji czy otoczce, jaką nadano temu spotkaniu w Pawilonie Józefa Czapskiego w Krakowie (oddział Muzeum Narodowego). W tym skądinąd świetnym miejscu (odwiedzałem kilkakrotnie) poświęcono sporo miejsca spotkaniu z Achmatową – w poetyce, mam wrażenie, „nobilizacji” Czapskiego poprzez spotkanie z wielką poetką dwudziestowiecznej literatury europejskiej, która w dodatku opisała Polaka w wierszu, albo w każdym razie jako spotkanie na szczycie dwojga wielkiej klasy intelektualistów środkowoeuropejskich. Być może poczyniono to mimowolnie (może to być „efekt muzeum”, bo w ogóle obraz Czapskiego, jaki się z wystawy wyłania, choć konstruowany przy użyciu dzienników tyleż wojennych, co pozostałych i niepublikowanych jak dotąd, jest jednak dużo mniej „z krwi i kości” niż mój odbiór tych zapisków – czy listów; no i jest to tam też postać pozbawiona życia uczuciowego). Być może obraz ten podąża bardziej za *Na nieludzkiej ziemi*, gdzie Achmatowa w milczeniu roni łzy wielkimi oczami, słuchając poezji Słonimskiego i Balińskiego, a jest to opis nie *in crudo*, powściągliwy w ocenach i literacko zrobiony. W dzienniku wojennym natomiast Czapski odnotowuje ich dwa spotkania, jeden spacer i scenę czytania poematu, który ocenia krytycznie: „Deklamowała mi swoją niedrukowaną jeszcze *Leningradskuju poemu*. Trudno mi coś powiedzieć, szalenie przedwojenne, sprzed 1914. Wszystkie metafory – *commedia dell'arte*, pawie i fijołki, i kochankowie, i maski – i to wszystko związane z ostatnim Leningradem pod bombami –

z jej oknem w Szeremietiewskim Pałacu, z klonem (zdaje się) z żółtymi liśćmi, które jej do okna zaglądały, piękność poematu przypominała mi Rilkego. Te wiersze, które mi były prędy obce, przy tym słyszałem wiersze pierwszy raz deklamowane monotonnym, śpiewnym głosem trochę jak Igor Siewierianin. To wszystko utrudniało mi ten wiersz strawić, zresztą i ona do ostatniej chwili została mi kimś, z którym kontakt mój był zamącony jej jakąś sztucznością czy pewnym, może nie sztucznym, a bardzo jej własnym, ale mi obcym zachowaniem”. Zresztą w innym miejscu pewna rosyjska literatka, przyjaciółka Achmatowej, po wysłuchaniu najnowszej polskiej poezji wojennej stwierdza (co Czapski odnotowuje nie bez dumy), że polska literatura odnalazła właściwszy ton do opisanego doświadczenia wojny, a radziecka – jeszcze nie (tu trzeba wszelako dodać z naszej perspektywy historycznej, że wiersze, które najgłębiej, najmocniej ujmują doświadczenie wojny, miały w literaturze polskiej dopiero powstać).

Sam Czapski określa wątek uczuciowo-erotyczny jako jeden z najważniejszych dla niego. W istocie te dzienniki wojenne są dość unikalnym świadectwem na temat „wojna i homoseksualność” w polskiej literaturze. Trzeba jednak zastrzec, że zagadnienia te są dość zaszyfrowane, to znaczy czytelne, jeśli się wiedziało, że można się ich doszukiwać (dziś zaś jeszcze czytelniejsze dzięki przypisom). Czapski obawiał się, że dzienniki mogłyby wpaść w niepowołane ręce. Wiele partii „miłosnych” zostało tedy napisanych po prostu po francusku. W niektórych miejscach „sposobem Proustowskim” (to jest

jak w piśmie pojawia się Albertyna to chodzi o Alberta) zmieniane są zaimki. O osobach pisał zwykle bez imion, oznaczając dawnych partnerów (Jan Tarnowski czy Siergiej Nabokov) inicjałami bądź tylko inicjałem imienia. „Przecie J.T. kochałem miłością tak gwałtowną, bolesną, ileż lat zdobywane te szranki i jakie upokorzenia. [...] po 3-miesięcznym niewidzeniu się tak kochana twarz S. i nic, nic, stokrotnie bardziej nic niż z J.T.”. Podobnie o partnerze, z którym się rozstał w 1939 roku, to jest Ludwiku Heringu (tu jako „L.”); ale i o obecnym obiekcie uczuć, występującym jako „X.” (autorom przypisów nie udało się ustalić, o kogo chodzi, to znaczy, zakładam, że się nie udało) oraz kolejnym (J. K. – Jerzy Klimkowski). Przy czym uczucie do Ludwika zostaje określone jako najgłębsze i obecne miłości i miłości tego nie zmieniają: „Jak go kocham zawsze i właściwie przez to nie myślę. Nic się nie zmieniło. No tak, był, jest J., ale to wszystko nie rusza, nie zaczepione. Tamto uczucie wydaje się najgłębsze” (dokładnie w tym samym duchu w późniejszych latach pisał Czapski do Heringa z Paryża, a i Hering do Czapskiego, zresztą w dzienniku nagle znajdujemy bezpośredni zwrot do Heringa, jakby to był list do niego: „Wiedz L. że to wszystko we mnie jest i tęsknota za miłością, zakochaniem, za nowym światem przeżyć miłosnych, i uczucie, które mnie dziś podszywa, każdy nowy dzień. I to wszystko nie zmienia, że Ciebie kocham zawsze, że jesteś dla mnie oparciem, portem, najgłębszą, wieczną miłością. Nie opuszczaj mnie i przebac mi”. Wątek miłosny jest wprowadzany zwykle pod hasłem *précieuses blessures*, to jest drogocenne rany czy zranienia, co jest znaczące

w całości tego wątku. Miłość robi z Czapskiego podmiot quasi-masochistyczny, który cierpi zranienia przez zakochania się, niespełnienia, ale potem delektuje się tym cierpieniem, tymi zranieniami, które niejako metaforycznie „rozdrapuje”. Do takich zranień (może: draśnięć) liczą się także mniej lub bardziej przygodne kontakty seksualne. Port w Bejrucie pociąga go potencjałem przygody: „Miasto portowe – te *louche* uliczki – ciągnie mnie chwylami do starych grzechów, do spotkań i przygód ryzykownych, i prawie jako moralne zdrady wyczuwam ten pociąg »wilka do lasu« w porównaniu do sztucznej wzniosłości”. W Egipcie (w Kassassin) włożył się po zaułkach – „w ciemnych odbłaskach ulic dwie nawet pociągające, pudrowane figurki czułał mnie, pewno bym z nimi poszedł”. W Palestynie z nie wiadomo kim: „Wczorajszy wieczór nie samotny. Czy to szczęście? Tak jakoś z godzinę, gdzie przeżycie jest tak zmysłowo intensywne, że zasłania wszystko, przy tym wyzwała z jakiegoś poczucia fizycznej »podrzędności«, fizycznego skrzywdzenia i wyrastającego ponad sprawy ważniejsze nienasyceń”. I tak dalej, dorzucmy tu zupełnie jawne zresztą uwagi, że Arabowie na plaży są piękni, o urodzie jak dziewczęta, piękni są Persowie „o drapieżnych ryśach i pięknych oczach”, a nawet najmłodszy Polacy w armii, przygotowujący się do matury („na dziewięciu przynajmniej połowa wprost pięknych, gibkich”). Nad całością życia erotycznego dominuje jednak zderzenie go z religijnością, choć nie w najbardziej oczywistym sensie. Mianowicie nie chodzi o to, że Czapski czuje się grzeszny, prowadząc życie erotyczne, które Kościół potępia. Zdaje się, że takich

dylematów był od dawna wyzbyty (być może publikacja dzienników przedwojennych pozwoli nam namierzyć ten moment akceptacji w jego biografii). W pewnym sensie „rozgrywa Boga”, po to, by ulżyć sobie w cierpieniach związanych z konkretnymi obiektami (X. czy Klimkowskim), albo odsunąć „głód erotyczny” („bo jeśli tylko znowu wraca do mnie głód erotyczny, to jest nagłe przesiedlenie się na inne źródło”). Czapski zupełnie świadomie używa tu Freudowskiego pojęcia „sublimacja” (skądinąd krytykując Freuda za tezę, że mistycyzm to nienasycone pożądanie, ale nierzadko zdając się w nie wierzyć). Jak się jednak zdaje, te różne pojęcia są w nieustannym ruchu u Czapskiego, który miota się między sublimacją i Bogiem a afirmacją erotyzmu, więc kiedy stoi bardziej po stronie erotyzmu, stwierdza nagle, że sublimacja jest *faute de mieux* („z braku laku”, z braku czegoś lepszego, ważniejszego: „wszelka sublimacja pewnych uczuć jest często również, jak i wierność, tylko *faute de mieux*”) albo że w Boga nie wierzy („Bóg nieustannie »na dnie«, związek – to poczucie *d'un ami*”; albo: „Co za życie – odszedłem od Boga, od modlitwy. Odszedłem od artyzmu jak od »korzenia« życia, od nieba i od ziemi”), albo że z religią ma styczność tylko przez sekundę przyjmowania komunii („Ja wiem, że jest jakiś świat religii, coraz to przez K[omunię] wchodzę w ten świat na krótkie sekundy i znowu odchodzę”). Czasami zamiast Boga używa dla „sublimacji” pojęcia natchnienia, chyba artystycznego, chyba w odniesieniu do pisania (bo z oczywistych względów nie mógł malować w armii): „Białe płomieniu natchnienia, zwyciężaj czerwony płomień

namiętności”. Stąd autoironicznie dokonuje w pewnym momencie samooceny, że jak przeżywa bardziej sferę *blessures* a mniej w niej odczuwa *préciosité*, zwraca się do Boga: „B[oże], r[atuj]. Jak trwoga, to do Ciebie, Boże”. Próbuje też szukać filozoficznej podbudowy dla rozwiązania tego konfliktu wewnętrznego i, co ciekawe, poszukuje w kręgach filozoficznych znanych sobie bardzo dobrze, ale mało oczywistych na tle zwykle przyjętych na Zachodzie, w tym i w kulturze polskiej, konceptualizacji homoseksualności. Chodzi o filozofię francuską (Pascal) i myślicieli rosyjskich (przede wszystkim Lew Szeszłow i Wasilij Rozanow, ale także Dimitrij Fiałosofow). Pascal mianowicie uważał, że impulsy religijne czy mistyczne mogą współistnieć w człowieku naprzemiennie z erotycznymi. Czapski w to jednak wątpi: „zawsze to samo zdanie Pascala mi wraca – że epoki mistyczne i zmysłowe mogą na przemian w człowieku istnieć, ale nie jednocześnie [...] choć przez lata i lata chciałem godzić te 2 dziedziny, uparcie w siebie wmawiając, że to może być możliwe. I te właśnie momenty jakby podobne na innym planie i wzajemnie się wykluczające. Zmysłowość, cielesność komunii – ta wąska kładka, poprzez którą jest przejście z jednego planu erotycznego do drugiego planu mistycznego”. Czapski, jak wiemy, edukację do czasu powstania wolnej Polski pobierał w Petersburgu, stąd znał dobrze rosyjskie pisma filozoficzne. Najgłośniejszą z pewnością książką dla osób homoseksualnych w Rosji – i bodaj pierwszym dziełem filozoficznym na ten temat w tym języku – była próba ujęcia quasi-religijnego i mistycznego homoerotyzmu dokonana

przez Wasilija Rozanowa w *Ludziach Księżyca* (1911). Uważam, że podejście Czapskiego do pogodzenia religijności i erotyzmu dlatego wydaje się tak odmienne na tle typowych w Polsce konfliktów Kościół–erotyzm, że sięgnął on właśnie do myśliciela wychodzącego przede wszystkim z prawosławia, znacząco jednak je przeddefiniując. I tak dla Rozanowa erotyzm nie jest godny pogardy – o ile jest uduchowiony, co nie znaczy sublimacji odrzucającej czynności cielesne. Do tego ostatecznie sprowadza się postawa Czapskiego w tych dziennikach (późniejsze jego listy do Heringa są już raczej wyzbyte wszelkiej religijności), przy kilku „szarpnięciach” w stronę Pascala i rozdzielenia mistycyzmu od erotyzmu; ale to Pascal tu „przegrał”. *Ljudi łunnogo swieta* u Rozanowa – to homoseksualiści; Rozanow przeciwstawia Stary i Nowy Testament i wywodzi, że chrześcijaństwo powinno afirmować seksualność tak jak Stary Testament, oraz że jest ono co do zasady „księżycowe” (stąd też, nawiasem mówiąc, również na prawach „kodu homoseksualnego”, występują u Czapskiego pojęcia właśnie *ljudi łunnogo swieta* oraz *gołubaja liubow*, mylnie rozszyfrowana przez autorów przypisów, „gołuboj” bowiem, „błękitny”, to slangowe określenie na homoseksualistę po prostu; porównaj: „I tylko na marginesie tych myśli złapałem się na myślach *à la gołubaja ljubow*, te ledwie kilka słów, że błogosławie i bardzo kocham”; oraz: „Łapię się w ostatnich dniach na marzeniach *à la Lord Jim* i *gołubyje liubwy*”). Dopiero na tym tle można zrozumieć powołanie się na myśl Lwa Szestowa, który w ogóle nie mówił zresztą o erotyzmie, ale Czapski tak sobie tę

myśl rekontekstualizuje. Miłość jest jak religia. Warunkiem dla religii jest brak pewności, niemożność osiągnięcia pewności, bo tylko wtedy możliwa jest wiara: „ta piękna Szestowa książka, w której pisze, że religia nie byłaby religią, gdyby była pewna. Że właśnie akt wolny wyboru, ten skok w nieznanne jest warunkiem, by religia była ofiarą, skokiem, ryzykiem, wyborem wolnym, a nie przymusowym kontraktem, świętokradztwem. Przenoszę to na dziedzinę uczucia. Przecie tu jest to samo – *l’amour n’est pas sûr* – wkłada się w istotę najdroższą skarby cierpienia ukrytego, męki ukrytej, troski – i nigdy się nie wie, czy przyjdzie jakaś reakcja, jakaś odpowiedź”. Dodajmy na koniec myśl Dimitra Filosofowa, bliskiego przyjaciela Czapskiego: „Dimka kiedyś o miłości: »Uspokój się, w tej dziedzinie człowiek jest jak ten święty (Wawrzyniec) na różnie, na który bok się obrócisz, piecze i parzy. Nie ma miłości – źle, jest miłość – także źle«. I to zdanie najlepiej podsumowuje wątek miłosny w tych dziennikach.

Piotr Sobolczyk

Józef Czapski, *Dziennik wojenny*, Wydawnictwo Próby, Warszawa 2022

Wyprawa na planetę Lem

Lektura tej książki przypomina wyprawę na obcą planetę. Wcześniej oglądaną i badaną z odległości, na pozór dobrze już poznaną i niekryjącą większych tajemnic. Gdy tymczasem wylądowanie

na niej i podróże po jej powierzchni nieustannie czymś zaskakują, pozwalają połączyć ze sobą dotychczas trudne do zrozumienia fakty, stanowią nową szansę odpowiedzi na nurtujące pytania. Skąd to skojarzenie? Nie tylko dlatego, że ową nieznaną planetę stanowi biografia i twórczość Stanisława Lema, znakomitego autora powieści *science-fiction*. Warto przypomnieć i o tym, że jego nazwiskiem nazwano jedną z planetoid.

Do tej wyprawy autorka książki, Agnieszka Gajewska, znakomicie się przygotowała. Nie tylko posiada godną podziwu wiedzę o pisarstwie Lema, ale także skrupulatnie przetrząsnęła niezbadane dotychczas archiwa, przeczytała uważnie korespondencję pisarza oraz zapiski jego przyjaciół, dysponuje ponadto obszerną wiedzą historyczną na temat epoki, w której żył i pisał autor *Solaris*. Innymi słowy, daje się też książkę czytać symultanicznie, na kilka równoległych sposobów. Jako opis obfitującego w dramatyczne, a nierzadko tragiczne perypetie życia i twórczości jednego z najwybitniejszych twórców dwudziestego wieku. Jako dzieje przedstawiciela pewnej już nieistniejącej formacji intelektualnej, której udziałem stała się konfrontacja z dwoma, nazistowskim i komunistycznym, systemami totalitarnymi. Wreszcie jako wgląd w dwudziesty wiek z perspektywy doświadczeń jednostki, która stała się bierną ofiarą historycznych paroksyzmów, naznaczonych obłądnymi ideologiami. Przygody dwudziestowiecznego Kandyda umieszczone zostają na historyczno-socjologicznym tle epoki, w której obozy koncentracyjne sąsiadowały z wyprawami w kosmos.

Ogromną zaletą tej biografii jest sceptyczny namysł, który towarzyszy drobiazgowemu, pracowitemu studium nieważnych z pozoru, ulotnych tekstów, skrupulatnemu konfrontowaniu rozmaitych świadectw, niedowierzaniu nawet bezpośrednim wypowiedziom pisarza, który w wielu sprawach albo się mylił, albo je przemilczał, co dotyczy nawet autobiograficznego *Wysokiego Zamku*. Autorka nade wszystko pragnie dotrzeć do nieraz starannie ukrytej prawdy o kolejach życiowych Stanisława Lema oraz o nim samym. Dokłada starań, by jak najlepiej go zrozumieć, unikając łatwych i pochopnych ocen postawy pisarza, co dotyczy zwłaszcza okresu stalinowskiego, w którym Lem szedł na wyraźne kompromisy wobec poetyki socrealizmu, pisząc m.in. *Astronautów* i *Obłok Magellana*. Rzecz można, że prowadzi swego rodzaju pracochłonne i żmudne śledztwo, którego tropy nieraz się urywają, a pewność nierzadko zastępują poszlaki.

Owo śledztwo skupia się nade wszystko na fakcie mało dotychczas znanym, a mianowicie żydowskim pochodzeniu pisarza, do którego Lem się nie przyznawał i nawet w pewien sposób się go wyparł, gdy tymczasem w decydujący sposób zaważyło ono na całym jego życiu i pisarstwie. Gajewska pieczołowicie rekonstruuje rodowód Stanisława Lema – zarówno od strony jego ojca, jak i matki, umieszczając te dzieje na starannie odtworzonym tle życia przedwojennego Lwowa. Okazuje się przy tym, że obydwie rodziny można uznać za wręcz modelowy przykład dwóch zasadniczych odłamów społeczności żydowskiej w Polsce dwudziestolecia.

Ojciec pisarza, Samuel Lehm, który spolszczył swoje nazwisko na Lem, był agnostykiem, Żydem zasymilowanym, dosyć zamożnym, cenionym lwowskim lekarzem, starszym asystentem w Szpitalu Izraelickim i Kasie Chorych. Poza leczeniem zajmował się działalnością społeczną, wspierając finansowo organizacje żydowskie, oraz pracą naukową, należał bowiem do aktywnych członków Towarzystwa Otolaryngologicznego. Nie bez znaczenia jest także to, że zgromadził obszerną bibliotekę oraz kolekcjonował dzieła sztuki. Podobnie jak jego bracia należał do wąskiego kręgu inteligencji lwowskiej. Tymczasem matka pisarza, Sabina z domu Wolner, córka przemyskich kupców, pochodziła z ubogiej rodziny ortodoksyjnej. Była osobą religijną, wychowaną według tradycyjnych wzorów, zgodnie z którymi nie liczyło się wykształcenie kobiet, rola żony zaś winna ograniczyć się do troskliwego zajmowania się domem i rodziną. Dzięki swojemu małżeństwu z Lemem społecznie i materialnie awansowała, weszła do lwowskiej socjety oraz brała czynny udział w jej życiu towarzyskim.

W okresie kształtowania swojej osobowości autor *Solaris*, jak pisze Gajewska, pozostawał w orbicie wpływów zupełnie odmiennych wzorów światopoglądowych i kulturowych, co znacznie wzbogaciło tyleż jego wiedzę o otaczającej go społeczno-politycznej rzeczywistości, co akceptację w relacjach międzyludzkich ich złożoności i wielorakości. Poprzez kontakty z rodziną matki poznawał ideologię syjonistyczną oraz ortodoksyjne wzory zachowań, poprzez kontakty z rodziną ojca natomiast obracał się

w kręgu społeczności żydowskiej mocno już spolonizowanej, jedynie częściowo zachowującej wierność żydowskiej tradycji. Dość powiedzieć, że znał dobrze Stary Testament, ale zaczytywał się także w *Winnetou*, *Przygodach dobrego wojaka Szwajjka*, literaturze popularnej oraz popularnonaukowej. Rodzice zabierali go do kina i teatru, w domu tymczasem obowiązywały surowe, zgodne z żydowską tradycją reguły. W wieku trzynastu lat i jednego dnia stał się według żydowskiego prawa człowiekiem dorosłym i wziął udział w synagodze w obrzędzie bar micwy, ale jako uczeń gimnazjum działał w szkolnym kole krótkofalowców, lubił majsterkować i zrobił prawo jazdy.

Dodatkowym elementem kształtującym osobowość Stanisława Lema stała się specyficzna atmosfera przedwojennego Lwowa, a zwłaszcza jego wielokulturowość, która wyczuła pisarza na rozmaite walory językowe, płynność norm i nieoczywistość przyzwyczajzeń. Na to wszystko nałożyły się niezwykle powikłane i wyjątkowo tragiczne dzieje jego rodzinnego miasta. Historia nie szczędziła tutaj gwałtownych zwrotów, które stały się bezpośrednim udziałem przyszłego pisarza. Wybitnie uzdolniony i odczytany żydowski absolwent przedwojennego polskiego gimnazjum nie mógł w 1939 roku nawet myśleć o spełnieniu swoich marzeń, czyli studiowaniu na Politechnice Lwowskiej, gdyż tam w latach trzydziestych silne wpływy miała endecja, dochodziło do głośnych antysemitycznych wystąpień i obowiązywał *numerus clausus*. Czy nie jest gorzkim paradoksem, że dopiero po wkroczeniu Armii Czerwonej i zniesieniu przez Związek Sowiecki

w szkolnictwie narodowościowych dyskryminacji, Lem, jako obywatel ZSRR, mógł studiować medycynę? Został przy tym zaliczony do mniejszości narodowej, którą władze sowieckie uznały podczas rekrutacji na studia za grupę uprzywilejowaną. Studiował krótko, gdyż drugiego czerwca 1941 roku do jego rodzinnego miasta wkroczyły wojska hitlerowskie. Tym razem stał się drugiej kategorii obywatelem III Rzeszy. Z opaską gwiazdy Dawida na ramieniu został od razu zapędzony do uprzątania zwłok ofiar pomordowanych w więzieniu w Brygidkach przez NKWD przed opuszczeniem Lwowa. Prawdziwym cudem ocalał wówczas z krwawego pogromu i odtąd ukrywał się po stronie aryjskiej, dorywczo pracując nielegalnie i wciąż zmieniając miejsce pobytu. Dotrwał tym sposobem, podobnie jak jego rodzice ukrywani przez dawnych znajomych, do ponownego wkroczenia Armii Czerwonej w 1945 roku. Wrócił na studia medyczne, jednakże w obliczu sowieckiej paszportyzacji, w lipcu 1945 roku rodzice pisarza zdecydowali się na repatriację do Polski i osiedlili się na stałe w Krakowie. Z porzuconiem Lwowa Lem nigdy się nie pogodził, do końca życia uważał się za wygnańca i do końca odczuwać będzie swoją obcość w nowym środowisku.

Po wojnie dzielił nierzadko tragiczne koleje losów oraz światopoglądowe wybory powojennej polskiej inteligencji o żydowskich korzeniach. A zatem początkową, podtrzymywaną wbrew mnożącym się zastrzeżeniom wiarę, że system komunistyczny uwolni tę grupę od rasowej stygmatyzacji oraz poczucia wykluczenia, przeciwstawia się bowiem

antysemityzmowi, obiecuje ponadto stopniowe wyrównanie różnic społecznych oraz zerwanie z narodowościową dyskryminacją. Udziałem pisarza stały się następnie rozczarowanie komunistycznym systemem po październiku 1956, traumatyczna dla jego formacji brutalna i prostacka antysemitka nagonka w marcu 1968, entuzjazm, z jakim powitano powstanie Solidarności oraz odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1989 roku, wreszcie krytyczny stosunek do odradzających się nacjonalistycznych tendencji w odrodzonej ojczyźnie.

Gajewska przekonywująco wyjaśnia, dlaczego Lem tak usilnie starał się po wojnie zatrzeć ślady swojego żydowskiego pochodzenia. Wygnaniec ze Lwowa nie znajdował wspólnego języka ze społecznością żydowską w Krakowie, jako ateista czy agnostykowi obce mu było jej odwoływanie się do religijnej tradycji. Pragnął zarazem zacząć swoje życie jak gdyby od nowa, z czystą kartą. Jednakże to wyparcie w zasadniczy sposób naznaczyło osobowość pisarza – budziło w nim skrywane poczucie winy, wewnętrzne rozdarcie oraz samooskarżanie się o pogrzebanie w niepamięci zamordowanych przez nazistów krewnych i pobratymców. Nie jest wykluczone, że trauma Zagłady oraz owo wyparcie były jednym ze źródeł powracających depresji pisarza. Próba zatarcia rodowodu okazała się zresztą nieskuteczna, zwłaszcza w okresie Marca 1968. Obawa przed tym, że bezpieczeństwa, znając jego pochodzenie może zmusić go do emigracji, co stało się udziałem wielu pisarzy oraz intelektualistów o żydowskich korzeniach, skłoniła Lema do unikania zaangażowania

się w działalność opozycyjną. Za próby zachowania dystansu, w obliczu prześladowań pisarzy-przyjaciół Lem płacił duchową udręką oraz moralnymi rozterkami, starał się wszakże, jak mógł, wspierać bliskie mu krakowskie środowisko literackie. Ostatecznie zdecydował się w 1978 roku przeciwstawić reżimowi, pisząc w drugim obiegu artykuły, w których, pod wymownym pseudonimem Chochoł, dokonywał przenikliwej analizy świadomości społecznej polskiego społeczeństwa, a zwłaszcza skutków jego sowietyzacji: nawyku do biernego akceptowania komunistycznego systemu, moralnej degrengolady, porażenia relacji międzyludzkich, ale także dewastacji środowiska naturalnego oraz stanu pogarszającej się służby zdrowia.

Gajewska dowodzi, że szczególnym paradoksem w pisarskiej biografii Lema okazywała się zasadnicza rozbieżność jego ambicji i oczekiwań z rezultatami. Jak pisał Jan Błoński: „Cóż za dziwny umysł: w trzech dziedzinach: naukowej, literackiej, filozoficznej, zupełnie równo uzdolniony. Gdyby zsumować, byłoby genialnie. Ale właśnie taki rozum, że sumować się nie daje”. Doczekał się prawdziwej sławy dzięki swoim powieściom *science-fiction*, zrewolucjonizował ten gatunek, wyrывая go z nurtu literatury popularnej i nadając mu formę powiastki moralistyczno-filozoficznej snutej w kosmicznym przebraniu. Jego książki ukazywały się w wielomilionowych nakładach, zwłaszcza w ZSRR, uznawany był w tej dziedzinie za niekwestionowany autorytet. Powieść *Solaris* doczekała się nie tylko międzynarodowego rozgłosu, ale także dwóch wybitnych adaptacji

filmowych. Tymczasem ambicje pisarza sięgały gdzie indziej: pragnął stać się naukoznawcą i filozofem. Pozycję miał mu zapewnić dwa fundamentalne dzieła: *Summa technologiae* oraz *Filozofia przypadku*. Trzeba poznać, jego rozważania na temat między innymi cyborgizacji, sztucznej inteligencji, badań genetycznych znalazły pewien pozytywny odzew i uznanie w środowiskach naukowych. Nie został jednakże zaliczony do grona specjalistów. Na przeszkodzie stanęły mu braki w formalnym wykształceniu, zwłaszcza nieznamość matematyki. Fenomenalnie zdolny i niezwykle pracowity był w istocie samoukiem, który mimo niesłuchanej chłonności umysłu i wyjątkowej inteligencji nie mógł się mierzyć z innymi uczonymi w dziedzinach, które wymagały coraz większej specjalizacji. Co nie znaczy, że wiele z jego zapowiedzi zagrożeń straciło na swojej aktualności, przeciwnie, okazały się one wręcz prorocze. Jak zauważa autorka biografii, początkowa wiara Lema w zbawienne dla stosunków społecznych skutki rozwoju cywilizacyjnego ustępowała coraz bardziej mrocznym, pesymistycznym, a nawet katastroficznym przewidywaniami. Nie doczekał się wprawdzie eksplozji na globalną skalę mediów społecznościowych, ale już internetowy potop informacyjny, wyplukujący z umysłu odbiorców krytyczny i obiektywny obraz rzeczywistości, budził jego jak najgorsze obawy. Ostrzegał przed zniszczeniem środowiska naturalnego, niebezpieczeństwami konsumpcjonizmu i masowej kultury, depersonalizacji w globalnej wiosce, której przeciwstawiają się skłonności społeczeństw do izolacjonizmu,

wzrost tendencji nacjonalistycznych oraz terroryzm.

Także jego życie osobiste niewolne było od paradoksów. Otoczony troską przez żonę i krąg bliskich mu i wiernych przyjaciół, skarżył się nieraz na wstręt do życia. Sławny za granicą, był w istocie za mało doceniony w Polsce. Wyprawiał się w kosmiczne podróże, ale twardo stąpał po ziemi, starając się, po doświadczeniu ubóstwa, zadbać o materialny status swojej rodziny. Zazdrozczono mu sławy, willi na Klinach pod Krakowem i mercedesa, tymczasem poczucia względnego dobrobytu doświadczył dopiero po wielu latach ciężkiej pracy, w ostatnim okresie życia, wcześniej zaś dzielił z rodakami szarość i uciążliwość codziennego bytu w PRL.

Wszystko to wydać się może kosmicznie odległe od świata kreowanego przez Stanisława Lema w jego powieściach *science-fiction*. A przecież uważnemu spojrzeniu autorki biografii nie umykają uparcie, wręcz obsesyjne

tematy powracające w prozie autora *Solaris*. Predylekcja do bohaterów o trudno uchwytej tożsamości skonfrontowanych z groźnym, obcym i wrogim otoczeniem. Dylematy moralne kogoś, kto musi wybierać pomiędzy potrzebą samoocalenia a wiernością wobec swoich towarzyszy. Zagadka ludzkiej natury, w której wrodzona, choć głęboko ukryta, płynąca z ciemnych instynktów skłonność do okrucieństwa i zbrodni, ustępuje miejsca aktom bezinteresownej pomocy, dobroci i solidarności z pokrzywdzonymi. Te ukryte tropy, które od okupacyjnych doświadczeń wywiodły pisarza w przestrzeń międzyplanetarną Agnieszka Gajewska dokładnie prześledziła w swojej książce *Zagłada i gwiazdy*. Ale i jej biografia skłania do ponownej, bardziej wnikliwej lektury dzieł Stanisława Lema.

Aleksander Fiut

Agnieszka Gajewska, *Stanisław Lem. Wypędzony z Wysokiego Zamku. Biografia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

EWA BATHELIER, ur. w Warszawie artystka polskiego pochodzenia, mieszka i tworzy we Francji. Jej obrazy znajdują się w licznych galeriach i kolekcjach całego świata. Mieszka w Eschau.

KATARZYNA BIENKOWSKA, ur. 1972 w Warszawie, tłumaczka, krytyk literacki, autorka wierszy; ostatnio opublikowała przekłady m.in. *Dziewczyna z wieży* (2022) Katherine Arden i *Cienie między nami* (2022) Trici Levenseller. Mieszka w Pułtusk.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. 1952 w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował *Oumuamua. Atlas wierszy światologicznych* (2022) oraz *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku* (2021) oraz *Wolność pisaną po Jalcie* (2022), [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3 (67) i 2016, nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

JACEK DEHNEL, ur. 1980 w Gdańsku, poeta, pisarz, tłumacz; ostatnio opublikował tom wierszy *Bruma* (2022) oraz przekłady *Żywoty zwierząt* Johna Maxwella Coetzee (2022) i *Niewidzialne biblioteki* (2022). Mieszka w Berlinie.

MIROŚLAW DZIENI, ur. 1965 w Bielsku-Białej, poeta, eseista, krytyk literacki; profesor Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej; ostatnio opublikował *Ptaki, ptaszki* (2020) oraz *O męczeństwie rozumu i zarazie świata* (2021). Mieszka w Bielsku-Białej.

ALEKSANDER FIUT, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wyglądy i wglądy* (2022) oraz *Gry międzyludzkie* Leona Neugera z Elżbietą Jogałłą i Elżbietą Tabakowską (2022). Mieszka w Krakowie.

JACEK GUTOROW, ur. 1970 w Grodkowie, poeta, tłumacz, eseista i krytyk literacki, wykładowca na Uniwersytecie Opolskim; ostatnio opublikował przekład wierszy Simon Armitage *Mało brakowało* (2019) z Jerzym Jarniewiczem i wybór wierszy *Invisible. Selected poems* (2021). Mieszka w Opolu.

PHILIPPE JACCOTTET (1925–2021), jeden z najważniejszych współczesnych poetów francuskich, tłumacz; przełożył m.in. Goethego, Hölderlina, Manna, Leopardiego, Musila, Rilkego, jego wiersze w przekładzie Krystyny Rodowskiej, Aleksandry Olędzkiej-Frybesowej i Agaty Kozak drukował „Kwartalnik Artystyczny” 1999, nr 3 (23).

JERZY JANICZKO, ur. 1997 w Krakowie; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim; prezentowane wiersze są debiutem. Mieszka w Krakowie.

IRENEUSZ KANIA, ur. 1940 w Wieluniu, eseista, tłumacz kilkudziesięciu książek z szesnastu języków, przełożył m.in. Tybetańską Księgę Umarłych, Opowieści Zoharu, Flawiusza, Vasariego, Mikołaja z Kuzy, Dalajlamę, Rozanowa, Eliadego, Ciorana; ostatnio opublikował *Pieśni losu* (2021) oraz *Dług metafizyczny. Eseje i rozmowy* (2021). Mieszka w Krakowie.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieści Bernharda *Przegraną* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

BOGUSŁAW KIERC, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował *Tyle na chwilę. Wiersze z lat 1967–2020* (2022) i *Był sobie* (2022). Mieszka we Wrocławiu.

JAN MARIA KŁOCZOWSKI, ur. 1960 w Lublinie, tłumacz literatury francuskiej, poeta, eseista; ostatnio opublikował *Świetliasty sen. Szkice śródziemnomorskie* (2023). Mieszka w Bogdanach Wielkich, opiekując się rodzinnym dworem i parkiem.

KS. JANUSZ ADAM KOBIERSKI, ur. 1947 w Wólce Łysowskiej koło Siedlec; wydał trzynaście tomików wierszy; ostatnio opublikował *Pole widzenia* (2019) i *Świat jednoczesny* (2021). Mieszka w Warszawie.

RYSZARD KRYNICKI, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckojęzycznej m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował przekłady wierszy Bertolta Brechta *Elegie bukowskie i inne wiersze* (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2013, nr 2 (78)]. Mieszka w Krakowie.

ANTONI LIBERA, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował nowe przekłady *Eleutherii Becketta* (2021), *Tragedii rzymskich Shakespeare’a*, tomy 1 i 2 (2021, 2022) oraz *Dymitra Schillera* (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019, nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

MARIUSZ LUBYK, ur. 1962 we Wrocławiu, tłumacz; ostatnio przełożył opowiadania Baszewisa Singera oraz Chaima Gradego. Mieszka w Getyndze i w Kaliszu.

PIOTR MATYWIECKI, ur. 1943 w Warszawie, poeta, eseista, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Poematy biblijne* (2020) i *Skrytkę* (2021). Mieszka w Warszawie.

CZESŁAW MIŁOŚZ, (1911–2004), największy poeta polski XX w., eseista, prozaik, tłumacz; ostatnio w edycji Dzieł zebranych ukazało się *Wygnanie i powroty. Publicystyka rozproszona z lat 1951–2004*

(2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2001, nr 2 (30), 2004, nr 3 (43), 2005, nr 3 (47), 2008 nr 3 (59), 2011, nr 2 (70), 2014, nr 2 (82), 2021, nr 2 (110)].

TOMASZ MIZERKIEWICZ, ur. 1971 w Pleszewie, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza; ostatnio opublikował: *Niewspółczesność. Doświadczenie temporalne w polskiej literaturze najnowszej* (2021) oraz *Ćwiczenia z poetyki* z Agnieszką Gajewską (2022). Mieszka w Poznaniu.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. 1952 w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

ANNA NASIŁOWSKA, ur. 1958 w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki, profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała *Historię literatury polskiej* (2019, wydanie drugie 2022) i tomik *Sztuczne światła* (2021). Mieszka w Warszawie.

ROBERT PAPIESKI, ur. 1965 w Warszawie, eseista, krytyk literacki i tłumacz; ostatnio opublikował *Ćwiczenia z patrzenia* (2020) oraz *Spór o Rosję i inne eseje* (2022). Mieszka w Warszawie.

ANNA PIWKOWSKA, ur. 1963 w Pruszkowie, poetka i eseistka; ostatnio opublikowała *Piękno i piekło. Opowieść o Beacie Obertyńskiej* (2021) oraz tomik *Furtianie* (2022). Mieszka w Warszawie.

KRYSTYNA RODOWSKA, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała wybór wierszy *Nic prócz O. Wiersze z lat 1968–2018* (2019) oraz tom *Cudze moje. Wiersze (wybór przekładów poezji z lat 1968–2020)* (2021). Mieszka w Warszawie.

TOMASZ RÓŻYCKI, ur. 1970 w Opolu, poeta, tłumacz; ostatnio opublikował powieść *Ijasz* (2021) oraz zbiór wierszy *Ręka pszczelarza* (2021). Mieszka w Opolu.

WILLIAM SHAKESPEARE (1564–1616), jeden z największych dramaturgów świata, autor m.in. *Romea i Julii*, *Makbeta*, *Hamleta*, *Króla Leara* i *Burzy*.

ICCHAC BASZEWIS SINGER (1904–1991), pisarz żydowsko-amerykańsko-polski, jedyny noblista literacki (1978) tworzący w jidysz; autor m.in. *Rodziny Muszkatów*, *Szatana w Goraju* i *Sztukmistrza z Lublina*.

KRZYSZTOF SIWCZYK, ur. 1977 w Knurowie, poeta, eseista; ostatnio opublikował tom wierszy *Krematoria III* (2022) oraz *Sygnal w zenicie* (2022). Mieszka w Gliwicach.

PIOTR SOBOLCZYK, ur. 1980 w Lublinie, autor wierszy, prozaik, badacz i krytyk literatury; pracownik IBL PAN; ostatnio opublikował *Obstrukcję insługi* (2022) oraz *Wydechy z bezrybocia* (2022). Mieszka w Warszawie.

LESZEK SZARUGA, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. tomik wierszy *Mucha* (2022) i *Jeszcze trochę inne historie* (2022) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016, nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Po nitce* (2021) oraz *Miejsce* (2022). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZŁOSAREK, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czyścicu* (2022). Mieszka w Berlinie.

ANDRZEJ SZUBA, ur. 1949 w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *Wygasić* (2020) i *666 strzępów* (2022) oraz przekłady wierszy Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019), D.H. Lawrence’a *Kici, kici!* (2019) i Edgara Lee Mastersa *Epitafium ze Spoon River* (2020; II wydanie). Mieszka w Katowicach.

WISŁAWA SZYMBORSKA (1923–2012), poetka, laureatka Literackiej Nagrody Nobla (1996) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 1 (61), 2004 nr 1 (41)]; po śmierci Noblistki poświęcono jej „Kwartalnik Artystyczny” 2012, nr 1 (73), 2013, nr 1 (77), 2014, nr 1 (81) i 2022, 1 (113) w 1., 2. i 10. rocznicę śmierci poetki; w kwietniu 2012 w Wydawnictwie a5 ukazał się ostatni tom jej wierszy *Wystarczy*, o którym Głosy ukazały się w nr. 2 (74), w 2023 Znak wydał *Wiersze wszystkie* poetki.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. 1948 w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnikach.

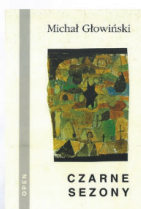
LESZEK ŻYLIŃSKI, ur. 1954 w Przemyślu, historyk literatury i kultury krajów niemieckojęzycznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *Tropy. Fragmenty i zapiski* (2019) i *Zmienne pola dialogu. Rzecz o Polakach i Niemcach* (2020). Mieszka w Toruniu.

ABSE ACHMATOWA ADAMIEC ADCOCK AHREND AJVAZ ALOCHIN ALTIEV AMICHAJ ANCET ANDERMAN ANDRZEJEWSKI ANTONIUK APOLLINAIRE APPEL ARP ASHMSU ASONSTRÖM ATWOOD DAUBIGNÉ AUDEN AUGUSTYNIAK AUSLÄNDER AUSTER AWIDAN AWIERINCEW BACHMANN BACON BACZAK BADZIĄG BĄGIĆ BĄGIŃSKI BĄJSIĆ BAKEVSKI BALAN-
TIK BALCERZAN BALIŃSKI BANACH BANVILLE BARAN BARANOWSKA BARAŃSKA BARRAL BARTCZAK BARTOSZEW-
SKI BASHO BATHELIER BAUCHROWICZ-KŁODZIŃSKA BECKETT BECZEK CZ. BEDNARCZYK K. BEDNARCZYK BE'ER
BELMONT BENKA BENN BERLIN BERNACKI BERNADAC BERNHARD BERNOLD BESANÇON BESZCZYŃSKA BEYER
BIAŁOSZEWSKI BIELSKA-KRAWCZYK BIEŃCZYK BIEŃKOWSKA BIEŃKOWSKI BIGA BLIN BLOOM BŁASIAK BŁOŃ-
SKA BŁOŃSKI BOBKOWSKI BOCHENEK BOCHENSKI BOCZKOWSKI BOLEC BOLECKA BOLECKI BOLEWSKI
BORAWSKA BORGES BORKOWSKA BOROWIEC BORUŃ-JAGODZIŃSKA BOURGEOIS BRAKONIECKI BRAUN
BRAUTIGAN BRAY BRECHT BRINKMANN BRKA BRODA BRODSKI W. BRONIEWSKI BROWN BRUNNÉ BRZO-
SKA BUKOWSKI BUNIN BUREK BURIAN BURYŁA BUSZA BÜTTNER CADENAS CALDER CELAN CELEWICZ
CÉLINE CENDRARS CHALFI CHARMS CHETWYND CHEVILLARD CHLEBNIKOW CHLEBNIKOW CHOJNOWSKI CHOLIN
CHWIN CIELECKI CIELESZ CIESIELSKA CIEŚLAK CIEŚLAK-SOKOŁOWSKI CIORAN CISŁO CITKO CLAU-
DEL CLUCHEY CONNOR COREYEL CRONIN CUMMINGS CVETKOWSKI CWIETAJESWA CYRANOWICZ
CZARKOWSKI CZAYKOWSKI CZĘSTOCHOWSKI CZORYCKI CZUCHNOWSKI CZUKU CŹWIKLIŃSKI
CĚGEC DANILEWICZ-ZIELIŃSKA DANN DĄBEK DĄBROWSKA DĄBROWSKI DEHNEL DELEUZE DEM-
BOWSKI DERDOWSKI DERMAL DEVILLE DĘBICZ DĘTKOŚ DICKINSON DŁUSKI DMITROCA DOBIEŚ
DOMARUS DOOLITTLE DORN DRAWERT DRIVER DUBOWIK DUKES DUNIN DUPIN DURAKOWI
DURAS DYAKOWSKI DZIEŃ DZIURZYŃSKI DŻUMALA ECHENOZ T.S. ELIOT ENDRES ENGELKING
ENRIGHT ENZENSBERGER ESSLIN ESTEBAN FABJAN FALARSKI FERENC FERLINGHETTI FERRI-
NI FIETT FILIPIAK FIUT FLAUBERT FLEISCHMANN FLETCHER FRAJLICH FRANASZEK FRANCUZ
FRANIA FRÉNAUD FRIEDELÓWNA FRYDRYCZAK FUCHS GAILLY GALAS GARDZIELEWSKA GAR-
LIČKA GASPAROW GENET GEORGIEW A. GIACOMETTI M. GIACOMETTI GIBASZEK GIDLECKA
GIEDROYC GIERSZEWSKI GILBOA GINSBERG GIOIA GIZELLA GLEŃ GLONDYS GŁOWIŃSKI
GNIAZDOWSKA GOERKE GOLLNIKOWA GÖMÖRI GONTARSKI GORBANIEWSKA GORCZYŃ-
SKA GÓRSKI GRABOWSKI GRENIER GROSSMAN GRUCHAŁA GRUDZIŃSKA GRÜNBEIN GRUŠE
GRYKO GRYNBERG GRZEBALSKI GRZĘGORZEWSKA GRZESIAK GUILLÉN GUMIŁOW GURIGU-
TOROW GUTOWSKI HAJDUK HALAS HALEVI HAMKAŁO HANDKE HARRIS HARTWIG HASS
HASSEK HAVEL HAWAŁEJ HAZZARD HEANEY HEDLUND HEJMEJ HELANDER HELLIKES K.
HERBERT Z. HERBERT HERLING GRUDZIŃSKI HERTZ HETMAN HIEBEL HIRSCHBERG HO-
DROVÁ HOFFMAN HOFFMANN HÖLDERLIN HOLLAND HOLUB HONET HRYNACZ HUNKEL-
ER HUNTER IONESCO ISSA IWANIUK JACCOTTET JAGIEŁŁO JAKUBOWSKA FIJAŁKOWSKA
JAKUBOWSKI JAN PAWEŁ II JANICZKO JANKO JANKOWSKI JARNIEWICZ JARZĘBSKI JASEK
JASPERS M. JASTRUN T. JASTRUN JĄSTRZĘBIEC-MOSAKOWSKI JEDLIŃSKI JELINEK JEL-
LOUN JENITYS JONATAN JOYCE JUARROZ JULIET A. JUREWICZ J. JUREWICZ JURKOWSKA
JURZYSTA KAFFKA KAJAK KAKAREKO KALANDYK KALB KALĘBA KALINOWSKI KALISZER-
-HAZAZ KALOTA-SZYMAŃSKA KANCZELI KANIA KANTOR KAPLIŃSKI KAPUŚCIŃSKI
KARALIUS KARASEK KAROLAK KASTEL-BLUM KAWAFIS KEFF KĘDZIERSKI KIBIROW KIELAR KIEPUŠZEWSKI KIERC KIJOWSKI KIR-
KIŁŁO-STACEWICZ KIRSCH KIŚCIEVIČ KITSCH KIZNY KLEDZIK KLEJNOCKA KLEJNOCKI KLEJNA KLOTT J.A. KŁOCZOWSKI OP J.M.
KŁOCZOWSKI P. KŁOCZOWSKI J.A. KOBIERSKI R. KOBIERSKI KÖHLER KÖLBE KOLTĚS KOLACKA KONWICKI JAKUB KORNHAUSER
JULIAN KORNHAUSER KORZENIOWSKI KOŚCIŃSKA KOŚCIAŁKOWSKA KOŚKA KOTAŃSKI KOTKOWSKI KOTLARCZYK KOTT KOVI-
LOWSKI K. KOZIOŁ U. KOZIOŁ KOŹMIŃSKI KRALL KRASIŃSKI KRAUSS KREMER KRONHOLD KRÓL KRÜGER KRYNICKI KRYSZAK
KRZYŻAN KUBIAK KUBIN KUČIAC KUDAS KURAS KUREK KURYŁAK KURYLUK KÜSTER KUŚ KUŹMIŃSKI KUŹDOWICZ KWIETKAU-
SKAS KWIATKOWSKI LALIĆ LAMPRECHT LARŚ LASECKI LASKER-SCHÜLER LATAWIEC LE CLÉZIO LEC LEFCOWITZ LEHTINEN LE-
IRIS LEKSZYCKI LEM LEMPP LENKOWSKA LENOIR LEOCIAC LEOPARDI LESZKOWICZ LEVETOV LEVINE LEWANDOWSKI LEYVA
A. LIBERA Z. LIBERA LIGEZA LIŁCEANU I. LINDON J. LINDON LIPKA LIPKA LIPSKA LIPSKI LIRA-SŁIWA LISOWSKI LONGLEY LORD LOVELL
LÖW LUBIŃSKA LUBYK LUDWIKOWSKA LUKIĆ LUPA LUTOSŁAWSKI ŁUKASIEWICZ ŁUKASZEWICZ ŁUSZCZYKIEWICZ MACCAIG
MACIERZYŃSKI MACKIEWICZ MADEJSKI MAGEN MAJ MAJERSKI MAKOWIĆ MALANOWSKI MALINA MALISZEWSKI MALACHOWSKI
MARANO MARCZEWSKI MARJAŃSKA MASIANIS MASON MATUSZEWSKI MATYSIAK MATYWIECKI MAUVIGNIER MCMULLAN
MELBECHOWSKA-LUTY MELBECKI MELLER MENASSE MENTZEL MESCHONNIC MICHAJŁOWSKAJA MICHAŁ ANIOŁ MICHAŁOWSKI
MICHNIK MIEDZYŃSKI MIELHORSKI MIESZKO MIĘDZYRZECKI MIKOŁAJCZAK MIKOŁAJEWSKI MIŁOSŁAWSKI MIŁOŠZ MIŠIAK
MITTMAYER MITZNER MIZERKIEWICZ MLADENOSKI MOCARSKA-TYCOWA MOCZKODAN MOCZULSKI MOMRO MORAWIEC
MORGAN MOŚCICKI MOYER MROZIŃSKI MÜLLER-FREIENFELS MURCIA MUSIAŁ MUSIL MUSZYŃSKI MYSZKOWSKI NAPIÓRKOWSKI
NASIŁOWSKA NDIAJE NEUGER NICPAN NIEMIEC NIXON NOSALSKA NOWACKI NOWAKOWSKA NOWAKOWSKI K. NOWICKI W.
NOWICKI NOWOSIELSKI OBREMSKI OLEK OŁĘDZKA-FRYBESOWA OŃATE ONDAATJE OPALIŃSKA ORDAN OROŁ ORSKI OSA OSTER
OSTI OSTROWSKI OSZAJKA ÖZKÖK PACHOCKI PACHOLSKI PANZENKO PANKOWSKI PAPIESKA PAPIESKI PAWLUŚ PAWŁOWSKA
PAŹNIEWSKI PENDERECKI PEPIAT PETRARCA PETRESKI PIAŠCZYŃSKI PICARD PIECHOCKA PIECHOWICZ PIECZYŃSKI PIETRYK
PIĘTNIEWICZ PILCH PINGET PINTER PINTILIE PIRIE PIWKOWSKA PJECUCH PLATH PLESZYŃSKI PLUTOWICZ PŁATEK POLKOW-
SKI POLLAKÓWNA POMORSKI POPRAWA POTOKAR POUND POUNTNEY PRAŻMO PROCKI PROUST PRUSS PRUSZYŃSKI PRZEGA-
LIŃSKI PRZYBYŁAK PRZYBYŁAWSKI PUČIATA PYDA OP QUADFLIEG RABINOWICZ RACINE RADZIEJOWSKI RAIČKOWIĆ RASZKA
RAWIKOWICZ RENOUARD REŃICKI REUBNER REVERDY REUTT REXROTH REZNIKOFF RIEGEL RIEGER RIŁKE ROBBE-GRILLET
ROBERTS ROCA RODOWSKA ROGUSKI ROMANIUK ROMANOW ROSENTHAL ROSIŃSKA ROSSET ROSZAK ROTH ROTHMANN RO-
UAUD J. RÓŻEWICZ S. RÓŻEWICZ T. RÓŻEWICZ RÓŻYCKI RUBINSTEIN RUSINEK RUTKOWSKI J.M. RYMKIEWICZ RZĘDZIAN RZON-
CA SACHS SADECKI ŠALAMUN SALMONOWICZ SALSKA SARAJLIĆ SARNA SARRAUTE SARTORIUS SARTRE SAS SAWICKA SCHAUB
SCHEIDEGGER SCHILLER SCHMIDGALL SCHNEIDER SCHUBERT SCHUYLER SEIFERT SEJFAS SELLMER SENKTAS SEXTON SHAKE-
SPEARE SHLIEN SIEGEL SIEMASZKO SIENKIEWICZ SIMIĆ SIMON SINGER SIWCZYK SIWIEC SKRENDO SKUCZYŃSKI SKWARŃICKI
SŁAŃSKA SŁAWNIKOWSKI SŁOŃSKA SŁALCERZ SMOŁKA SNYDER SOBKOVIAC SOBOLCZYK SOBOLEWSKI SOBOLEWSKI SO-
BOL-JURCZYKOWSKI SOCHOŃ SOFOKLES SOKOŁOWSKI SOKORSKA SOLIŃSKI SOMMER SONNENBERG SPARK SPIEGEL STACHURA
STANIŁKO STANKOWSKA STARCZAK-KOZŁOWSKA STASIUK STAŚKIEWICZ STEFKO STERN STERNA-WACHOWIAK STOJIC STRAMM
STREERUWITZ STROIŃSKI STRUMIŁO-MIŁOSZ STRUMYK STYČEŃ SULEJMAN USLIN SUWIŃSKI SYLVESTER SYNDER SYNOD
RADZKA SZAFRANIEC-SZARMACH SZARUGA J.J. SZCZEPAŃSKI SZEWC SZKŁOWSKI SZŁOSAREK SZUBA SZUBER SZWALBE SZWARC
SZYMANOWSKI A. SZYMAŃSKA B. SZYMAŃSKA I. SZYMAŃSKA SZYMBORSKA ŚMIEJA ŚWIETLIK TABORSKI TAHAR BEN JELLOUN
TAŃSKI TARASEWICZ TERC THOMAS TISCHNER TRACZYŃSZYN-DYCKI TOCINOWSKI TOMASIK TOMASZEWSKI TOMCZOK TOM-
LINSON TOSZA TOUSSAINT TRAKL TRĚŠŇÁK TRIECHEL TRZECIAKOWSKI TRZEŚNIOWSKI TUNNER TUSZYŃSKA TWARDOWSKI
TYRANKIEWICZ URBAŃSKA VARGA VENCLOVA DE VIAU VIEL VODUSEK WAGA WAJDA WALC WALSER WANG WANIEK WANTUCH
WARRILOW WARTA WASZAK WEBER WELTER WENCHEL WENDORFF WHIEFLAW WHITMAN WIECZOREK WIKTOROWSKA WILDE
WILLIAMS WINIARSKI WIRPSZA WIŚNIEWSKI WITKOWSKI WITTCHEN-BAREŁKOWSKA WOHN WOJCIECHOWSKA WOJCIECHOWSKI
WOLEŃSKI WOLSKI WOŁK WOŁOSZYN WOŁOWIEC WOROSZYLSKI WÓJCIK G. WRÓBLEWSKI M. WRÓBLEWSKI WYCZÓŁKOW-
SKA K. WYKA M. WYKA YEATS YOURCENAR J. ZACH N. ZACH ZADURA ZAGAJEWSKI ZAJC ZALESIŃSKI ZALESKA ZAMIARA ZA-
RĘBIANKA ZAWADA ZAWISTOWSKI ZEGALIŃSKI ZETTINGER ZIELENKIEWICZ ZIEBA ZYCH ŻAGAR ŻAKIEWICZ ŻYLIŃSKI ŻYŁKO

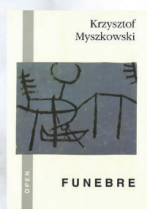
Biblioteka Kwartalnika Artystycznego



Grzegorz Musiał
Al fine
1997, nakład wyczerpany



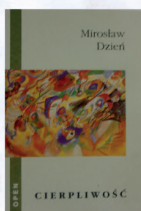
Michał Głowiński
Czarne sezony
1998, cena 20 zł



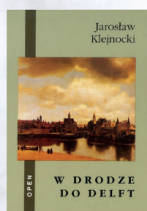
Krzysztof Myszkowski
Funebre
1998, cena 20 zł



Piotr Matywiecki
Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa
1998, cena 20 zł



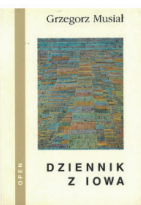
Mirosław Dzień
Cierpliwość
1998, nakład wyczerpany



Jarosław Klejnocki
W drodze do Delft
1998, nakład wyczerpany



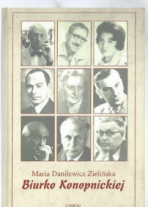
Bożena Keff
Nie jest gotowy
2000, nakład wyczerpany



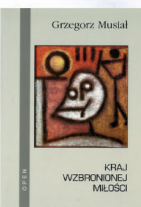
Grzegorz Musiał
Dziennik z Iowa
2000, cena 20 zł



Janina Kościółkowska
Bih me!
2000, nakład wyczerpany



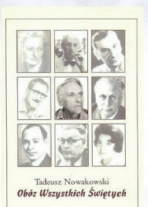
Maria Danilewicz Zielńska
Biarke Konopnickiej
2000, cena 20 zł



Grzegorz Musiał
Kraj wzbronionej miłości
2001, nakład wyczerpany



Jerzy Andrzejewski
Dziennik paryski
2002, nakład wyczerpany



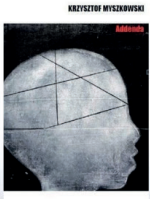
Tadeusz Nowakowski
Obóz Wszystkich Świętych
2003, nakład wyczerpany



Mieczysław Orski
Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji
2002, nakład wyczerpany



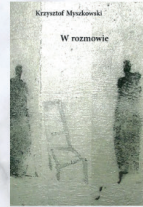
Kazimierz Hoffman
Znaki
2008, nakład wyczerpany



Krzysztof Myszkowski
Addenda
2017, cena 30 zł



Krzysztof Myszkowski
Puste miejsce
2018, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
W rozmowie
2018, cena 25 zł



Krzysztof Myszkowski
Punkt wyjścia
2019, cena 40 zł



Marek Kędzierski
Krzysztof Myszkowski
Pułapka Becketta
2020, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
Fragmenty murów obronnych
2021, cena 35 zł

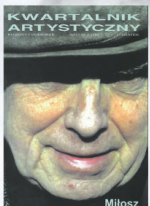
Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



Zbigniew Herbert
2008, nr 2 (58)
nakład wyczerpany



Marek Kędzierski, Piotr Dżumala
Rue Samuel Beckett: Barbara Bray
2015, nr 4 (88)
cena 12 zł



Czesław Miłosz
2011, nr 2 (70)
cena 12 zł



Hanna Borawska
Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017
2017, nr 4 (96)
cena 12 zł



Marek Kędzierski
Giacometti
2013, nr 4 (80)
cena 12 zł



Prenumerata

**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**
W KRAJU I ZA GRANICĄ



Książnica
Kopernikańska
w Toruniu

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu


Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl

 Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2023:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Korekta: Patryk Chłopek, Katarzyna Dunajko

Skład: Sławomir Karetko

Druk i oprawa: Drukarnia Cyfrowa druk-24h.com.pl

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

N O W E K S I A Ĺ Ż K I

Biblioteka Śląska

Michał Muszalik, *Hotel Globo*, Katowice 2021

Biuro Literackie

Roman Honet, *Żal, może on*, Kołobrzeg 2022

Frída Ísberg, *Świerzb*, przekład Jacek Goddek, Kołobrzeg 2023

Bookplan.pl

Anna Romaniuk, *Muzeum wyobraźni. Notatki o sztuce*, Wodzisław Śląski 2022

Novae Res

Artur Frysztacki, *Kółko i krzyżyk*, Gdynia 2022

Państwowy Instytut Wydawniczy

Piotr Wierzbicki, *Domek Baby Jagi. Felietony i eseje wysłane*, Warszawa 2022

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział Kraków

Krzysztof Lisowski, *Jakiś Odys i inne pisaniny*, Kraków 2022

Mariusz Sambor, *Nieoczekiwane przestoje w chmurach*, Kraków 2022

Wydawnictwo a5

Louise Glück, *Zimowe przepisy naszej wspólnoty*, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, przekład Krystyna Dąbrowska, Kraków 2022

Wydawnictwo Austeria

Małgorzata Sokorska, *Upadł buk*, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022

Bogdan Tosza, *Zapiski z Rosji*, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2022

Wydawnictwo Convivo

Henryk Waniek, *Lapis philosophorum*, seria Jeden esej, Warszawa 2022

Wydawnictwo Forma

Henryk Bereza, Krystyna Sakowicz, *Korespondencja*, Szczecin Bezzecze 2022

Ewa Elżbieta Nowakowska, *Gwiazda dra pieżnik*, seria Tablice, Szczecin Bezzecze 2022

Wydawnictwo MaMiKo

Michał Banaszak, *Exit*, Nowa Ruda 2022

Wydawnictwo mg

Lewis Carroll, *Alicja w zwierciadlanym domu*, przekład Janina Zawisza-Krasucka i Antoni Marianowicz, Kraków 2022

Fiodor Dostojewski, *Zimowe notatki o wrażeniach z lata*, przekład Maria Leśniewska, Kraków 2022

Homer, *Odyseja*, przekład Lucjan Siemieński, Kraków 2022

Paweł Jasienica, *Myśli o dawnej Polsce*, Kraków 2022

Eryk Ostrowski, *Emily Brontë. Królestwo na Wrzosowisku*, przekłady Dorota Tukaj, Kraków 2022

Marcel Proust, *Nie ma Albertyny*, tom 6 cyklu: *W poszukiwaniu straconego czasu*, przekład Maciej Żurowski, Kraków 2023

Wydawnictwo Oficyna

Antoni Czechow, *Jednoaktówki*, przekład i wstęp Agnieszka Lubomira Piotrowska, Łódź 2022